

Świętokrzyskie

Środowisko ❖ Dziedzictwo kulturowe ❖ Edukacja regionalna

Kielce, lipiec 2016 r.

nr 17 (21)

ISSN 1895-2895



W numerze

- ❖ *Uczeń Gustaw Herling-Grudziński*
- ❖ *„Zmiłuj się nad nami” – fragmenty książki*
- ❖ *Z dziejów fotografii w Kielcach*
- ❖ *Marta Hubicka – prekursorka regionalizmu*



R. Prauss – Zamek w Chęcinach, 1944 r.

SBC Świętokrzyska **B**iblioteka **C**yfrowa



<http://sbc.wbp.kielce.pl>



www.wbp.kielce.pl



dołącz do nas na Facebooku

W numerze:



Jak się uczył Gustaw Herling-Grudziński? 3

Zmłóć się nad nami (fragmenty) 10

W stronę morza 26

W siedemdziesiątą rocznicę pogromu kieleckiego;
Julia Pirotte – dokumentalistka historii 32



Nazewnictwo terenowe okolic Zagnańska i Samsonowa w XIX wieku 35

Stary album 44

Bronisław Wilkoszewski – fotograf, społecznik, patriota 47

Inteligencja nieczytająca 61



Produkcja zbrojeniowa zakładów ostrowieckich w II Rzeczypospolitej 63

Okruchy wspomnień 68

Wilhelm Gottlieb Ernst Becker – w poszukiwaniu złota, srebra i soli 72

Świat Anno Domini 1931/1932 [cz. 1] 75



Oda do karty pocztowej
czyli o pewnym wynalazku Henryka Sienkiewicza 79

Wąskotorowy zabytek w kieleckiej elektrociepłowni 87

Kolekcjonerski jubileusz 90



Marta Hubicka – pasjonatka środowiska krajoznawczego 98

„Bomby polskie” Zbigniewa Włodzimierza Fronczka 100

Ryszard Prauss – miasta i zamki jak z bajki 103

Na okładce: str. 1 Oblęgorek, dworek Henryka Sienkiewicza,
str. 4 R. Prauss, Kielce – widok Bramy Krakowskiej i Katedry – rekonstrukcja, Scena przed Pałacem Biskupim w Kielcach.

Wydawca

WOJEWÓDZKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
IM. WITOLDA
GOMBROWICZA



Dyrektor: Andrzej Dąbrowski

25-033 Kielce
ul. ks. P. Ściegiennego 13
Tel. 41 344 70 74
fax: 41 344 59 21
sekretariat@wbp-kielce.pl
www.wbp.kielce.pl

Redakcja

Andrzej Dąbrowski
Jerzy Osiecki

Korekta

Andrzej Dąbrowski
Jerzy Osiecki

Skład

Mariusz Stec

Nakład

500 egz.

Druk

Drukarnia Jawist 25-512 Kielce,
ul. Warszawska 209,
tel. 41 332 24 83

© Copyright by WBP
im. W. Gombrowicza w Kielcach

ISSN 1895-2895

Rok Henryka Sienkiewicza

To już kolejny rok, w którym uświadamiamy sobie wielki wkład naszego regionu do polskiego dziedzictwa kulturowego. Kolejne rocznice związane z Powstaniem Styczniowym, stuleciem „Kadrówki” i walk I Brygady L.P., następnie 150. rocznicą urodzin Żeromskiego obchodziliśmy w poprzednich latach bardzo uroczystie. Z kolei rok 2016 przyniósł kolejne interesujące wydarzenia i inicjatywy, a to za sprawą setnej rocznicy śmierci Henryka Sienkiewicza. Był krzepicielem umęczonych brakiem Ojczyzny serc Polaków. Gdy w 1904 r. odbierał Nagrodę Nobla, do uczestniczących w uroczystości członków Akademii Szwedzkiej oraz licznie zgromadzonych wysokiej rangi gości z całego świata, powiedział, że zaszczyt ten jest szczególnie cenny dla syna Polski: „głoszono ją umarłą, a oto jeden z tysięcznych dowodów, że żyje”. Więcej miejsca samemu Pisarzowi oraz uroczystościom związanym z rocznicą Jego śmierci poświęcimy w następnym numerze naszego pisma. Wspomnimy tu jedynie, iż Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Kielcach w tych uroczystościach będzie miała swój znaczący udział; organizujemy okolicznościową ekspozycję oraz przyjęliśmy współuczestnictwo w konferencji naukowej, jaka będzie miała miejsce w Kielcach we wrześniu. Współpracujemy także z Muzeum Henryka Sienkiewicza, które przygotowuje swoją wystawę w Oblęgorku.

Oblęgorek. Dwór wraz z parterowym pawilonem myśliwskim, otrzymał Sienkiewicz w darze od narodu polskiego w 1900 r. w 25-lecie swojej pracy twórczej. Mało jest w Polsce równie urzekających miejsc. Wieś położona 18 km na północny-zachód od Kielc u stóp Baraniej Góry (427 m.n.p.m.) między malowniczymi wzgórzami, lasami i łąkami w obrębie Pasma Oblęgorskiego. Zachodni odcinek świątokrzyskiego szlaku głównego – czerwonego prowadzi na szczyt Baraniej głęboko wciętymi wąwozami lessowymi wśród pięknego bukowego starodrzewu.

Nic zatem dziwnego, że Sienkiewicz był tym miejscem oczarowany. W sierpniu 1910 r. pisał w liście do Wandy Ulanowskiej, która była prawdopodobnie pierwowzorem Nel z *W pustyni i w puszczy*: „Oblęgorek oczarował mnie zupełnie. Mało jest w Królestwie wiosek tak pięknie położonych. Drzewa bardzo porośły, park jest ogromny, kwiatów mnóstwo, a jabłonie, grusze i śliwy gną się literalnie pod ciężarem owoców”. Sam zaś dwór, zakupiony od rejenta Mieczysława Halika, plenipotentą rodziny Tartów – wielowiekowych właścicieli okolicznych ziem, został przebudowany i rozbudowany do znanej nam obecnie postaci eklektycznego pałacyku. Stał się miejscem pracy pisarskiej oraz domem letniego wypoczynku rodziny Pisarza. Tutaj powstały między innymi duże fragmenty *W pustyni i w puszczy*, *Na polu chwały*, czy *Legiony*. Swą nową siedzibę nazywał Sienkiewicz „gniazdem miłym dla duszy”, a także „Tusculum”, czym nawiązywał do starożytnej nazwy miejscowości w Lacjum, gdzie miał swą willę Cynceron. Wobec nadciągających wydarzeń wojennych, w 1914 r. opuścił wraz z rodziną to miejsce i udał się do Szwajcarii, gdzie zmarł 15 listopada 1916 r.

W okresie I wojny oraz w okresie międzywojennym, gdy Sienkiewicza niezmiennie uwielbiali czytelnicy, Oblęgorek stał się legendą. W 1914 r. zaglądali tutaj polscy utani od Piłsudskiego, by choćby zobaczyć swojego idola, i by oddać mu cześć. *Trylogię* znali na pamięć, a wielu z nich strzeleckie pseudonimy wzięło właśnie z *Potopu*, czy *Pana Wołodyjowskiego*.

Polski naród dzisiaj, 100 lat od śmierci wielkiego Pisarza, składa Sienkiewiczowi hołd za krzepiące historyczne powieści, które budowały polską tożsamość. Kielczanie zaś są dumni, że tak wielki Mistrz tworzył w pobliskim Oblęgorku.



W 1949 r. londyńskie „Wiadomości” skierowały do przebywających na emigracji pisarzy ankietę zatytułowaną Jak się uczyli współcześni pisarze polscy. Na bardziej szczegółowe pytanie ankiety: „Jak się Pan uczył w szkole średniej?” Gustaw Herling-Grudziński odpowiedział z rozbijającą szczerością:

„Uczyłem się bardzo słabo. Poza klasą szóstą, w której moje świadectwo półroczne wyglądało mniej więcej przyzwoicie, potykałem się ciągle o matematykę i fizykę, nie znosiłem historii, uczonej systemem dat i tablic synchronicznych, postugiwałem się często brykami na lekcjach łaciny, daleko mi było do jakiegoś opanowania niemieckiego. Jedynie na lekcjach polskiego uchodziłem za bezkonkurencyjnego prymusa”¹.

Konfrontacja tego wyznania z zachowanymi katalogami klasowymi potwierdza, że gimnazjalista Gustaw był uczniem raczej miernym, ale w szczegółach niektóre z wymienionych przez Herlinga-Grudzińskiego niepowodzeń szkolnych oraz sukcesów przedstawiają się nieco inaczej. Widocznie zawiodła go pamięć, mimo że nie upłynęło tak wiele lat od czasu, gdy siedział w szkolnej ławie. Przyjrzyjmy się więc kolejnym etapom edukacji przyszłego pisarza w gimnazjum im. Stefana Żeromskiego (gdzie w 1929 r. wstępował w jego progi, patronem był jeszcze Mikołaj Rej).

W klasie pierwszej, po przejściu z gimnazjum żydowskiego (uczęszczał do niego dwa lata – do klas wstępnej i pierwszej, której mu w polskim gimnazjum nie zaliczono, musiał nawet zdawać egzamin wstępny), miał kłopoty z adaptacją do nowego środowiska. Odbiło się to na marnych stopniach ze wszystkich prawie przedmiotów, także ze sprawowania: trzykrotnie dobre, raz odpowiednie². Z czego te trudności wynikały, nie wiadomo, bo chyba nie tylko o to chodziło, że malcy byli narażeni na zaczepki wyrosniętych drugoroczników. I nie o to, że ósmoklasistom, których sala lekcyjna znajdowała się na wprost klasy pierwszaków, należało się kłaniać i zwracać do nich per „pan”. I raczej nie doświadczył przykrości z powodu pochodzenia, gdyż gimnazjum Reja słynęło z tolerancji, co zgodnie potwierdzało wielu uczniów z żydowskich rodzin. Zmora małego Gutka mogły być lekcje śpiewu, nie miał słuchu



i nawet raz oberwał smyczkiem w ucho od krewkiego profesora Józefa Rosińskiego, który poza szkołą był organistą w katedrze i kapelmistrzem. Podobno Gutek podpadł za to, że nie znał tekstu popularnej kolędy, w innej wersji – z powodu uporczywego fałszowania melodii „Wszystko co nasze, Polsce oddamy”. Jedyną życzliwą mu osobą była wychowawczyni, pani Irena Brenneisen-Piccioni, nauczycielka języka niemieckiego. Według szkolnego kolegi Gustawa, Romana Kuleszyńskiego, była to pani „o niezwyklej wprost dobroci, ogromnie opiekuńcza, pełna troski o powierzonych jej pupilków”³. Uczniowie nazywali ją „Maminka – Mutter”. Niestety, od następnego roku szkolnego do końca nauki w gimnazjum wychowawcą klasy został germanista Karol Pełka, lubiany przez ogół uczniów, tylko Gutek z jakiegoś powodu się boczył i nawet z satysfakcją – niby, że wtedy już przeczuł, co się święci – przytaczał później plotkę, jakoby („nie wiem jednak, czy to prawda”) „podczas wojny nie zachowywał się w Kielcach przyzwoicie”⁴. To samo, zresztą, mówiono o „Maminie”⁵. Zaginęły katalogi ocen z klas II–IV, więc nie można się przekonać, kiedy kryzys został przezwyciężony.

Utalentowany pisarz powinien się jednak jakoś zapowiadać i Gustaw Herling-Grudziński przy różnych okazjach powtarzał, że należał do prymusów na lekcjach języka polskiego (a nawet: „uchodziłem za bezkonkurencyjnego prymusa”). Tak wysoką pozycję miały mu zapewniać przede wszystkim wypracowania pisemne – podobno najlepsze w klasie. Opinię tę pod-

¹ G. Herling-Grudziński, Ankieta „Wiadomości”. Jak się uczyli współcześni pisarze polscy, w: *Dzieła zebrane*, t. 2: Recenzje, szkice, rozprawy literackie. 1947–1956, pod red. Wł. Boleckiego, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2010, s. 222–223.

² Archiwum Państwowe w Kielcach, dalej: APK, Akta Państwowego Gimnazjum Męskiego im. S. Żeromskiego, sygn. 45.

³ R. Kuleszyński, Szkolny zeszyt talentem zapisany, „24 godziny” – „Gazeta Kielecka”, 19–21 lutego 1993, nr 35, s. 12.

⁴ G. Herling-Grudziński, Najkrótszy przewodnik po sobie samym, oprac. Wł. Bolecki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000, s. 14.

⁵ G. Herling-Grudziński, Wł. Bolecki, Rozmowy w Neapolu, „Szpak”, Warszawa 2000, s. 355.



Dawne carskie Gimnazjum Męskie w Kielcach, w czasach Herlinga Grudzińskiego Gimnazjum im. M.Reja. Poczta z zb. Jerzego Osieckiego

trzymywali jego koledzy szkolni, powołując się m.in. na dowód koronny – zeszyt do klasówek z klasy V wypełniony przez Gustawa w całości pracą na temat dowolny, podziwianą przez wszystkich z powodu bardzo dobrej oceny, objętości i rzadkich uwag nauczycielki. Właściciel zeszytu wstydliwie udostępniał go tylko niektórym kolegom i to bez prawa czytania⁶. Co prawda po latach pisarz krytycznie oceniał wartość swoich i cudzych elaboratów, świetnych według nauczycieli, twierdząc, że międzywojenna szkoła premiowała kwieciste pustostowie, styl odziedziczony po epoce młodopolskiej. „Wypracowania maturalne były wirtuozowskimi popisami wodolejstwa, a znaczenie tematów – owych »idei przewodnich« oraz »wzlotów i upadków ducha poety« – szydził – rozumiała tylko nieliczna garstka prymusów polonistów i niekiedy co inteligentniejsi wykładowcy, którzy przepisywali je z przerażeniem z druków kuratorskich”⁷. Jakby na to nie patrzeć, faktem jest, że na maturalnym egzaminie pisemnym z języka polskiego otrzymał stopień bardzo dobry i został zwolniony z egzaminu ustnego⁸. Jednak co do wysokiej oceny całości wiedzy polonistycznej – mylił się, widocznie nie pamiętał. Nie zachowały się wszystkie katalogi okresowych ocen z lat jego nauki, lecz pozostało ich na tyle, by móc twierdzić, że był polonistą zaledwie dobrym. Znacznie go wyprzedzali trzej koledzy: prymus ze wszystkich przedmiotów Adam

Szurkawski (po wojnie lekarz), serdeczny przyjaciel Jurek Głowania, syn dziennikarza i wydawcy „Cyrulika Kieleckiego”, z którym redagował szkolne piśmko „Młodzi idą” i stawiał pierwsze kroki jako „literat” (mimo humanistycznych zainteresowań Głowania został inżynierem), oraz Włodek Łukianow, syn kasjera towarowego na stacji kolejowej w Jędrzejowie, prezes szkolnego koła polonistycznego i – jak odnotował kronikarz „Młodzi idą” – autor wyróżniającego się referatu wygłoszonego na zebraniu tego koła, obdarzony też talentem aktorskim – w szkolnych przedstawieniach grał główne role: Przetęckiego w dramacie Żeromskiego *Uciekła mi przepióreczka*, Poety w *Weselu* Wyspiańskiego (późniejsze losy tego ucznia nie są znane). Taka hierarchia ustaliła się u Ireny Lachnittówny, nauczycielki języka polskiego w klasie V, oraz jej następczyni do końca edukacji szkolnej Anny Jodłowskiej⁹. Obie nauczycielki posiadały nowoczesne wykształcenie pedagogiczne i starały się zachęcić młodzież do samodzielnego myślenia i aktywności na lekcjach, co, zdaje się, odpowiadało polemicznemu temperamentowi oraz intelektualnym predyspozycjom Gustawa. Toteż – jak zapamiętali koledzy – „brylował” już u prof. Lachnittówny, a na lekcjach prof. Jodłowskiej zaczęło się jego prawdziwe „królowanie”. Musiały to być błyskotliwe wystąpienia nie poparte jednak solidną wiedzą, skoro ostatecznie otrzymywał stopień tylko dobry.

⁶ Kuleszyński, *Szkolny zeszyt...*

⁷ G. Herling-Grudziński, Żeromski i Hitler. Nieznany epizod z życia pisarza, w: tenże, *Wyjścia z milczenia. Szkice, „Czytelnik”*, Warszawa 1998, s. 221.

⁸ APK, Akta Państwowego Gimnazjum..., sygn. 159.

⁹ F. Zyguła, Dwa pożegnania Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z Kielcami, w: *O Gustawie Herlingu-Grudzińskim*, [1], Materiały z sesji, pod red. I. Furnal i J. Paćławskiego, WSP im. J. Kochanowskiego w Kielcach, Instytut Filologii Polskiej, Kielce 1992, s. 159.

Nie był małostkowy, więc obie panie darzył wielką sympatią i jako człowiek dorosły uważał, że dużo im zawdzięcza. Jako pisarz odciął się jednak zdecydowanie od stylu szkolnych wypracowań. W *Dzienniku pisanym nocą* wyznawał, że podziela upodobanie Stendhala do stylu ukrytego w paragrafach kodeksu cywilnego. W deklaracji tej jest sporo przesady, gdyż nigdy nie zrezygnował z dosadności czy urody porównań, epitetów i metafor, nie unikał ekspresjonistycznego obrazowania i chętnie posługiwał się ironią, ale wszystkie te środki artystycznego wyrazu trzymał mocno w ryzach.

Był natomiast prymusem z religii, co było niemal regułą wśród uczniów wyznania mojżeszowego, i – co już trudniej zrozumieć – bardzo dobrym germanistą. Odpowiadając na ankietę „Wiadomości” londyńskich Jak się uczyli współcześni pisarze polscy, wyznawał przecież ze skrucą, że miał ogromne kłopoty z językiem niemieckim („daleko mi było do jakiego takiego opanowania niemieckiego”), a tu czasem tylko trójki, przeważnie czwórki i piątki. Nawet w feralnej klasie pierwszej jedyną ocenę bardzo dobrą otrzymał z języka niemieckiego od pani Brenneisen, która stosowała skuteczny system motywacji. „Za każdą dobrą odpowiedź [...] obdarowywała uszczęśliwionego delikwenta cukierkiem »w papierku«, wkładając go dyskretnie do kieszonki mundurka. Pamiętam, że szczęście takie spotkało mnie zaledwie dwa razy – wspominał Roman Kuleszyński – natomiast zazdrościłem mojemu koledze z sąsiedniej ławki po prawej stronie – Gutkowi Herlingowi – którego cukierek nie omijał po każdej niemal odpowiedzi”¹⁰. Jeśli nawet wyróżnienia te miały związek z miłym sercem pani Brenneisen, to potem dobre i bardzo dobre oceny stawiał mu nielubiany germanista Karol Pełka. W końcu dzięki szkolnej edukacji opanował język rodaków Goethego na tyle, że jako student tuż przed wojną – jak przyznał w eseju Willa Tritone – czytał dzieła włoskiego filozofa Benedetto Crocego po niemiecku.

Sukcesy przyszły w klasie V (1933/34), nie VI – na koniec roku z języka polskiego wyjątkowo ocena bardzo dobra, a z łaciny, niemieckiego, geografii, przyrodoznawstwa i – o dziwo! – z matematyki, z której bywało, że otrzymywał niedostateczny – stopień dobry. Bo poza tym w innych klasach z przedmiotów ścisłych i z historii rzeczywiście słabo, podobnie z wychowaniem fizycznym („ćwiczeniami cielesnymi”), choć w tej samej ankiecie wymieniał jako młodzieńcze hobby piłkę nożną i sporty wodne. Nie ma go wszakże na żadnym zdjęciu klasowych sportowców – ani piłkarzy, ani kolarzy. W pamięci kolegów zapisał się jako mól książkowy. „Gutek Herling, niewysoki, ociężały w ruchach grubasek, nie gustował zupełnie w grach i zabawach lansowanych przez »pana od gimnastyki« – Rudolfa. [...] Od pierwszej już klasy wykazywał zainteresowanie »poważnymi rozmowami«,

¹⁰ Kuleszyński, *Szkolny zeszyt*...

raczej stroniąc od żartów i »psich figlów« płatanych ustawicznie jeden drugiemu w klasie”¹¹. Tak już zostało do końca nauki gimnazjalnej i tak było potem na studiach. Jerzy Drewnowski, przyjaciel z czasów warszawskiej polonistyki, zapamiętał, że „Gutek był zawsze poważny i pryncypialny. W głowie nie powstało mu nic wesotego”. Zaraz jednak dodał: „Ale był to serdeczny człowiek”¹². Opinię, że był „molem książkowym”, podtrzymywał sam Herling w ankiecie „Wiadomości”: „Za czasów szkolnych czytałem mnóstwo – znacznie więcej niż dzisiaj – głównie powieści, wiersze i podręczniki filozofii”¹³.

Ulubionym pedagogiem Gustawa był profesor Kazimierz Kaznowski, „pan od przyrody”, nazywany przez uczniów „Dziadkiem”. „Był to człowiek jakby żywcem przeniesiony z XIX stulecia – z bródką, w garniturze, z białym kołnierzykiem, niezwykle poważny, do wszystkiego odnosił się z wielką pieczołowitością i pedanterią, uważając, że to, co robi, ma wielkie znaczenie. Uwielbiałem jego lekcje, to było jakieś zauroczenie [...]. Byłem niezwykle zafascynowany i jego lekcjami, i nim samym” – wspominał jeszcze po kilkudziesięciu latach od opuszczenia murów szkolnych¹⁴. Kazimierz Kaznowski pochodził z rodziny drobnoszlacheckiej, z trudem ukończył studia z powodu biedy i udziału w strajku szkolnym w 1905 r. Uczniów traktował poważnie i z szacunkiem. Tę postawę ukształtowała zapewne kultura jego domowego środowiska i młodzieńcze sympatie socjalistyczne. Poza tym chyba z natury był człowiekiem życzliwym i usługowym, co zjednywało mu sympatię wychowanków i ich rodziców. W szkole stał się bohaterem charakterystycznego zdarzenia. Przekonany, że treści jego przedmiotu nawet w szczegółach są powszechnie znane, podczas egzaminu wstępnego niechcący przyczynił się do tak wielkiej dystrykcji małego Janusza Pelca, syna znanego powszechnie lekarza żydowskiego pochodzenia Mojżesza Pelca, że rodzice malca postanowili zrezygnować z kształcenia chłopca w kieleckich szkołach. Gdy profesor poznał okoliczności sprawy, zaprosił państwa Pelców do cukierni Smoleńskiego i uroczyście ich przeproszał, zapewniając, że nastąpiło nieporozumienie i że w żadnym wypadku nie kierował się uprzedzeniami rasowymi¹⁵.

W chwilach wolnych od zajęć i gdy nie doglądał szkolnego gabinetu przyrodniczego, który w dużej części wyposażył własnymi eksponatami przywiezionymi z różnych wypraw badawczych, i gdy nie zajmował się biblioteką, nad którą sprawował z urzędu pieczę, profesor Kaznowski przesiadywał godzinami nad gazetą w oknie cukierni Smoleńskiego przy głównym deptaku Kielc. Dystyngowany, uprzedzająco grzeczny,

¹¹ Tamże.

¹² cyt. za: A. Basta, *Odkrywanie wyklętego*, „Reporter” IX – wrzesień 1990, s. 31.

¹³ Herling-Grudziński, *Ankieta „Wiadomości”*..., s. 223.

¹⁴ Herling-Grudziński, *Najkrótszy przewodnik*..., s. 13-14.

¹⁵ J. Peltz, [Wspomnienie, fragm. Pamiętnika], wydruk komputerowy w posiadaniu autorki.



Dawne więzienie na Świętym Krzyżu. Fot. Jerzy Osiecki

niedbały i lekko znudzony. Wśród bywalców kawiarni miał opinię oryginała-milczka, ale w środowisku inteligencji ceniono go za wiedzę, szczególnie za studia naukowe nad przyrodą świętokrzyską, które rzadko publikował, oraz za wkład w miejscowy ruch regionalistyczny. Był działaczem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i przewodniczącym Państwowej Rady Ochrony Przyrody w województwie kieleckim¹⁶. Z tego tytułu organizował w gimnazjum, w którym uczył, wycieczki krajoznawczo-turystyczne. Dzięki nim młodzież poznawała przyrodę Gór Świętokrzyskich, historię regionu i jego życie współczesne. Wyprawy te zachowały się w pamięci wychowanków wśród miłszych wspomnień szkolnych.

Najpewniej po takiej wycieczce do Nowej Słupi przez Mąchocice, Radostową, Świętą Katarzynę, Łysicę, Puszcę Jodłową i Święty Krzyż (naturalnie pieszej) powstał debiutancki tekst publicystyczny Herlinga, wówczas ucznia klasy VI, reportaż Świętokrzyżczyzna, który zamieściło warszawskie, ale o zasięgu ogólnopolskim, piśmko młodzieży szkolnej „Kuźnia Młodych” (1935, nr 12 z 15 VI). Potoczył w nim Gustaw wiedzę wyniesioną z pogadanek profesora z emocjami, jakie budził w nim ukochany pisarz Stefan Żeromski, i z wrażeniami, jakie wywarły na nim niektóre miejsca, np. Puszcza Jodłowa czy ciężkie więzienie na Świętym Krzyżu. Uwagi o trudzie więziennego życia kryminalistów odsiadujących tu wysokie wyroki, najczęściej dożywocie, dziwnie proroczo korespondują z dalszymi losami autora reportażu. Bezpośrednio były inspirowane prawdopodobnie licznymi artykułami, jakie na temat wznoszącej się ponad szczyty Łysogór

tiurmy, najcięższego więzienia w Polsce, założonego przez zaborcę w nieczynnym klasztorze i za czasów carskich nazywanego polskim Sachalinem, zamieszczała w tym czasie „Gazeta Kielecka”.

Nawet nie wiadomo, czy kiedykolwiek dotarła do Herlinga-Grudzińskiego wiadomość, że po wojnie więzienie zlikwidowano, bo w jednej z not *Dziennika* z 1979 r., pisząc o wyspie Procida blisko Neapolu i o górującym nad nią ciężkim więzieniu w dawnym zamku, dodaje: „coś w rodzaju włoskiego Świętego Krzyża”¹⁷ (myśli z tym miejscem związane też są podobne, wzbogacone tylko pamięcią łągrów). Zachęcony sukcesem, zamierzał Gustaw tak samo wykorzystać doświadczenia z wycieczki klasowej do Wieliczki w październiku 1935 r., zapowiedział ten pomysł w redakcji piśmka, ale z winy autora lub gazetki do druku nie doszło.

Edukacja Gustawa doznała wstrząsu w kl. VII (1935/36) – na półroczu oceny niedostateczne z fizyki z chemią i z matematyki (z adnotacji na marginesach odpowiednich rubryk wynika, że identyczne groziły na koniec roku, ale zostały poprawione), zaledwie dostateczny z języka niemieckiego. Opuszczonych – nie godzin, ale dni: 48 (było ich może więcej, lecz zapisy w poszczególnych rubrykach w katalogach okresowym i głównym są niekonsekwentne i niejasne), okresowy i ogólny stopień ze „sprawowania się” – dobry¹⁸. To było wtedy, gdy zaangażował się w działalność tajnego młodzieżowego kółka sympatyków komunizmu i gdy na stancję wkroczyła policja – w szkole wybuchła awantura i zawieszono go w prawach ucznia. W tonie żartobliwym przedstawił ten epizod w odpowiedzi na ankietę „Wiadomości”:

¹⁶ A. Massalski, Gimnazjum im. Mikołaja Reja (Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego) w Kielcach w czasach szkolnych Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (1929–1937), w: O Gustawie Herlingu-Grudzińskim. 3, pod red. J. Pactawskiego, WSP im. J. Kochanowskiego w Kielcach, Instytut Filologii Polskiej, Kieleckie Towarzystwo Naukowe, Kielce 1999, s. 21–22.

¹⁷ G. Herling-Grudziński, Dziennik pisany nocą, 4 marca 1979.

¹⁸ APK, Akta Państwowego Gimnazjum ..., sygn.89, 90.

„W klasie siódmej o maty włoś nie zostałem na drugi rok, ale tym razem nie tylko dlatego, że uczyłem się [...] nieszczególnie. Obrońcy liberalizmu przedwojennego niech posłuchają łaskawie, jakie to zbrodnie popełniali kilkunastoletni chłopcy na zapadłej prowincji. W kiosku na głównej ulicy Kielc (lub jeśli kto woli Kłerykowa–Łżawca) kupowałem co pewien czas kilka wychodzących podówczas pism lewicowych: »Sygnały«, »Lewy Tor«, »Po prostu«. Zakupy moje obserwował pewien wysoki, szczupły pan o twarzy wilka stepowego, który w przerwach pomiędzy grą w bilard i popijaniem piwa w pobliskim szynku pełnił funkcje miejscowego Gallupa w dziedzinie nadobowiązkowej lektury szkolnej. Którejś nocy na stacji przy ul. Sienkiewicza pojawiło się trzech panów w zatłuszczonych płaszczach i zmiętoszonych kapeluszach, aby przeprowadzić rewizję u »kawalera z gimnazji Żeromskiego«. Byłem w owym czasie na feriach w Warszawie, toteż przebieg tej nocnej wizyty mogłem sobie tylko odtworzyć ze śladów, jakie pozostawiła ona na stacji. Na podłogach wałało się włośie z poprutych materaców, w kątach pokoiów stały nadwyżę fotele. Ofiarą rewizji padły stare numery »Sygnałów«, »Lewego Toru«, »Po prostu« i ... [...] »Wiadomości Literackie«. Z tej pożogi prowincjonalnej ocalał jedynie egzemplarz »Manifestu komunistycznego«, ukryty w jednym z tomów Szekspira, stanowiących własność moich gospodarzy. Nie aresztowano mnie wprawdzie po powrocie z Warszawy, ale musiałem opuścić stację, zacząłem kupować w kiosku na Sienkiewicza »Pion« i zabrałem się ostro do nauki»¹⁹.

W rzeczywistości historia ta wyglądała poważniej zarówno od strony „niewinnych zbrodni” kilkunastoletnich chłopców na zapadłej prowincji, jak i konsekwencji szkolnych. Gustaw był członkiem założonego przez emisariusza ze stolicy, jakiegoś studenta, tajnego kółka, do którego należało kilku czy kilkunastu uczniów z gimnazjum im. Żeromskiego oraz z gimnazjum żydowskiego. Z rozproszonych w czasie wspomnień Herlinga-Grudzińskiego wytłania się niezbyt jasny status tego kółka. Raz mowa o tym, że gromadziło ono jedynie sympatyków radykalnego rozwiązania problemów społecznych, innym razem – że było związane z partią komunistyczną, co prawda luźno, ale jednak... Najczęściej nazywał Herling jego członków dowcipnie „komunistami”. Konspiratorzy spotykali się z dala od niepożądanych oczu i uszu w porośniętych tarniną wyrobiskach górującego nad miastem wzgórza Karczówki, by mozolnie zgłębiać „święte księgi” marksizmu. Po odkryciu ich działalności policja przetrzymała przestraszonych spiskowców parę dni w areszcie. Gustawa to ominęło, ponieważ akurat wyjechał na krótko do brata mieszkającego już od wielu lat w stolicy.

W sprawach nauki i zachowania Gustawa przychodził do szkoły znacznie od niego starszy brat Maurycy,

nie ojciec. Maurycy, już dorosły i nieźle zapowiadający się adwokat warszawski, elegancki, ze stołecznym sznytem, robił wrażenie na kolegach Gustawa, na nauczycielach pewnie także. Prawdopodobnie to on wynegocjował najłagodniejszy z możliwych wyroków – zawieszenie brata w prawach ucznia na kilka miesięcy zamiast relegowania ze szkoły lub w mniej surowej wersji – powtarzania klasy. „Zawieszanie” za rozmaite szubackie przewinienia na parę dni lub dłużej było ulubionym i często stosowanym środkiem wychowawczym dyrektora Kuca, ale naprawdę mogło być gorzej. Dowodzi tego historia Janusza Pelca, tego ucznia, który na egzaminie wstępnym nie sprostął oczekiwaniom profesora Kaznowskiego. Janusz był porywczym chłopcem, sam po latach przyznawał, że w młodości lepiej było z nim nie zadzierać (może ten temperament sprawił, że w końcu został generałem armii izraelskiej). Pewnego razu rzucił pełnym kałamazem w nowego nauczyciela geografii, gdy ten powiedział coś obraźliwego o Żydach. Niewiele brakowało, żeby wyleciał ze szkoły z wilczym biletem, uratowała go interwencja kolegów, którzy wstawili się za nim u dyrektora. Wyrok złagodniono, ale musiał przenieść się na rok do gimnazjum w Krakowie, co się jemu akurat spodobało niezmiernie, bo zamieszkał u dziadka birbanta, który prowadził wnuka po krakowskich kawiarniach²⁰. Znacznie surowiej został ukarany syn wicedyrektora kieleckiego oddziału Banku Handlowego w Łodzi i radnego miejskiego Pinchas Rozenberg, jedyny znany z nazwiska towarzysz Gutka z tego kółka – pozostawiono go w klasie ósmej na drugi rok. Oczywiście, bez uzasadnienia, że to z powodu komunizowania, takich śladów kompromitujących szkołę w dokumentach się nie spotka – po prostu otrzymał kilka ocen niedostatecznych i obniżony stopień ze sprawowania pod pretekstem, że afiszuje się z „panienkami” na pryncypalnej ulicy Kielc²¹. Bez trudu można było Gutka obciążyć w ten sam sposób.

Notabene, Maurycy musiał mieć wyrzuty sumienia, bo zdaje się, że on również namieszał w głowie młodszemu bratu i to niemało. Sam już od jakiegoś czasu był porządnie wciągnięty w komunizujące środowisko. Przyjaźnił się między innymi z młodym małżeństwem z Grodna, u którego w 1940 r. na krótko zatrzymał się Gutek, kiedy próbował przedostać się na Zachód. „Nigdy w życiu nie spotkałem później ludzi, którzy by w sposób tak szczerzy i czysty wierzyli w idee komunistyczne” – tak z rodzajem podziwu scharakteryzował przyjaciół brata Gustaw w rozmowie z historykiem literatury Włodzimierzem Boleckim²². Natomiast całą sprawę szkolnych kłopotów spowodowanych własną wiarą w idee komunistyczne

²⁰ J. Peltz, Pamiętać, ale nie rozpamiętywać, w: Z kroniki utraconego sąsiedztwa. Kielce, wrzesień 2000, red. M. Pawlina-Meducka, Kieleckie Towarzystwo Naukowe, Kielce 2001, s. 173–174; A. Birnhak, Koniec pięknej epoki, „Przemiany” [Kielce] 1987, nr 11, s. 31.

²¹ APK, Akta Państwowego Gimnazjum..., sygn. 91, s. 10; sygn. 381.

²² Herling-Grudziński, Bolecki, Rozmowy w Neapolu, s. 126.

¹⁹ Herling-Grudziński, Ankieta..., s. 222–223.

po latach skwitował krótko: „Wszystko to jednak zostało w końcu załatwione”²³. A więc Maurycy.

Z ocen można wyciągnąć wniosek, że komunistycznych sympatii nie mogli darować wychowankowi nauczyciele dwu przedmiotów, które zawsze były jego piętą Achillesową: matematyki oraz fizyki z chemią. W powieści Jerzego Korey-Krzeczowskiego *Barwy młodości* (2007) obaj pedagodzy zostali scharakteryzowani w stylu Kornela Makuszyńskiego jako postrach młodzieży:

„Jeśli lekcje matematyki można było przyrównać do gwałtownego tajfunu, niszczącej wszystko burzy gradowej lub sromotnego Waterloo, to dla precyzyjnego określenia [...] zajęć z egzotycznych pod każdym względem przedmiotów fizyko-chemicznych trzeba by się odwołać do biblijnego potopu, siedmiu plag egipskich i wszystkich znanych i nieznanach nieszczęść tego świata razem wziętych”²⁴.

Powagę tego świadectwa mógłby popierać fakt, że wystawił je dawny prymus. Ma ono jednak charakter żartobliwy, a we wspomnieniach innych wychowanków szkoły obaj panowie jawią się zupełnie inaczej. Antoni Skucha cieszył się sympatią uczniów, choć towarzyszyła jej nuta uszczypliwości z powodu nieco groteskowego wyglądu: „oryginał duży, wysoki, chudy, przygarbiony; chodził w pumpach, skarpety w jakąś kratę, romby, trójkąty, idąc korytarzem, kotysał się na tych chudych, bocianich nogach na strony”²⁵. Ale na lekcjach był wyrozumiały i umiarkowany wymagający, poza tym po ojcowsku opiekuńczy, dlatego nazywano go „Tatą” (faktycznie był ojcem Krystyny Skuszanki, po wojnie dyrektorki Teatru Ludowego w Nowej Hucie). Mimo że skłaniał się ku naukom ścisłym, przejawiał wiele wyrozumiałości dla humanistycznych głów swoich uczniów. Józef Ozga-Michalski, w ławie szkolnej jeszcze tylko Michalski, niezbyt tęgi z matematyki, ale znany i ceniony nawet poza murami gimnazjum recytator i autor pisanych gwarą wierszy opiewających trud rolnika i wyrażających duchową moc oraz społeczny protest ludu świętokrzyskiego, utworami tymi zdobył przyjaźń profesora, także chłopskiego syna, który zaczął przymykać oczy na niedostatki wiedzy ucznia z algebry i geometrii. Michalski nawet przechwalał się po wojnie, że on, uczeń, wciągnął swojego nauczyciela do „utajonej przynależności organizacyjnej ruchu ludowego, działającego w opozycji do sanacyjnych władz”²⁶. W ostatniej klasie licealnej Michalski rzeczywiście był animatorem ruchu wiciowego w Kielcach i w okolicach rodzinnej wsi – Bielin. Nie zabiegał specjalnie o ukrycie swojej roli, mimo

że młodzieży szkolnej nie było wolno angażować się w żadne działania polityczne. Wprawdzie krążyły trudne do sprawdzenia pogłoski, że jemu również groziło zawieszenie w prawach ucznia, może nawet do tego doszło, choć nie bardzo wiadomo, z jakiego powodu – aktywności w ramach radykalnego ruchu ludowego czy futurystycznych wierszy szargających narodowe świętości. Wydaje się wszakże, że wiele sprawek uchodziło mu w szkole na sucho. Jeśli idzie o Gustawa – kielecki młodszy brat Cezarego Baryki nie miał tyle szczęścia i w przekonaniu profesora Skuchy musiał przekroczyć wszelkie dozwolone granice.

Podobnie myślał profesor Jan Strasz, nauczyciel fizyki i chemii, nazywany przez uczniów „Mongotem” z powodu szerokiej twarzy i płaskiego nosa. „Przeważnie uśmiechnięty i niezwykle dowcipny, wykładał z rubasznym humorem, lekcje przeplatał ciekawymi, często śmiesznymi dykteryjkami” – wspominał jeden z „żeromszczaków”²⁷. „Odpowiedzi uczniów oceniał zwykle krytycznie, komentując je krotchwilnie, bez złośliwości” – dodawał inny²⁸. Nawet Korey-Krzeczowski w końcu napisał w *Barwach młodości*, że „Mongot [...] samą dobrocią jest, młodeż kocha nad życie, choć swe rzeczywiste uczucia skrywa głęboko w swym poczciwym wnętrzu”²⁹. Wszystkie opisane wcześniej w powieści srogie wystąpienia profesora na lekcjach miały być rodzajem teatru, spektaklem, w którym nauczyciel dawał ujście swojej potrzebie gry (od czasu do czasu zdradzał jej reguły przez puszczenie perskiego oka), nie należało brać ich na serio i tego oczekiwał od uczniów. Wszakże ci słabsi do takiej interpretacji nie byli przekonani.

W stosunku do karygodnych czynów Gustawa profesorskie poczucie humoru musiało zawieść. I nic dziwnego, przez kilka lat po wojnie Jan Strasz był bezpartyjnym dyrektorem gimnazjum i liceum im. Żeromskiego. Nachodzony przez służby, które nie mogły zaakceptować tego stanu rzeczy, zrezygnował ze stanowiska. Fama głosi, że odmawiając wstąpienia do partii, miał powiedzieć: „Jak ja bym spojrzał w oczy moim uczniom!”³⁰. Z kolei Gustaw, jak zawsze słaby z fizyki i chemii, a więc z góry na przegranych pozycjach, dowcipów pedagoga nie był w stanie docenić, albo brał je za docinki. Ale też żalu z powodu dwój nie miał (sprawiedliwe) i zachował „Mongota” w pamięci jako „bardzo surowego, ale znakomitego nauczyciela”³¹. Z córkami profesora, szczególnie z tłumaczką z literatury serbsko-chorwackiej Danutą Strasz-Cirlić, korespondował po wojnie, wspominając wspólną młodość w Kielcach.

²³ G. Herling-Grudziński, *Wspomnienia...*, Chłopiec z Kielecczyny, nagrati i oprac. Z. Kudelski, „Rzeczpospolita” – „Plus +– Minus” 27–28 lipca 2002, nr 174.

²⁴ J. Korey-Krzeczowski, *Barwy młodości*, Otwarty Rozdział, Rzeszów 2007, s. 106.

²⁵ S. Żak w prywatnym piśmie do autorki.

²⁶ J. Ozga-Michalski, *Jak to było w gimnazjum, „Przemiany”* [Kielce] 1980, nr 9, s. 10.

²⁷ W. Cichocki, *Wspomnienia przedwojennego gimnazjalisty*, w: „Żeromszczacy” 2010. Księga pamiątkowa I Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach..., „Scriptum”, Kielce [2010], s. 166.

²⁸ B. Z. Machura, *Zawsze wśród ludzi*, Kieleckie Towarzystwo Naukowe, Kielce 2000, s. 42.

²⁹ Krzeczowski, *Barwy młodości*, s. 109.

³⁰ Żak, op. cit.

³¹ Herling-Grudziński, *Najkrótszy przewodnik...*, s. 12.

Spokojnie natomiast zniósł jego wybrzyk polonistka Anna Jodłowska, stawiając na półtorce i na koniec roku stopień dobry – może w odruchu solidarności z uczniem (podejrzewano ją o sympatie komunistyczne). Nie przejął się też nauczyciel religii wyznania mojżeszowego Józef Ksiński, niewzruszenie wpisując do dziennika klasowego ze swojego przedmiotu piątki. To już zakrawa na paradoks. Trudno przypuścić, by akceptował „Nową Wiarę” ucznia. Było raczej tak, jak wyznał Herling-Grudziński w ankiecie „Wiadomości”: w wyższych klasach interesował się na równych prawach „literaturą, komunizmem, zagadnieniami religijnymi, rybotówstwem i sportami wodnymi”. Swoisty bigos umysłowy, ale w wieku lat szesnastu-siedemnastu to normalne.

Aferę z kółkiem sympatyków komunizmu wziął sobie Gustaw do serca połowicznie. Po powrocie do szkoły i później, w klasie maturalnej, ostro zabrał się za naukę, odrabiając zaległości. Z kółkiem chyba jednak nie zerwał tak od razu. Potem już dobrze nie pamiętał, ile czasu karnie chodził na zebrania – sześć, może osiem miesięcy³². „Cudem przeszedłem do ósmej klasy i cudem również zdałem w rok potem egzamin maturalny” – przyznał³³. W klasie ósmej nie było tak źle – wrócił bardzo dobry z niemieckiego, dobry z propedeutyki filozofii, rutynowy dobry z polskiego, z reszty oceny dostateczne, ale znów bardzo dobry ze „sprawowania się”. Dopuszczony został do egzaminu dojrzałości. Z historii otrzymał temat: Wzajemny wpływ rewolucji wielkiej francuskiej i współczesnych wypadków w Polsce³⁴. Czy była to aluzja do zainteresowań ucznia? Sądząc po ocenie, nie były one zbyt głębokie, zaledwie dostateczne. Może przechyliło szalę drugie pytanie, które dotyczyło przemysłu w Polsce. Egzamin maturalny zdał 13 maja 1937 r.

Z ciągłot komunistycznych leczył się nieco dłużej. Zaraz po maturze i przez dwa lata studiów polonistycznych w Warszawie, które zbliżyły go z jednej strony do środowiska młodych demokratów z kręgu pisma „Orka na Ugorze”, z drugiej – do katolicyzmu. Ogromny wpływ na jego polonistyczne zainteresowania, a także kierunek duchowych poszukiwań, wywarł Ludwik Fryde, mentor i przyjaciel, młody krytyk literacki, podobnie jak on rozdarty pomiędzy dawne komunistyczne sympatie a biegunowo odmienne postrzeganie ludzkiej egzystencji w filozofii personalistycznej. Zwrot w stronę religii doprowadził go tuż przed śmiercią w niemieckim więzieniu do decyzji przejścia na katolicyzm i przyjęcia chrztu. Podobno Gustaw zrobił to samo wcześniej.

„Po mojej przygodzie gimnazjalnej z komunizmem – wspominał po latach – poczułem jakąś taką dziurę i w swoim życiu, i w swoim myśleniu, i bardzo się

zbliżyłem do religii, konkretnie do katolicyzmu. To się jeszcze pogłębiło w czasie moich studiów w Warszawie. Dla mnie to było bardzo głębokie przeżycie [...]. To się stało wtedy, kiedy przestałem się interesować, jako młody chłopak, próbami naprawienia świata proponowanymi przez komunistów [...]. W każdym razie stałem się człowiekiem wierzącym. Moja przyjaźń z Frydem to pogłębiła. On wtedy podobnie te rzeczy odczuwał, dzięki niemu czytałem Newmana, czytałem Maritaina i to nas bardzo związało osobiście [...]”³⁵.

Ten zwrot poprzedziło narastanie krytycyzmu wobec obiektu niedawnej fascynacji. Jeszcze w ostatnich miesiącach kieleckich o zwyrodnieniach władzy sowieckiej dowiadywał się z *Listu starego bolszewika*, jakoby autorstwa pupila i bliskiego współpracownika Lenina – Bucharina, który z apologety stał się krytykiem terroru rewolucyjnego i przeobrażenia żarliwej ideowości pierwszych budowniczych nowego wspaniałego świata w bezduszny system biurokratyczny. Sam Bucharin padł ofiarą czystek wśród wrogów ludu. Herling-Grudziński wspominał, że kiedy jako szesnastoletni chłopiec w Kielcach usłyszał o słynnych procesach moskiewskich, zrozumiał „ich wagę w tym sensie, że po prostu dla mnie bezspornie te procesy kompromitowały i ujawniały istotę tego systemu”³⁶.

Ostateczne otrzeźwienie nastąpiło w łagrze nad Morzem Białym, do którego trafił w 1940 r. W Związku Radzieckim poznał bezpośrednio przerażające, nieludzkie oblicze systemu totalitarnego. Obserwacje poczynione w zajętych przez Sowietów Lwowie i Grodnie, w przesłankowych więzieniach na obszarze całego kraju, w obozie w Jercewie, a po uwolnieniu w różnych miastach i miasteczkach imperium, zwierzenia współwięźniów – rozczarowanych lub nadal zaślepionych komunistów – wreszcie własne przeżycia, całkowicie pozbawiły go wiary, że można naprawić świat drogą rewolucji. Bo – jak wyjaśniał – dla niego jako gimnazjalisty „taki sens miało to kółko założone w Kielcach”³⁷. Niemal zaraz po opuszczeniu Jercewa w zakupionym po drodze notesie-dzienniczku zapisał jako wniosek z dwuletniego prawie pobytu za drutami obozu, że w ojczyźnie Gułagu, w kraju uśtanym trupami rozmaitych kategorii więźniów, ofiar czystek i kolektywizacji można „zważyć w człowieka i sens walki o to, aby mu było lepiej na ziemi”³⁸. Słowa te przeniósł do Innego Świata, zamykają one ostatni rozdział mówiący o powrocie niewolników pracy przymusowej pomiędzy ludzi wolnych. W prywatnym wymiarze Inny Świat jest niewątpliwie rozrachunkiem z młodzieńczymi złudzeniami autora.

³⁵ G. Herling-Grudziński, Ze wspomnień... Warszawa, Lwów i Grodno (1937-1940), nagrał i oprac. Z. Kudelski, „Kresy” 2002, nr 50, s. 187.

³⁶ Tamże, s. 184.

³⁷ Tamże, s. 187.

³⁸ G. Herling-Grudziński, Inny Świat, Zapiski sowieckie, Instytut Literacki, Paryż 1965, s. 244.

³² zob. film Titkowa Dziennik...; oraz: Zyguła, Dwa pożegnania Gustawa..., s. 162.

³³ Herling – Grudziński, Ankieta...

³⁴ APK, Akta Państwowego Gimnazjum ..., sygn. 159.

Zmiłuj się nad nami (fragmenty)

Andrzej Nowak-Arczewski

Prezentujemy wstrząsające fragmenty nowej książki znanego pisarza i reportażysty, Andrzeja Nowaka – Arczewskiego, która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Prószyński i Spółka.

Część pierwsza Odpust

Piekielny raj

W drodze do Klimontowa. Upał, duszno, pogoda niemal tropikalna. Ale za to, co za rajski widok. Kraina wśród sadów. Z góry, od Pęchowa, widać wieże klasztoru, poniżej – kolegiaty. – Taki mały town, a takie duże budowle – dziwią się potomkowie dawnych mieszkańców, gdy tutaj przyjeżdżają z zagranicy.

Znad tąd Byszówki unoszą się mgły. Obraz nierzeczywisty, jakby z innego świata. W tle dźwięki organów. W kolegiacie rozpoczęła się właśnie msza.

Na dole nagle znika rajski widok. Pojawiają się za to rozsypujące kamienice, komórki, szopy przyklejone do budynków, powyginane i zapadnięte dachy, działki zarośnięte chwastami. Tak jakby czas zatrzymał się tu kilkadziesiąt lat temu. Msza już trwa, pustki na rynku.

Ciche, spokojne miasteczko. Tak się wydaje początkowo. Jednak za chwilę okaże się miejscem bardzo mrocznym i pełnym niedomówień. Miejscem, w którym krew wypływa z domów, placów, sptywa uliczkami. Jak dotrzeć do źródła, by się przekonać, ile jest prawdy w zastyszanych opowieściach o przerażających mordach, wykopywanych ludzkich kościach.

Okrutne sceny wydostają się tutaj z każdego kąta. Wychodzą na wierzch ukrywane skrzętnie tajemnice. Nie dają spokoju, burzą utarty rytm życia, niepokoją, skłócają, irytują. Całe miasteczko w kolegiacie.

Po co tu przyjechałem? W co wchodzę? Słyszę przestrogi. – Jeszcze niedawno, gdy ktoś pytał o dawnych mieszkańców, mógł już stąd nie wyjechać.

Odradzają mi niektórzy. – Co chcesz pisać? Po co o tym wspominać? Myślisz, że z kilku rozmów będzie książka?

A jednak, jak się potem okaże, udaje mi się zebrać sporo materiału, przeprowadzić dziesiątki rozmów. Ale nawet i wówczas boję się, że nie oddam całej złożonej dramaturgii, ukrytych napięć między ludźmi,

grozy. Dopadają mnie wątpliwości, czy opowiadane przeze mnie historie są jeszcze komuś potrzebne.

Jednak głosy z zebranych opowieści chcą się wydostać na zewnątrz, wyjść na świat. Wspomnienia już nie chcą być uwięzione na kartkach wciśniętych do szuflady. Może jednak nie szkoda czasu i wysiłku.

Na razie jednak jeszcze tego nie wiem, wszystkiego mam się dopiero dowiedzieć. Podjeżdżam przed kolegiatę. Z głośników zamontowanych na zewnątrz świątyni rozlega się śpiew.



Klimontów Kolegiata św. Józefa.

Wniebowzięcie

Przyjemny chłód w kościele Świętego Józefa. Patrzy na mnie z wysoka fundator świątyni, kanclerz wielki koronny Jerzy Ossoliński. Być może właśnie w tym miejscu, gdzie teraz stoję, modlił się przyszły kardynał i prymas Polski Mieczysław Halka Ledóchowski, który urodził się w pobliskich Górkach. A może biskup sandomierski, Klemens Bąkiewicz. Masywne konfesjonały wzbudzają podziw i trwogę. Aż z Wiednia przywiózł je hrabia Antoni Ledóchowski.

Mieszkańcy modlą się, wyznają Bogu wiarę i miłość. Przyznają przed Stwórcą, że są grzeszni. Czy kreśląc znak krzyża mają przed oczami morze krwi, która tu popłynęła na Psiej Górze, w Rynku, na Sandomierskiej? Za chwilę, w swoich domach opowiedzą mi o tym, wyrzucą z siebie to, co tkwiło w nich przez lata.

Ale teraz spowiadają się, proszą o przebaczenie. Niech się zmiłuje nad nami Najwyższy i odpuści grzechy. Słowa modlitwy odbijają się od murów kolegiaty, ptyną po ulicach miasteczka, roznoszą

daleko po okolicy. Trwa uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny trwa.

Ksiądz Paweł Piędzio głosi, że Wniebowzięcie dzisiaj to pytanie o niebo, o drogę każdego człowieka. – Ale odpowiedzi na pytania o niebo nie szukamy w pojęciach teologicznych, spróbujemy je odnaleźć w tym, co autentycznie przeżywamy – zmusza do zastanowienia. – Niech to będzie nasz konkretny, upragniony cel. Gdy Wniebowzięcie stanie się naszym osobistym świętem, wtedy dotrze do nas prawda, że wywyższenie prostej kobiety z Nazaretu, może stać się udziałem każdego z nas.

Czy ktoś ze stojących w kościele bierze sobie do serca słowa księdza, który tłumaczy, że prostych prawd dzisiaj nie możemy zrozumieć i dlatego ciągle szukamy, błądzimy. Rzeczywistość zdaje się być nieodgadniona, tajemnicza. Istotą nieba, jak dowodzi ksiądz Paweł Piędzio, nie jest miejsce i przestrzeń, ale nasze głębokie, czyste, relacje osobowe. Takie momenty bliskości i jedności zdarzają się w życiu wielu ludzi bardzo rzadko, przy wyjątkowych okazjach. Na co dzień często jest tak, że żyjemy obok siebie, a jednak zupełnie obcy, bez wzajemnego porozumienia, chociaż w jednym domu, w jednym miasteczku. Niebo jest bliżej tych, którzy dzień po dniu budują relacje miłości i dialogu.

Ksiądz mówi o niebie, tym na ziemi. Niebie, które jeden człowiek może przybliżyć drugiemu. W tym momencie może niejeden ze starszych mieszkańców bardziej niż niebo ma przed oczami piekielne wrota, które w Klimontowie otworzyła wojna. I do tej pory trudno je zamknąć.



Chaja Groshaus.

Nie płacz! (zastyszone, wyszperane 1)

1.

Zarządzenie jest kategoryczne. Wszyscy Żydzi, oprócz małych dzieci, muszą na prawym ramieniu nosić białe opaski o szerokości 10 centymetrów z gwiazdą Dawida. Ich obowiązkiem jest pozdrawiać każdego napotkanego Niemca.

Za każdym razem interpretacja na niekorzyść Żyda. Opaska za wąska – bicie, opaska za szeroka – bicie, pozdrowienie – bicie, brak pozdrowienia – bicie.

Getto nie jest ogrodzone, ale przy każdym wyjściu z miasta stoi tabliczka z napisem, że Żydom nie wolno iść dalej. Niemiecka policja na rowerach i z psami pilnuje dróg. Za złamanie zakazu – kara śmierci.

2.

Na paskudny czas przypadła nasza młodość. Nie daje mi spokoju taki obraz. Ojciec niesie dla psa jedzenie. Biedny Żyd łapie miskę. – Jasek zostaw, to dla psa niosę!

A on: – Ponie, ja pies, ja pies.

I z tego talerza jadł.

Chodził po prośbie, chciał pożywić się wśród ludzi. Żydów było już takie zagęszczenie, że brakowało jedzenia. Tuż przed wysiedleniem.

Ojciec cofnął się za próg, wyniósł Żydowi to, co przygotował dla nas, pięciorga dzieci. Takie to były czasy! Nam by jadło nie weszło do ust, gdyby Żyd jadł kości dla psa. Przebywał krótko, ale tatuś się podzielił z nim tym, co miał.

3.

Pamiętam takiego wysokiego Dawida i jego synka Józia. Niemcy ich prowadzili z grupą Żydów pod synagogę, by rozstrzelać.

Dawid z synkiem na ramionach wystawał ponad wszystkich. Gdy zobaczyłam ich, nie mogłam powstrzymać łez. Zaczęłam szlochać.

A moja mama mówi: Nie płacz, bo pomyślą, żeś Żydówka.

– O Boże, co to człowiek był wart!

4.

Niemcy z policją żydowską robili porządki w getcie. Penczyna z żoną zaczął uciekać, zastrzelili go. Policjant żydowski wyjął Penczynię z cholewy zawiniątko, chyba z dolarami. Albo złotem.

Penczynę z żoną zabili w rejonie ulicy Tylnej. To widziałem na własne oczy. Na naszym podwórku leżeli martwi. Chcieli uciec z miasteczka.

5.

Gdy tylko wyruszył korowód śmierci, padły pierwsze strzały. Żandarmi niemieccy i ich pomagierzy, Łotysze, popędzali ludzi chorych, niedożywionych, starych, a gdy ci nie mogli iść, zabijali na miejscu. Już na rynku stynący z bestialstwa żandarm nazywany „aniołem śmierci”, znenawidzony Loescher, zastrzelił matkę i jej dwuletnią córkę Karmeser. Zabił też Szejnę Wajsbrota,

który przywarł do ciała swej zabitej żony i Niemcowi powiedział, że jej nie opuści. Tego już nie wytrzymał Dawid Apelbojm, znany pobożny człowiek. Powiesił się.
6.

Loescher zaprowadził Sarę na cmentarz i tam zastrzelił. To była córka piekarza Matesa. Ukrywała się w piwnicy. Doniosła na nią Polka. Loescher zastrzelił Mojsze Hojchera, którego także znaleziono w kryjówce.

Procesja

Nabożeństwo trwa. Śpiewa chór Akcji Katolickiej, schola „Chorał”. Gra orkiestra dęta kopalni siarki z Grzybowa. Na głowach muzyków piękne czapki z pióropuszymi. Podniosłość, dostojeństwo, powaga mszy świętej, mszy Wniebowzięcia, mszy dożynkowej.

W procesji z darami mieszkańcy składają Maryi, Matce i Królowej naręcza kwiatów i ziół z ogrodów, pól. Niosą przed ołtarz ozdobione kosze z owocami i warzywami, chleb wypieczony z tegorocznej mąki. Taka sama mąka sypała się do worków w młynie Mordechaja Penczynny, po taki kawałek chleba wyciągali ręce sąsiedzi Żydzi ukryci w komórce czy szopie.

Wszyscy odświętnie ubrani. Piękna pogoda, już od kilku dni dają się we znaki wysokie temperatury. Chłód w świątyni chociaż trochę pozwala, by odetchnąć od upałów.

Rozpoczyna się trzydniowy Jarmark Świętego Jacka. Dawniej odpust, odpuszczanie grzechów zgodnie ze średniowieczną tradycją. A dzisiaj? Piszczatki, cukrowa

wata, wybory miss, koncerty disco-polo, konkursy, mecze, wystawy. Współczesna wersja jarmarku. I tak od blisko dwudziestu lat. Masowa zabawa.

Przybywają setki, a nawet tysiące osób. Miejscowi i goście z sąsiednich wiosek, gmin, powiatów, regionów. Trochę rozrywki pośród codziennej monotonii. Jedna z największych w regionie imprez.

Wierni wychodzą z kościoła. Wśród nich wójt, radni. Kroczą zaproszeni goście, samorządowcy, parlamentarzyści. Są nauczyciele, kierownicy instytucji, szefowie firm. Za nimi idą pozostali mieszkańcy. Przodem orkiestra dęta, dalej wieniec dożynkowy, obok gospodyni i gospodarz dożynek.

Muzyka tworzy podniosły nastrój. Wszyscy zmierzają na miejscowy stadion. Niedaleko, po drugiej stronie rynku, stoi szkoła. Dawniej znajdował się tam cmentarz. W kącie leżą jeszcze kawałki płyt z nagrobków, macewy z niezrozumiałymi napisami, z roślinnymi motywami.

W Klimontowie ciągle mówią o dawnych sąsiadach, ale jakby wstydliwie, na ucho, w zaufaniu. – Dlaczego ta przeszłość ciągle jest skrywana? – zagaduję Mirosława Szeląga, który prowadzi w swoim domu niewielką izbę pamięci. – Czy to tak trudno się otworzyć? Wydusić wszystko, co siedzi w środku? Oczyszczyć się?

– Boję się cokolwiek powiedzieć. Tutaj mieszkam. Czy warto o tym opowiadać? Startuję na radnego i kojarzenie mnie z tamtą przeszłością to pewna przegrana.

Mirosław i tak za dużo powiedział. Przegra najbliższe wybory.



Pocztówka z klimontowa.

Sandomierska

Krew polata się na obrzeżach miasta, przy ulicy Sandomierskiej, w nocy z 16 na 17 kwietnia 1945 roku. Słychać było strzały. Trwały kilka, może kilkanaście minut.

Ludzie bali się wychodzić z domów, a przez okno niewiele udało się zobaczyć. Dopiero rano mieszkańcy ujrzeli straszny widok. Przed domem na Sandomierskiej leżały ciała pomordowanych. Była wśród nich kobieta w ciąży. Jej duży brzuch przykuwał uwagę. Dziecko musiało być już spore, może lada chwila pojawiłoby się z krzykiem na świecie. Nie było mu dane. Kilkanaście metrów dalej, obok kapliczki, leżał młody mężczyzna. Prerażenie, szok, lament.

To były ciała Żydów, którzy pojawili się w Klimontowie, gdy tylko przeszedł front. Wyszli z różnych kryjówek, zakamarków, chłopskich drewni, ziemianek. Pojedyncze osoby, niedobitki. Swoim niespodziewanym pojawieniem się zaskoczyli mieszkańców, którzy myśleli, że wszyscy niedawni sąsiedzi zginęli. Ich mienie zostało już podzielone.

Tymczasem oceni Żydzi niespodziewanie zjawili się w miasteczku. Chcieli jeszcze pozamykać swoje sprawy, rozliczyć się i wyjechać. W domku Fajntucha przy ulicy Sandomierskiej zebrali się pięć osób. Inni zatrzymali się w budynku przy Opatowskiej. Następnego dnia wszyscy planowali wyruszyć do Łodzi. Ci z Sandomierskiej nigdy tam nie dotarli. Próbowali uciekać, przez komin przedostawali się na dach. Bronili się. Nie dali rady. Zginęli wszyscy.

Coraz więcej mieszkańców przybywało na Sandomierską. Jedni powtarzali drugim, już zbierał się tłum. Ciała leżały. I ta kobieta w ciąży. Prerażający obraz. Ludzie płakali, szepotali między sobą. Od początku domyślali się, kto za tym stoi. Jednak oficjalnie na nikogo nie wskazywali. Strach ich paraliżował. A po co mi się mieszać? Za dużo powiesz, zapukają do ciebie. I to samo robią. Nikt nie chciał się wychylać.

A przecież od kilku miesięcy ta sama grupa mężczyzn dawała się ludziom we znaki. O wszystkim próbowała decydować. Rabowała. Szybko chciała się wzbogacić. Zdążyła już sporo zagarnąć i miała ochotę na jeszcze więcej. Nikt jednak nie chciał mówić.

Partyzanci

Pojawia się w Klimontowie Radostaw Januszewski, redaktor warszawskiego pisma. Przygotowuje reportaż, którego punktem wyjścia jest odkrycie ludzkich kości. Podczas powodzi w 2001 roku wyptukana je woda na szkolnym boisku. W tym miejscu znajdował się dawniej cmentarz żydowski. Dziennikarz rozmawia z mieszkańcami. Wtedy jeszcze żyją ci, którzy najwięcej wiedzieli o zdarzeniach na Sandomierskiej.

„W. też mieszka niedaleko synagogi i cmentarza. Na niego właśnie wskazano jako na jednego z tych, którzy zabijali. W. mówi, że był bardzo młody, nie miał jeszcze osiemnastu lat, gdy wstąpił do partyzantki.

Ale lata 1944 i 1945 spędził w sowieckich łagrach i więzieniach. Sypnął go kolega z partyzantki, w NKWD znali nawet numer jego karabinu.

Nie jestem pierwszym, który go pyta o pogrom.

– W zeszłym roku przyszło trzech Żydów – wspomina. – Jedna panienska Żydóweczka i jeden, co nie mówił po polsku. I jeden, co mówił po polsku. Ten pytał, kto strzelał do Żydów. Przedstawił się jako oficer. Jego rodzice mieli tu sklep z galanterią.

Drugi, niejaki P. – ten, o którym mówiono z ironią „a kury, a kaczkę” – też mieszka w Klimontowie. Jest prezesem miejscowego kółka kombatanów akowskich. Od wejścia Sowietów ukrywał się w okolicy – tak mówi. Wcześniej służył w zaopatrzeniu kompanii klimontowskiej. Działał aktywnie w AK. Zwalczali szpicli. – Niektórzy współpracowali z nimi – mówi. Oni to NKWD. – Jednego rozstrzelali, to był Abram.

Ale nie jest zadowolony z tego, co powiedział, bo nie chce, żeby mówili, iż jest antysemitą. Boi się, że znów go będą prześladować. – W Jedwabnem dostali policzek – konkluduje.

Był pogrom, przyznaje, ale on i jego ludzie w tym nie brali udziału. Mówi, że wtedy ukrywał się w Lublinie. – Potem były wyroki, był sąd. Wszystko było w żydowskich rękach – NKWD, UB. Twierdzi, że ci, którzy urządzili pogrom, to nie byli akowcy. – To byli bechowcy czy niezrzeszeni. To było w celach rabunkowych. Nie słuchaj pan, co ludzie mówią. To była grupa rabunkowa. Może upominali się o to, co zostawili u chłopów, gdzie się ukrywali?

Otarł się jednak o sąd w sprawie zabójstw dokonanych na Żydach. W 1961 roku był świadkiem w Sądzie Wojewódzkim w Radomiu. Tam chodziło o zabicie jednego Żyda. Znaleźli zabójcę – dostał osiem lat. Taki jeden G. z Klimontowa. Sąd się pytał, dlaczego to zrobił. Bo brata miał oficera we Lwowie i zamęczyli go Żydzi. Lali z balkonu smotę i gorącą wodę, jak wojsko przechodziło dołem po kapitulacji. – P. jest przekonany, że to święta prawda. Do czego to Żydzi są zdolni!

Twierdzi, że sam nie widział, jak G. zabijał. On się potem tym chwalił. Zeznał, że to słyszał. Sam siedział wtedy w areszcie. Aresztowano go – jak mówi – za niedopatrzenia w gminnej spółdzielni, ale prokurator pytał go głównie o tamtą sprawę zabójstwa. Dostał potem lekki wyrok.

Żegnamy się kordialnym uściskiem ręki. Potem jeszcze raz, na ulicy, spotykam P. Idę właśnie do Z., rolnika z pobliskiej wsi. – To wariat – mówi o nim P.

(...) W. o wszystkim wie od ojca. Sam miał wtedy pięć lat. W okolicy błąkał się Chaskiel, osiemnastoletni, może dwudziestoletni chłopak. Był u ludzi, ale go wygnali, bo się bali. Wreszcie na noc przyjął go ojciec W. Potem przyszli partyzanci, wyprowadzili Chaskiela i zastrzelili go. – To te sk... syny od P! – krzyczy”

1.

Ksiądz Paweł Piędzio dalej w swojej roli. – Droga do nieba to codzienność człowieka, to zmaganie się o każdą chwilę naszego życia, o każdy uczynek, o dobro i prawdę. Niebo jest otwarte dla każdego, ale szatan też przykuwa nasz wzrok. Czy mamy dość siły, by powiedzieć mu „idź precz”?

[illegible]

zmieniają się tylko ich stanowiska, funkcje, tytuły. Jakby z zaświatów przemykają między nimi duchy, zjawy, upiory, widma. Fakty mieszają się z wizjami, niedokończonymi obrazami, impresjami. W rozmowach pojawia się postać Brunona Jasieńskiego, syna znanego tu lekarza, społecznika, twórcy Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej, Żyda Jakuba Zysmana.

2.

Bruno Jasiński wystawia narodowy dramat. Gospodynię gra Stanisława Sabat, dziennikarza – Stanisław Skowroński. W najważniejszych rolach obsadza rodzinę. Jego starszy brat Jerzy, który później zostanie lekarzem w Krakowie, gra Pana Młodego, Rachel – siostra Renia. To jej Bruno dedykował poemat „Pieśń o głodzie” wydany w 1922 roku w Sandomierzu.

Bruno Jasiński długo pracował nad wystawieniem „Wesela”. Musiał przygotować mieszkańców do występu, głównie chłopów, przeważnie wtedy niepiśmiennych. Ubrania i wystrój izby są autentyczne, nic nie poprawiał. Kosy stawiane na sztorc przekuwał miejscowy kowal.

Otwórzcie serc waszych drzwi!

Omiećcie z pytu progi!

Oto z dalekiej drogi

W zbroczonym płaszczu w krwi

tysięcznogardły i tysięcznoręki

Wracam czerwonym szlakiem mojej męki

Kronikarze i biografowie zanotowali, że Jasieński jako Widmo Krzyku miał pojawić się tylko raz, przed rozpoczęciem spektaklu. Ostatecznie zdecydował, by owinięty w czerwoną płachtę wyjść także o północy, gdy ukazują się Chochół. Jasieński wypowiada znane z „Kapitału” Karola Marksa słowa: „Widmo krąży po Europie...”

Echa tych słów pojawią się potem w ludowej przypowieści o rzezi galicyjskiej, w „Stowie o Jakubie Szeli”, gdzie w imię sprawiedliwości społecznej krew leje się strumieniami.

3.

Po latach młodzi ludzie wystawią w miasteczku spektakl „Stójka” o dramatycznych losach poety

w Moskwie, o morderczych przesłuchaniach w więzieniu na Butyrkach, o śmierci. Ostatni akt życiowych doświadczeń Bruna Jasieńskiego, najokrutniejszy. Funkcjonariusze NKWD znęcają się nad nim wymyślając najokrutniejsze tortury. Doprowadzają go do tego, że obwinia siebie, przyznaje się do szpiegostwa, oskarża swoich przyjaciół i znajomych. Tyle lat minęło, a nadal nie wiadomo, gdzie jest jego grób.

Bruno Jasieński w 2011 roku przestanie być patronem miejscowej szkoły, która znajdowała się w klasztorze. Z budynku zdjęta zostanie granitowa tablica z wrytym fragmentem poematu „Słowo o Jakubie Szeli”, o pieśni jako największym skarbie i z zawartą na dole informacją, w których miastach tworzył poeta.

Ksiądz rektor klasztoru Czesław Gumieniak schowa tablicę do garażu.

Jeszcze tylko Anna Piątkowska, córka partyzanta, dopisze sceny do „Wesela” z oskarżycielskim monologiem Chochota.

To taki jej projekt, niedokończona wizja, niedopowiedziana impresja, wstydlivy obraz, ucieczka przed okrutną rzeczywistością, skomplikowaną, niejednoznaczną biografią rodziny.

Pod obcym nazwiskiem

1.

Zjawia się młody redaktor Gustaw Lawina. Jeszcze pełen energii i zapału, wiary w to, że będzie gwiazdą dziennikarstwa i literatury. Wydawać by się mogło, że przed nim wielka przyszłość.

Pisze jednocześnie w kilkudziesięciu gazetach. Niedawno poznał Władysława Reymonta, który pomaga mu wydać tom nowel „Ludowe Wesele”. Publikuje tomy poezji, utwory dramatyczne.

Przyjeżdża do Klimontowa, jest połowa 1923 roku. Nie po drodze mu z ulizanym dziennikarstwem. Zdaje sobie sprawę, że powinien zwrócić uwagę ostrym piórem, mocnymi sformułowaniami. Czytelnicy muszą zapamiętać jego tekst, zauważyć, inaczej nie warto zabierać się do pisanie.

Zaczyna niemal obrazoburczo: „Gdyby jakiś paryżanin zabłąkał się w Polsce no i znalazł się nagle w jednym z naszych miasteczek, np. w Ciepeliowie, Lipsku, Końskiej Woli, Bogorii, Iwaniskach, Połańcu, Koprzywnicy itd., itd., to naprawdę przykro zrobiłoby się temu gentlemanowi i zapewne poskarżyłby się głośno Bogu, że po wspaniałym i przepysznym Paryżu – pozostawił Stwórcę, na ziemi takie „parszywe azjatycko-semickie miasteczka”, z polską nazwą – a żydowską duszą... Podobne wrażenie odnieśliśmy, kiedy po raz pierwszy oczy nasze rzuciły po Klimontowie...”

Nie ustaje w ciętym języku, w charakterystycznym dla niektórych grup słownictwie: „Brudne, podrapane, obłocone „ulice” i uliczki i... rynek pełny „umorowanych”, oberwanych, ordynarnie rozpanoszonych i wyzywających żydaków...Co za widok?! Dante



Synagoga w Klimotowie.

napisałby „Polskie piekło”, Wiktor Hugo „Nędzni szubrawcy”, Andrzej Niemojewski – „Dusza żydowska w rynku Klimontowa”, a Adolf Nowaczyński „Judo-Plejozaurus”. Wszyscy ci wielcy pisarze i myśliciele mieliby wspaniały i niewyczerpany temat tylko o synach mędrców Syjonu...”



Przed wejściem do Synagogi.

Gustaw Lawina zastanawia się, czy w takim miasteczku nie ma w ogóle Polaków. Co robią, czym się zajmują, czy już całkowicie zostali zdominowani? Z pozoru można byłoby przypuszczać, że tak. Jednak to nieprawda, są aktywni, organizują się, prowadzą wiele instytucji, Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową, Straż Ogniową, Koło Polek, Stowarzyszenie Spożywców, Stowarzyszenie Nauki i Pracy. Dziennikarz z dumą pisze o ich osiągnięciach, inicjatywach, pomysłach. To dlatego Klimontów dla niego to nie zwykłe polskie miasteczko, wzór dla innych. Ludzie zabrali się do pracy, „do odrodzenia najpierw siebie, później i całej Polski”.

Wymienia nazwiska miejscowych spoteczników, księdza rektora Wiktora Barańskiego, doktora Zysmana, ziemianina, filantropa Chajęckiego, mieszczanina Władysława Nowakowskiego. „Oby takich obywateli jak najwięcej wśród nas było, a wkrótce za Klimontowem odrodziłoby się wiele takich miasteczek, miast, wsi, no i cała Polska” – pisze.

Ten podział spoteczności miasteczka nie wydaje się prawdziwy. Tak naprawdę ustalone granice są płynne, przenikają się wzajemnie. Wspominany przez

autora dr Zysman, „wytrwały organizator i opiekun wszystkiego, co polskie” jest Żydem z pochodzenia. Trochę innym, bo tworząc kasę wspiera Polaków przed monopolem swoich współpracowników.

Gustaw Lawina nie wnika w skomplikowaną tkankę społeczną miasteczka, liczne powiązania między ludźmi, współpracę ze sobą, wzajemną pomoc. Chce osiągnąć sukces od razu, nawet kosztem przerysowań.

2.

I rzeczywiście, tekst robi piorunujące wrażenie. W całości ukazuje się jeszcze w tym samym roku, 13 lipca, na łamach „Słowa”, gazety wydawanej jednocześnie w Kielcach i Radomiu. Od razu przynosi autorowi popularność w wielu środowiskach.

Gustaw Lawina zostaje współpracownikiem najpopularniejszego wtedy pisma, „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Wyjeżdża do Rzymu, spotyka się z najwybitniejszymi, najbardziej znanymi ludźmi swojej epoki. Poznaje Benito Mussoliniego, Mahatmę Gandhiego, oprowadza po Rzymie Gretę Garbo, utrzymuje kontakty towarzyskie z królem Afganistanu Amanullachem.

Ciągle jednak pisze pod pseudonimem. Tak jakby wstydił się obco brzmiącego nazwiska i swego pochodzenia. Naprawdę nazywa się Józef Szelchauz. Urodził się w 1896 r. w Denkowie, obecnie dzielnicy Ostrowca Świętokrzyskiego.

Pozostał bucik

1.

Szandla Zylberbogen pojawia się z maską przeciwigazową. Trwają akurat w szkole bardzo popularne ćwiczenia przysposobienia wojskowego. Po doświadczeniach pierwszej wojny światowej spodziewano się kolejnych zagrożeń chemicznych.

Dziewczynka z wprawą zakłada maskę na głowę. Jest pewna, że nic jej nie może się stać, gdyby doszło do wybuchu wojny i ataku chemicznego. Ale nie może przewidzieć, że ćwiczenia z maską jej nie pomogą, gdy wejdzie do łaźni w Treblince i z prysznica zamiast wody polecą gaz. Nie weźmie jej ze sobą, bo przecież idzie do kąpieli. Gaz ją zabije.

2.

Jeszcze trzy lata jest do wybuchu wojny. Szandla opisuje wszystko w zeszytach szkolnych. Gdy miała roczek, jej rodzina w 1924 roku przyjechała tu z Paganowa. Uczęszcza do szkoły polskiej i żydowskiej. Między ławkami z cienkim kijkiem chodzi nauczyciel Rusinek.

Szandla zapisuje: „Wiemy, że ten nasz wychowawca jest surowy, ale chce dla nas dobrze. I szanujemy go. Nasza klasa bardzo go kocha, ponieważ widzimy jego pracę i wysiłek, jak on stara się nas nauczyć czegoś. Ale choć pan profesor na nas czasem się gniewa, my wiemy, że to dla naszego dobra. Profesor

Rusinek pragnie nas wypuścić ze szkoły jako obywateli przygotowanych do dorosłego życia. Ostatnio w naszej klasie zostały przeprowadzone wybory do gminy klasowej. Pomysł ten podsunął nam Pan Rusinek, który wytłumaczył nam, na czym to wszystko polega i jakie zadania należą do zarządu. W „Bajach Jaków”, bo tak nazywa się szkoła żydowska, lekcja trwa tylko półtorej godziny, chociaż niemało pracuję umysłowo, to nic nie wpływa ujemnie na mój układ nerwowy. W szkole uczymy się języka hebrajskiego.”

W wielu fragmentach Szandla prowadzi prywatny dziennik. Píše o swoich lekturach, o książkach Marii Konopnickiej, Henryka Sienkiewicza. Opisuje największe uroczystości w miasteczku, obchody Święta Niepodległości 11 Listopada. Utożsamia się z Polską, Polakami. Píše, co ciekawe, że „my” Polacy odzyskaliśmy wolność.

„11 listopada obchodzimy naszą wielką rocznicę odzyskania niepodległości w całej Polsce jak długa i szeroka. 11 listopada 1918 roku odzyskaliśmy wolność i nie będziemy już pod jarzmem rosyjskim czy niemieckim. I dlatego też każdy Polak powinien ten dzień bardzo czcić. Wieczorem 10 listopada każdy z nas zbiera się na Placu 11 Listopada, gdzie zazwyczaj są wygłaszane różne mowy i referaty. Po zakończeniu mów odbywa się pochód po całym mieście ze śpiewem. Następnego dnia w kościele parafialnym zostaje odprawione uroczyste nabożeństwo. Następnie zbieramy się w Domu Ludowym, gdzie odbywają się różne mowy i deklamacje. Zazwyczaj na zakończenie uroczystości zostaje wystawiona krótka scenka, która pokazuje, jak Polacy dzielnie bronili swoją Ojczyznę, walcząc do ostatniej kropli krwi” (oryginalna pisownia z odnalezionych zeszytów).

Klasa VII, rok szkolny 1939/1940. Szandla już chyba nie kontynuowała nauki. Ciekawa jest strona jednego z zeszytów z napisami: Krakauer, Berman. Szandla ze swoją koleżanką zajmują się popularną grą zwaną kółko – krzyżyk. Zatapia okręty na kartce w kratkę. Wymienia cyfrę w poziomie i literkę w pionie. Jeśli trafi, stawia krzyżyk, jeśli spudłuje – kółko. Wygrywa ten, kto szybciej zatopi okręty przeciwnika. Niby beztroskie lata, ale już zbliża się to, co najgorsze.

Urywają się nagle notatki w zeszytach.

3.

Po latach rówieśnik Szandli, Łukaszek Mucha na strychu starego domu przy ulicy Ossolińskiej odnajdzie stare zeszyty, które w plewach, postrzępione przez myszy, przeleżały ponad siedemdziesiąt lat.

Na strychu znajdowały się też zniszczone częściowo materiały z zakładu fotograficznego. Z negatywów małoobrazkowych udało się wydobyć niektóre postaci. Przypominają wycieńczonych więźniów gdzieś z dalekiej Syberii. Wszystkich łączy to samo spojrzenie, w którym jest strach, bojaźń, smutek, brak jakiegokolwiek nadziei. Widać, że zdjęcia wykonywano pod przymusem. Ludzie na nich są pobici, okaleczeni.



Żydowscy mieszkańcy Klimontowa.

Na niektórych są twarze z sińcami pod oczami, pokrwawionymi wargami.

Pośród wielu rzeczy na strychu znajduje się też dziecięcy bucik.

4.

Łukaszek Mucha odnajduje zeszyty. Potem dostaje się na studia, kończy archeologię. Obecnie mieszka w Londynie.

W miejscowej gazecie uczennica Angelika Mucha po latach przeprowadzi wywiad z Szandlą. Zainspirują ją do tego znalezione zeszyty, wykorzysta znajdujące się w nich notatki. Będzie to taka podróż w czasie, rozmowa, jaka mogłaby się naprawdę odbyć.

Kawał drania! (zastyszane, wyszperane 2)

Karl Loescher to był kawał drania! Chodził pod bożnicę, policji żydowskiej kazał sobie przyprowadzać dziesięciu Żydów. Zabijał ich i dopiero szedł na śniadanie.

Szef żandarmerii, pan i władca. Tak długo strzelał do ludzi, aż sam został zastrzelony. Wyrok wykonali partyzanci. Gdzie zginął? Na rynku, obok księgarni. Spacerował samotnie w dzień targowy, podeszło do niego dwóch partyzantów. Strzelił jeden z nich, Józef Bojanowski. Pościg za partyzantami celowo został wystany z opóźnieniem.

Nawet Niemcy nie szanowali Loeschera, bo nie dość, że zabijał, to jeszcze wymuszał od ludzi kosztowności. Żydzi dawali mu złoto, by się wykupić, a on i tak nikogo nie oszczędził. Podobno zgromadził

pięćdziesiąt kilogramów cennego kruszcu. Paul, który z nim pracował, przywiózł je potem z Niemiec do Klimontowa.

Donat, szef sandomierskiego gestapo, miał powiedzieć, że Polacy wydali na Loeschera sprawiedliwy wyrok.

2.

Kolejne zarządzenia. Produkty spożywcze, które zostały w domach żydowskich, mają być złożone do bloku. Pracownicy Judenratu przebierają, biorą dla siebie najlepsze.

Żydzi z batalionu roboczego muszą pracować przy grobach, sortować rzeczy, które Niemcy sprzedają na licytacjach. Pomiędzy miejską i wiejską ludnością polską tworzy się konkurencja. Ci z miasta nie chcą dopuścić wsi, by wykupiła to, co lepsze.

Nikt nie może wchodzić do żydowskich domów. Kobieta z Konar zlekceważyła zarządzenie. Weszła. Zastrzelił ją na miejscu niemiecki żandarm Tajzer.

3.

Malutki grób siedmioletniego Abnera Diamanta. Jego rodzinie udało się przetrwać wysiedlenie. Polacy pomagali, ukrywali, przynosili jedzenie i wodę. Pewnego dnia do domu wpadł oddział NSZ. Z zimną krwią zastrzelił całą żydowską rodzinę. Uratował się jedynie Abner.

Jak to się stało? Umierająca matka upadła na niego i ostoniła go własnym ciałem. Przeżył.

Gdy się ściemniło, Abner poszedł do pobliskiej wsi. Tam dobrzy ludzie go przyjęli, nakarmili, odprowadzili

do Klimontowa. W rodzinnej miejscowości zaopiekowała się nim uboga wdowa, wychowywała jego i swoje dwie wnuczki. Chłopiec poprosił nawet o chrzest. Był wdzięczny za każdą pomoc. Mówił, że kiedy to wszystko się skończy jego krewni z Ameryki wynagrodzą wszystko to, co dobrzy ludzie robią dla niego. Nie zdążył przyjąć chrztu. Ktoś wydał chłopca niemieckiej żandarmerii. Błagania o litość i wskazanie kryjówki z pieniędzmi ojca na nic się zdało.

Po dwóch dniach Abner został zastrzelony na cmentarzu.

4.

Żiwa Kupferblum, rocznik 1926, córka Arona Kupferbluma. Jej ojciec młynarz z Gór Wysokich został zabity widłami przez chłopca w 1942 roku i pochowany we wsi niedaleko Dwikóz. Żiwa znalazła się na liście Wildsteina jako zarejestrowana przez tajne służby komunistycznej Polski.

W 1941 roku wstąpiła do PPR. Zaangażowała się w działalność partii całym sercem i jak sama pisze zaczęła wprowadzać zmiany w swoim życiu. Rok później, po wysiedleniu getta, pracowała jako robotnica w gospodarstwie w Mokoszynie, następnie przeniosła się do getta w Zawichoście, skąd uciekła ukrywając się koło Klimontowa, w Garbowicach, pod przybranym nazwiskiem Zofia Kwiatkowska. Swoją życiorys kończy zdaniem: A teraz w nowej Polsce chcę w dalszym ciągu w myśl naszego programu dalej pracować.

Najpierw pracuje jako maszynistka w Wydziale Cenzury Wojennej i Wojskowej, a następnie zostanie skierowana jako kandydatka do Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych. Jest oficerem, jednak szybko rezygnuje z pracy, by poświęcić się rodzinie. Wraz z mężem Chaimem Izaakem Jungmanem i synem Adamem pod pretekstem choroby współmałżonka wyjeżdża do Baden. W 1956 roku na zawsze osiedla się w Buenos Aires.

Ludzie w Dwikozach pamiętają, gdy jako kapitan chodziła w mundurze wojskowym. Kiedyś pewna kobieta spotkała ją w Łodzi. – My się znamy – zagadnęła. Zofia zaprzeczyła. – Jestem Zosia Kowalska, nie żadna Żiwa – odpowiedziała i odeszła.

Zanim wyjechała do Argentyny, Żiwa miała jeszcze zgłosić do Wydziału Cenzury Wojennej, że posterunki milicji obywatelskiej w tym rejonie obejmują ci, którzy mordowali Żydów podczas wojny. Czy zrobiła to w akcie zemsty za śmierć ojca, czy kierował nią strach przed powrotem w rodzinne strony? Tego nie dowiemy się nigdy. Obecnie, według relacji profesor Joanny Tokarskiej-Bakir, Zofia Kwiatkowska jest sparaliżowana po udarze mózgu. Wciąż przebywa w Argentynie. Rozmowa z nią nie jest możliwa.

5.

Pociąg jechał w kierunku Sandomierza. Nagle zatrzymał się w Górach Wysokich. Wsiadła tylko

jedna osoba. Kobieta w mundurze wojskowym, w stopniu kapitana. Wyszła i spokojnie, bez pośpiechu ruszyła w górę, w stronę budynków. To tam jej ojciec był przechowywany i zabity widłami przez chłopca.

Nagle z oddali rozległy się strzały. Kobieta wróciła i wsiadła do wagonu. Pociąg ruszył dalej.

Potem ludzie opowiadali, że kobieta w mundurze wojskowym zastrzeliła gospodarza, żeby pomóc śmierć ojca.

6.

Mieszkałem na ulicy Tylnej, walczyłem w Armii Krajowej. D. S. był elektrykiem, zaraz po wyzwoleniu stał się właścicielem pięknego budynku. Kupił podobno od jakiegoś adwokata. Ale to jest znak zapytania. Ludzie mówią, że dolarami płacił. Ale kto to udowodni. To było mnóstwo pieniędzy, wówczas nie do wyobrażenia. Jego syn teraz odremontował budynek. Ładnie wygląda. A rodzice D. byli biedni. Mieszkali naprzeciwko stadionu. D. ożenił się u P., którzy kupili sąsiedni budynek od doktora Zbigniewa Kulińskiego.

To prawda, niektórzy bardzo się wzbogacili. I skąd mieli pieniądze? To znowu znak zapytania.

7.

Paweł Pawlikowski kręcił oscarową „Idę” koło Klimontowa, w Garbowicach. Czy przez przypadek? Czy był w tym jakiś głębszy sens? To przecież tu ukrywała się Żiwa Kuferblum, czyli Zofia Kwiatkowska. A pani prokurator z filmu? Czy to nie kolejny wariant tego samego losu?

8.

Rabin Klimontowa Simche Gelernter chciał ocalić święte księgi przed zniszczeniem. Gdy dowiedział się o wysiedleniu, zakopał zwoje Tory. Po wojnie, gdy Żydzi wrócili do Klimontowa, już ich nie znaleźli. Miejscowi chłopci, którzy o wszystkim wiedzieli, wykopali zwoje. Służyły im jako wyściółka do butów.

W kartki ze świętych ksiąg żydowskich, modlitewników mieszkańcy przez wiele lat pakowali mięso i wędlinę.

Cudem ocalona

Sabina Wajsbrod z Opatowskiej, córka Chaima, właściciela składu drewna, uratowała się cudem trzy razy, a może i więcej.

Najpierw w czasie wielkiego wysiedlenia 1942 roku, gdy rodzina Bieniasów przechowała ją na Stawisku. To zaledwie dwa kilometry od Klimontowa. Sąsiedzi zaczęli coś podejrzewać. Nasyłali żandarmów, szpicli. Na szczęście nikogo nie znaleźli w gospodarstwie Bieniasów.

Z Sabina zaprzyjaźnił się syn gospodarzy, Stefan. Pomagał jej wtedy, gdy było najtrudniej, często rozmawiał. Gdy docierały do niej dramatyczne wieści o śmierci najbliższych, pocieszał, mówił, żeby się

nie poddawała. Przyjaźń przerodziła się w miłość. Po wojnie wzięli ślub.

To piękna historia o miłości, chociaż są też tacy, co mówili, że nie uczucie się liczyło, tylko majątek. Na pewno miała pieniądze.

Potem cudem uratowała się w kwietniu 1945 roku. Nie poszła do domu przy ulicy Sandomierskiej, w którym wszyscy zginęli. Tego dnia akurat przebywała u siebie na Opatowskiej.

Zamordowani dzień wcześniej gościli na jej ślubie ze Stefanem Bieniasem. Podczas spotkania w zakonie siostra Joanna odczytuje mi fragment „Kroniki domowej” dotyczący tego właśnie zdarzenia.

Po zbrodni w Klimontowie stawiało się niebezpiecznie. Sabina, chociaż przyjęła wiarę katolicką, jak najszybciej opuściła miejscowość. Wyjechała z mężem do Stalowej Woli.

Kilkanaście miesięcy później dom rodzinny przy Opatowskiej sprzedała Irenie Szkutnik. Teraz mieszka w nim miejscowy regionalista, przewodnik, poeta Stanisław Sas-Tarnawski, którego matka nabyła budynek w latach sześćdziesiątych.

I jeszcze jeden epizod, gdy cudem się uratowała. Przed ślubem ze Stefanem Bieniasem chłopcy wywieźli ją do lasu i bili młotkiem po głowie. Obawiali się, że będzie występować o zwrot zagrabionego przez nich majątku. Nie dawała oznak życia, przysypali ją liśćmi. A ona ożyła na zgubę swych prześladowców, co przypomniał po latach Tomasz Staszewski.

Sabina Bienias zmarła kilka lat temu, dożyła sędziwego wieku, ponad 90 lat. Mieszkała w Stalowej Woli ze swoim mężem, który jako inżynier pracował w tamtejszej hucie.

Do Klimontowa rzadko przyjeżdżała, chociaż to całkiem blisko.

Cudem ocalona (2)

Sabina przechowywała się z rodziną u Leśniewskiego, pracownika młyna w Rybnicy. Kiedyś przyszedł on do nich w nocy i powiedział, że robi się groźnie. W każdej chwili mogą pojawić się żandarmi.

Leśniewski przeniósł całą rodzinę do pobliskich kamieniołomów i pokazał niby bezpieczne miejsce. Gdy wszyscy się usadowili, zaczął do nich strzelać. Zabił siostrę Sabiny, jej szwagra, dwoje dzieci. Tylko jej udało się uciec.

Sabina znalazła schronienie u kobiety, która sprzątała we młynie. Leśniewski powiadomił policjantów, którzy zabrali ją na posterunek.

Myślał, że policjanci ją zabiją lub przekażą Niemcom. A oni ją zamknęli w areszcie.

Leśniewski nie dawał za wygraną. Wykradł ją stamtąd z kilkoma chłopami i bił kółkami. Zostawił ją, gdy wydawało się, że już odeszło z niej życie.

Ona jednak odzyskała potem przytomność. Podniósł się i poszła do swojej kuzynki. Leśniewski i tam ją odnalazł. Próbował zabić siekierą. Ranną



Mieszkańcy Klimontowa.

dziewczynę przewieziono do Szymanowic Górnych. Potem zaopiekowała się nią rodzina Bieniasów.

Feliks Grzesik rozmawiał z Sabina już po wojnie. Opowiadała mu, jak prokuratorzy namawiali ją do złożenia zeznań, które obciążłyby jej prześladowców. Ona jednak nie chciała. Mówiła, że przeszła na religię chrześcijańską, która każe wybaczać winowajcom.

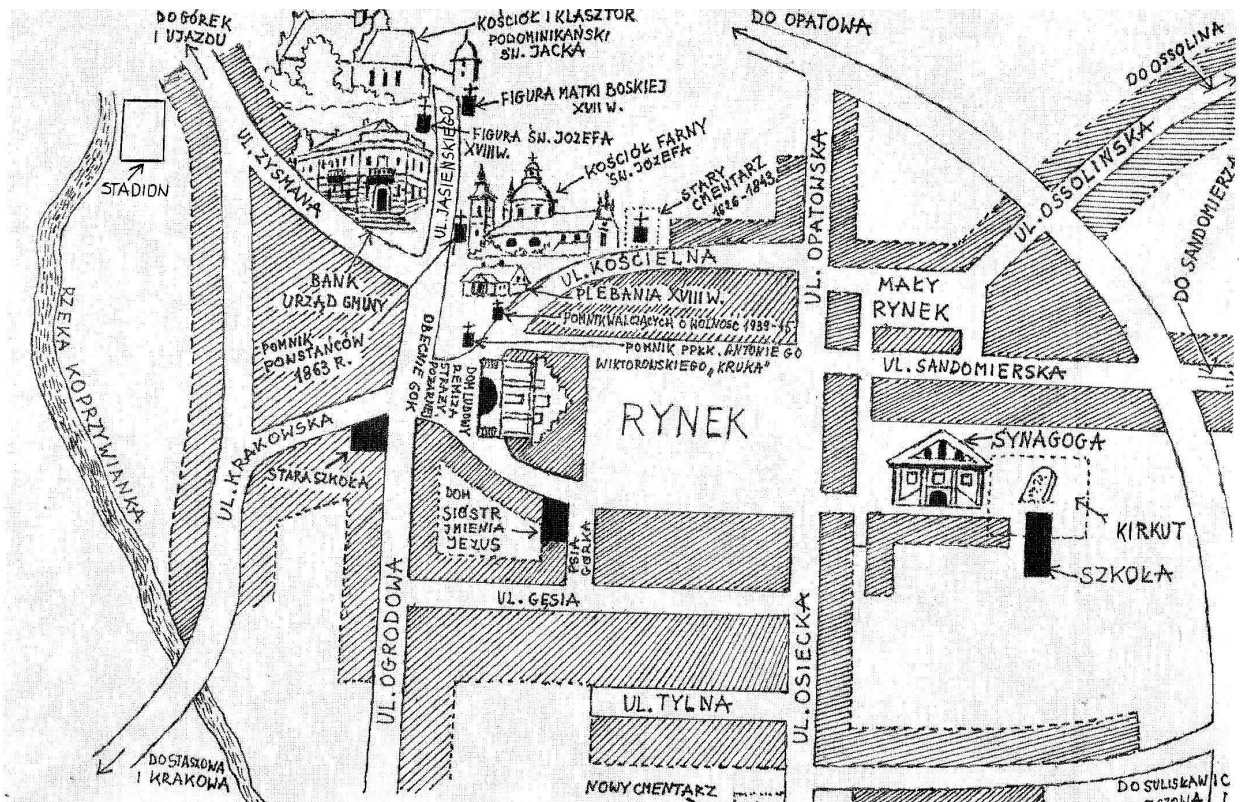
A co z Leśniewskim? Srogo odpokutował. Los się na nim zemścił. Na podstawie jakichś poszlak trafił do więzienia. W ulicznej kałuży utopił mu się trzyletni synek. To była dla niego jeszcze większa kara niż wyrok śmierci, który otrzymałby po zeznaniach dziewczyny. Po siedmiu latach Leśniewski zmarł w więzieniu.

Za stodołą w Zagaju

Podczas okupacji do gospodarza w Zagaju przyszło kilku zamaskowanych partyzantów z Klimontowa. – Gdzie jest ten Żyd, którego tu ukrywałeś? – pytają go. – Nie wiem.

Partyzanci zrobili rewizję w domu, przeszukali stodołę, byli na strychu, zajrzeli do obór. Nikogo jednak nie znaleźli.

Zaczęli bić gospodarza kańczugami i kijami. Znęcali się nad nim, kopali. Pewnie by go zabili, gdyby nie żona. Zaczęła błagać o łaskę dla męża. Pokazała dziecko w kolebce, synka, który dopiero co się urodził.



Plan Klimontowa.

- Jest u sąsiada, na górze – wydała Żyda. Po nocnej wizycie gospodarz był cały siny. Żona leczyła go przez dwa tygodnie.

Partyzanci znaleźli Żyda i zastrzelili go za stodołą.

Syn sąsiada zwierzył się potem, że znalazł dwadzieścia dolarów. A gdzie? W sieni powiesił na drewnianym czapkę, która Żydowi spadła, gdy prowadzili go za stodołę.

Nosił czapkę dwa lata. Trochę mu się popruła, próbował ją zszywać i znalazł pod podszewką zwitek banknotów.

Po wojnie mieszkańcy poznali partyzantów. Ale ci zagrozili, że jak ktoś powie o Żydzie, to mu przez przypadek może stać się coś złego.

Podczas przesłuchania wszyscy milczeli. Bali się, że gospodarstwo może pójść z dymem.

Koszmary

Nie mógł sobie poradzić. Męczyły go nocne koszmary. Aż wreszcie przyszedł do prokuratora i powiedział: - Zabitem człowieka!

Włodzimierz Gadulski nie wiedział, co się stało z jego dwoma braćmi, Janem i Szymonem. Byli starsi od niego, bardziej doświadczeni. Gdy wybuchła wojna, zostali powołani do wojska. Walczyli na froncie wschodnim. We wrześniu, październiku trzydziestego dziewiątego roku jeszcze przychodziły od nich listy. Potem słuch o braciach zaginął.

W środku wojny pojawiła się informacja, że Jan i Szymon Gadulscy zginęli na Wschodzie. Znaleźli się na liście katyńskiej. Donosiła o tym gadzinówka

niemiecka. Wytłuszczonym drukiem było napisane, że zbrodni na polskich oficerach dopuściło się NKWD. A wiadomo, NKWD to Żydzi.

Tego już było za wiele. Włodzimierz Gadulski poprzysiągł zemstę. Od miejscowych partyzantów dowiedział się, gdzie ukrywa się Chaskiel Grosfeld. Poszedł z nimi i go zastrzelił. Nie miał litości dla Chaskiela, chociaż to był jego kolega ze szkolnej ławy.

Kilka lat po wojnie otrzymał list z Wielkiej Brytanii. Dowiedział się, że bracia żyją. Walczyli w armii Andersa, przelewali krew we Włoszech. A z Katyniem to zaszła pomyłka.

Męczyło go sumienie. Zgłosił się do prokuratury.
– Zabitem człowieka! Kolegę z ławy szkolnej! Jestem mordercą!

- Sprawa uległa przedawnieniu. Minęło już dwadzieścia lat. Wystarczy pismo, że dla zysku, z chęci korzyści materialnych.

- Zabiłem z pobudek politycznych. Byłem przekonany, że to Żydzi zamordowali mi dwóch braci.

- Trzeba napisać trochę inaczej.

– Nie, nie mogę.

Włodzimierz Gadulski otrzymał wyrok. Więzienie w zastrzonych warunkach. Siedział we Wronkach. Jedenaście lat. Ani dnia krócej.

Nie wrócił już do Klimontowa. Pracował trochę w zakładach młyńskich w Aleksandrowie Kujawskim. Zaraz zmarł.

Haskiel Grosfeld przechowywał się u Kwietnia w Zagaju. Na górze. Często przebiegał obok domu Feliksa Grzesika, zaglądał do sąsiadki Lasotowej, gdzie załatwiał jakieś sprawy.



Zabudowa przy ulicy Kościelnej.

Wracał przez podwórko Feliksa, przez pole Kilarzkiego, ogród. Biegł w stronę cmentarza, potem skręcał na prawo, przez Ogródową, przez rzekę. Miał tam przerzucony kamień, po którym przeskakiwał na drugą stronę.

Gdy wieczorami wracał, matka Feliksa pytała: – Haskiel, zjesz trochę zupy?

– Zjem, bardzo chętnie.

I matka Feliksa go częstowała.

– Są rzeczy, które się przeżywa i które wyrte są piętnem – mówi po latach Feliks Grzesik.

Gdy przychodzi wieczór

Ważne są w życiu chwile, nastroje. Zdarza się, że ludzie tutaj czasem mówią o tym, o czym naprawdę myślą.

Tomasz Staszewski, artysta plastyk z pobliskich Sulistawic opowiada, jak jego mama była świadkiem zdarzenia z czterdziestego czwartego roku. Niemcy ładują ze sklepów towar na ciężarówkę. Uciekają przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Od Opatowskiej, z góry idzie jakiś gospodarz, niesie na ręku dziecko.

Gospodarz jest na rogu Sandomierskiej, podchodzi do jednego z Niemców. Coś szepce Niemcowi do ucha i podaje mu dziecko. Niemiec chwyta maleństwo za nóżkę i rozbija mu głowę o kant najbliższej kamienicy stojącej na rogu Sandomierskiej i Opatowskiej. Mózg się rozlewa.

Mama pana Tomasza to widzi. Czegoś się domyśla. – Gospodarz na pewno dziecko przechowywał gdzieś w Pęchowie lub dalej – opowiada po latach. – Potem wydał Niemcom. Różne powody decydowały o jego postępkach. Może nie chciał go dalej chować, bo swoich miał kilkoro. Wcześniej chował, bo może mu Żydzi za to zapłacili. Gdy przestali płacić, dziecko stało się niepotrzebne.

Być może był zastraszony. Może bał się o rodzinę, ratował swoje i jej życie. Tak, może zrobił to ze strachu. Lepiej tak myśleć i tłumaczyć sobie jego zachowanie. Ale i to go nie usprawiedliwia. Postąpił jak kanalia.

Prymitywni ludzie, okrutni, wyobrażali sobie, że Żydzi mają dużo złota. Tymczasem większość to była biedota. Nieliczni posiadali drogocenne sztabki.

Jedna z Żydówek uratowała się z wojennej zawieruchy, chociaż miejscowi myśleli, że już nie żyje. Tymczasem żywa pojawiła się na śledztwie w Sandomierzu. Dużo wiedziała o miejscowych zbrodniach. Mężczyźni przestraszyli się. Myśleli, że zmartwychwstała po to, by ponieść surową karę.

– Dlaczego mieszkańcy Klimontowa pod wieczór wychodzą ze swych domów, by porozmawiać?

– Nie mogą wytrzymać w swoich domach. Tak straszą ich duchy dawnych sąsiadów.

Cześć trzecia Zmywanie krwi

Lekarz

Już po wojnie teściowa Feliksa Grzesika, Marianna Nowakowska pojechała z chorym mężem Czesławem do Krakowa. Zdecydowała się na podróż, bo miejscowi lekarze nie potrafili mu już pomóc.

Szukała wsparcia u brata słynnego poety, u doktora Jerzego Jasieńskiego, ale nie zastała go w szpitalu. Pojechała do jego domu. Gospościa otworzyła drzwi i powiedziała, że doktor jest nieobecny.

– Co my biedni pocniemy? Jak wrócimy do Klimontowa po nocy? – żaliła się.

Nagle otworzyły się drzwi z sąsiedniego pokoju. – To wy jesteście z Klimontowa? Z Sandomierskiego?

Lekarzy Jerzy Jasieński przyjął ich, chociaż było już późno w nocy. Zawiózł Czesława do szpitala.

Po kilku tygodniach choroba ustąpiła. Czesław mógł wracać zdrowy do Klimontowa

Kadisz za sąsiadów

Nie ma już w Klimontowie „Brunonaliów”, festiwalu kultury żydowskiej, sztuki awangardowej, spotkań poświęconych Brunonowi Jasieńskiemu. Nie ma spektakli teatralnych, pokazów filmowych, koncertów, wystaw, happeningów, warsztatów plastycznych, muzyczno-ruchowych, języka jidysz.

Nie ma mowy, by wybudować pomnik na dawnym kirkucie, zorganizować nabożeństwo ekumeniczne, zrewitalizować synagogę.

Nie powiodła się inicjatywa trwałego wskrzeszenia pamięci o dawnych mieszkańcach.

Maria Więckowska z warszawskiego Stowarzyszenia Miłośników Twórczości Brunona Jasieńskiego: Brak funduszy to jedna z przyczyn odwołania imprezy, ale nie jedyna. Gmina za słabo włączała się w przygotowanie festiwalu. Liczyliśmy, że z czasem przejmie naszą inicjatywę, ale tak się nie stało. Szczególnie przykro zrobiło się nam wtedy, gdy mieszkańcy zmienili patrona klimontowskiego liceum. Brunona Jasieńskiego zastąpiła święta Urszula Ledóchowska. Decyzja zapadła akurat w 2011 roku, przed jubile-

uszuw, dziesiątą edycją „Brunonaliów”. I, jak do tej pory, ostatnią.

Wstydlivy patron

1.

Stanisław Sas-Tarnawski, barwna postać Klimontowa, trochę poeta, dziennikarz, trochę przewodnik turystyczny, na co dzień pracownik miejscowej biblioteki, prowadzi mnie ulicą, która nadal nosi imię Brunona Jasieńskiego. To niewielki, ale pełen uroku szlak łączy najważniejszy plac ze wzgórzem w zabytkowej części miasta. Nie ma tu posesji prywatnych, ulica posiada tylko dwa numery. Oprócz szkoły jest jeszcze klasztor na górze.

To w murach klasztoru mieściło się Liceum Ogólnokształcące imienia Brunona Jasieńskiego. Gdy przeniesiono je niżej, do budynku Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych, pozbyto się patrona. Nie pasował pedagogom jako wzór wychowania dla młodzieży, bo chociaż ma swoje miejsce w literaturze, to jednak wyrzekł się Polski, wyjechał do Moskwy i przyjął obywatelstwo radzieckie. Tak nauczyciele tłumaczyli uczniom.

Od kilku lat trwają w klasztorze prace remontowe. Za środki unijne powstaje nowoczesny Dom Pielgrzyma z pokojami gościnnymi, po zakończeniu kolejnych etapów przybędzie kuchnia, stołówka, muzeum.

Stanisław Sas-Tarnawski pokazuje na budynku klasztoru widoczny jeszcze ślad po zdjętej tablicy Jasieńskiego. „Na glinianej misie przynoszę wam tę złotą pieśń, mój największy skarb” – takie słowa poety wyryto na czarnym granicie. Na dole była jeszcze informacja, że poeta tworzył w Paryżu, Moskwie i Klimontowie.

– Stolicę świata były wymieniane i obok nich nasza miejscowość – z dumą podkreśla Stanisław Sas-Tarnawski. – To świetna promocja. Pamiętam, jak w 1966 roku nadawano imię szkole i odstawiano tablicę. Potem, po latach, oprowadzałem po zabytkach Wojciecha Siemiona, który recytował Jasieńskiego. Mam jeszcze zdjęcia. Przyjeżdżali artyści scen warszawskich, Borys Jażnicki, August Kowalczyk. To były piękne, wzruszające uroczystości. Nikt nie wypominał nikomu poglądów politycznych.

2.

Tablicę schował w garażu rektor klasztoru, ksiądz Czesław Gumieniak. – Proszę księdza, chcę zrobić zdjęcie tablicy.

– Nie!

– To jest historia, przykra, dramatyczna, ale historia. Ksiądz ma w garażu...

– Tak, ale na razie nie.

– Później przyjdę.

– Nie!



Dom Jojne.

3.

Stanisław Sas-Tarnawski pamięta, jak był wiceprzewodniczącym Rady Gminy i bronił liceum przed przeniesieniem do Zespołu Szkół. Funkcję starosty sandomierskiego pełnił wtedy poseł Marek Kwitek, który chciał przeprowadzić. Podczas sesji nerwy puściły Tarnawskiemu, wstał i powiedział: – Przepraszam, niech pan starosta przeniesie sobie Collegium Gostomianum do „marmolady” (potoczna nazwa popularnej w Sandomierzu szkoły zawodowej przetwórstwa owocowego), a nie majstruje przy naszym liceum.

Od tego zaczęła się cała zawierucha z liceum. Aż doszło do ostatecznego rozstrzygnięcia.

4.

Przestał być Brunon Jasieński patronem szkoły. Czasami tylko pojawi się jego duch wywołany przez dawną nauczycielkę Annę Piątkowską. Jeszcze Mirosław Szeląg rozwinie olbrzymi plakat „Balu manekinów” z Teatru Wybrzeże z Gdańska.

Jeszcze Stanisław Sas-Tarnawski napisze w miejscowej gazecie: „Michał Bernyś był stangretem doktora Jakuba Zysmana i woził go bryczką na wizyty do chorych po okolicznych wioskach. Z usług Michała korzystał syn doktora Brunon Jasieński, który wysyłał go po książki do Sandomierza i Ostrowca. Michał Bernyś wspominał mile Brunona i opowiadał, że poeta miał swój pokój w budynku banku na drugim piętrze. Okno jego pokoju wychodziło na Górkę Klimontowską i pałac Karskich. W pokoju była kozetka, stół, krzesła, szafa i biblioteka. Na ścianie wisił obraz nagiej kobiety”.

5.

A co z tablicą Brunona? Nikt jej już nie widział.

Zmywanie krwi

1.

Nie mogę domyć podłogi, żali się Irena Truś, rocznik dwudziesty ósmy. Wycieram, a krew ciągle wychodzi z desek. Już wydaje się, że nie ma po niej śladu, a tu znowu pojawia się nieoczekiwane. Wydostaje się gdzieś spod krzesła, pojawia pod wyrkiem, między spoinami drewna, drzazgami.

Dziewczynka leży z głową przechyloną w dół. Krew cieknie, rozlewa się po całej podłodze. Powstaje spora kałuża.

Ojczym chce zamknąć drzwi od sieni. Co tu gadać! To tchórz! Loescher go kopnął. Kazał niczego nie ruszać. Zabronił wchodzić do środka.

Strzelili jej w głowę. Dokładnie przeszukali mieszkanie. Zajrzeli do wszystkich zakamarków. To trwało trochę czasu, zanim ciało wynieśli na zewnątrz, zawieźli na ich cmentarz i zakopali. Może nawet kilka godzin. Krew zaschła, wsiąkła w podłogę. Przeróżająca czerwona.

Dziewczynka nie mogła chodzić. Nie pozwolono wziąć jej na nosze. Grozono śmiercią, gdy ktoś próbował zabierać chorych, niesamodzielnych, starych, niedośćnych. Rodzice zostawili ją w łóżku. Zaraz po wysiedleniu, następnego dnia, Niemcy przyszli z policjantami żydowskimi. Dali im pistolet i kazali strzelać.

Krew jeszcze jest na podłodze.

2.

Miała na imię Esterka. Trzydzieści, czterdzieści lat, moja rówieśnica, może trochę starsza. Nie wiem, na co chorowała. Jak tylko jej rodzice, Penczynowie, do nas się wprowadzili, cały czas leżała w łóżku, które stało w kuchni, wzdłuż okna.

Zamieszkali u nas, na Psiej Górze, gdy Niemcy ustawili tablice określające miejsca, poza które nie można wychodzić.

Do nas wprowadziły się cztery rodziny. Dół zajęli Penczynowie, którzy przeszli od Selwini Kilarskiej,

gdzie teraz mieszka Karwacki. Wcześniej prowadził młyn, który znalazł się poza terenem wyznaczonym przez władze. To już byli starsi ludzie, ona trochę tęga, on – lekko przygarbiony. Z przybyłych do nas rodzin najbardziej zamożna.

Po drugiej stronie zamieszkał Ajzentuch, miał sklep żelazny, teraz handluje tam Zięba. Na górę wprowadził się Sruł, był kamasznikiem. Obok niego pomieszczenia zajął Katzen Lejbogen, prowadził księgarnię. Byli jeszcze ci, co na dole, w piwnicach, piekli mace. Przybyli gdzieś z Rynku. Pamiętam, jak zawsze dawali mi do spróbowania kawałek macy, jeszcze gorącej, wyjętej co tylko z pieca.

Wszyscy żyli skromnie, ale na dobrym poziomie. To byli miejscowi ludzie, ale nie inwestowali w swoje domy, mieszkania. Woleli żyć na lokatorskim, za grosze. Jedni okna malowali, inni naprawiali ubytki w dachu, bielili ściany. I jeszcze zaoszczędzali na wynajmie. Zawsze parę złotych mniej mamie płacili niż to wynikało z wcześniejszych ustaleń.

W czasie okupacji jeszcze inni Żydzi u nas mieszkali, ale wszyscy stąd wyszli i już nie wrócili. Tak bardzo ich nie pamiętam, czas zatęchł obrazu. Trudno mi coś więcej o nich powiedzieć.

Mieszkaliśmy na sąsiedniej ulicy, sto, dwieście metrów stąd, na Tylnej. Jak mama wyszła drugi raz za mąż za Antosia Nowakowskiego, to tam się przeprowadziliśmy. Miałam wtedy trzy lata, siostra dziewięć miesięcy. Trzymaliśmy krowę, świnkę. A tutaj wynajmowaliśmy lokatorów.

A Esterka leży w łóżku, patrzy, nic nie mówi. Głowa jej zwisa. Krew rozlewa się po podłodze. I nie mogą domyć desek.



Żydowskie mieszkańcy Klimontowa.

3.

Tu się urodziłam, tu uczyłam. Pan Uroda był moim wychowawcą. Pamiętam Mosię, z którą się przyjaźniłam. Wspominam Rachcię, jak bawiłam się z nią w klasy, w mamę, co opiekuje się dziećmi. Miałyśmy lalki. Jak to dziewczynki!

W każdą sobotę Żydzi świętowali. Niczego nie mogli robić, nawet w piecu napalić. Wtedy nasi trochę mogli dorobić. A to drewniak przynieśli z komóreczki, a to rozpalili pod fajerkami.

Najbogatsi w miasteczku byli Fajntuchowie, zajmowali się handlem i usługami. Usługi transportowe prowadził Boruch.

Mieliśmy konia, gdy żył ojczym. Boruch przed samym wysiedleniem zostawił u nas wóz. Miał do nas zaufanie. Nigdy już nie wrócił.

Boruch zginął, jego syn przepadł. Ci, co macę wypiekali, też już nie wrócili. Słuch po nich zaginął.

Żydzi schowali wiele rzeczy po różnych zakamarkach. Po ich wysiedleniu chodzili młodzi chłopcy i przeszukiwali wszystko. Kuli ściany, wyrywali cegły. Coś tam na pewno znaleźli. Sporo pili. Nie widziałam, by ktoś się szczególnie wzbogacił. Może oprócz dwóch, trzech rodzin.

Syn Penczyny, co jego ojciec miał młyn, wrócił po wojnie po garnitur, który zostawił u nas jego ojciec.

Penczyna też pojawił się jakiś czas po wyzwoleniu. Na szczęście nie znalazł się w tym domu na Sandomierskiej, gdzie nocą wdarli się jacyś ludzie, podobno partyzanci. Wszystkich zabili. Nawet młodą Żydówkę, co była w ciąży. Próbowano kominem uciekać, ale dopadli ją na dachu.

Zginął też Abram, co za dużo wiedział. Czy odgrzązał się innym? Tak słyszałam, ale nie mnie o tym sądzić. Po co gadać, jak się nie wie na pewno?

Wszyscy zginęli. Jak? Kto? Ja tam nie wiem, nie byłam. Ostatnio C. tam mieszkał, ale już nie żyje.

Znowu nie mogę domyć podłogi z krwi.

4.

Jak była okupacja, to wywoływaliśmy duchy. Taka panowała moda. Talerzyk kładliśmy na stole, ręce przed sobą. Talerzyk sam się kręcił. Ja nikogo nie wołałam, tylko trzymałam talerzyk. Mówili, że się ruszył. A to znaczyło, że duch się pojawił.

Jeszcze kilka lat po wojnie trwała moda na spirytyzm. Ludzie chcieli rozmawiać z marszałkiem Piłsudskim, Rydzem-Śmigłym, prezydentem Mościckim. Teraz niektórzy znowu wywołują duchy.

Śnią mi się tamci, co zginęli, ta dziewczynka, Rachcia. Widziałam ją jak żywą, kupowałam z nią masło.

Fajntuch, Lederman, Zylberberg, Apelbojm, Cu-kierman, Wajsbrot... Mieszkały takie rodziny. Mosia, Rachcia, Esterka... Były takie dziewczynki. Szum, hałas, tyle ludzi, a potem pustka, głucha przestrzeń. Teren opustoszały.

Tamten świat nagle się zawalił. Odeszli stąd nasi sąsiedzi, bliskie koleżanki, ale ich duchy nie dają spokoju. Przychodzą, zagadują, pytają. Pojawiają się nagle gdzieś z dalekiego świata, pokazują zdjęcia, stare zeszyty, twarze, domy, ulice.

A ja nie mogę zmyć tamtej krwi.

Opaska

Leży na półeczce w zbiorach Mirostawa Szeląga. Należała do dziecka, bo jest wąska, kilka razy poszerzana. Uszyta z białego płótna, z gwiazdą Dawida wyhaftowaną niebieskimi nićmi. Tyle lat utrzymała się w dobrym stanie.

Wcześniej leżała na strychu, między rupieciami, zeszytami, książkami. W wąskim, wysokim budynku, między ulicą Ossolińską i Małym Rynkiem, gdzie niedaleko mieszkał rabin Simche Gelernter.

To był budynek żydowski. Przeprowadzano w nim remont. Robotnik przyszedł z opaską do Mirostawa Szeląga. Powiedział, że ma jeszcze trochę podobnych drobiazgów.

Tam mieszkali rodzice Szandli Zylberbogen, której zeszyty zostały odnalezione. Potem dom kupili Gryglewiczowie. Od lat nikt tam nie wchodził. Wszystko było już przegnite.

Zarządzenie o noszeniu opasek zaczęło obowiązywać zaraz jesienią 1939 roku. Niemcy wszystko skrupulatnie uregulowali. Byli dokładni, wręcz perfekcyjni, nawet w mordowaniu. To dokument tamtych czasów.

Mirostawa Szeląg chce, by opaska znalazła się w odpowiednim miejscu, podobnie jak i pozostałe jego zbiory. Najlepiej w muzeum, które powinno powstać w synagodze.

Pojechał do Warszawy, do Grupy Wyznaniowej Żydowskiej, by zaproponować dzierżawę synagogi za symboliczną opłatę.

Chciał wziąć pełną odpowiedzialność za budynek. Zobowiązywał się, że wspólnie z gminą wykona zabezpieczenie. Wymaże też wszystkie hasła antysemickie. Będzie kustoszem muzeum.

Otrzymał odpowiedź, że to jest do załatwienia. Wystarczy, że wójt da gwarancję na piśmie.



Mirostawa Szeląg z opaską.

To było w 2005 roku. Wójt nie chciał dać gwarancji na piśmie, tylko na słowo, na gębę. A to nie wystarczyło.

Niedawno prywatne muzeum Mirosława Szeląga odwiedził rabin z Łodzi. Zaproponował, by swoje zbiory oddał do muzeum.

A to są zbiory Mirosława Szeląga, który sam chce utworzyć muzeum.

Przecież za każdą karteczkę, za każde zdjęcie ludzie wołają pieniądze. Nic za darmo nie dostaje. Nie ma litości, sentymentu, ludzie weszli w posiadanie dawnych rzeczy i chcą na nich zarobić.

Mirosław Szeląg poczuł się trochę dotknięty. A teraz na dodatek nikt nie jest zainteresowany zbiorami.

Niewielka opaska, zakurzona, leży na półeczce, w kącie pomiędzy książkami.

Święty Jacek błogostawi

Trzeci dzień jarmarku. Msza odpustowa w klasztorze. Święty Jacek, patron świątyni, błogostawi, odpuszcza grzechy.

Ksiądz emeryt Jerzy Rybusiński głosi, że woła Chrystusa jest zbawienie każdego z nas. Stwórca realizuje taki plan, by pomóc ludziom poprzez ludzi. Nasze życie nie może być bezowocne, ale pełne dobrych uczynków. Musimy oczyścić się z grzechów, by wejść do Królestwa Niebieskiego.

Odpust to nie jest to, o czym myślą dzieci, stragany, pieszczatki, obwarzanki. My jesteśmy dorośli, zdajemy sobie sprawę, że chodzi o odpuszczenie grzechów. Odpust można uzyskać przez szczere żałowanie, modlitwę, cierpienie. Możemy go też ofiarować zmarłym.

Słuchać słowa modlitwy: Panie, zmiłuj się nad nami!

Mieszkańcy opowiadają bez końca tak jakby nagle chcieli się wypowiedzieć. Może ta atmosfera jarmarku tak na nich podziała, wysokie temperatury, rzadkie nawet o tej porze roku? Im więcej się ich słucha, tym bardziej można się pogubić w tym miasteczku.

Jeszcze słyszeć słowa księdza, który podczas mszy zapewnia, że odpust zupełny można uzyskać podczas każdego nabożeństwa w klasztorze. Do stycznia przyszłego roku.

Od autora

Książka opowiada o tym, co dzieje się z ludźmi z małego miasteczka, którzy ukrywają przez wiele lat mroczną tajemnicę. Stanowi symboliczne uogólnienie, bo wiele miejscowości w naszym kraju ma swoje historie chronione przed światem zewnętrznym. Ukrywana tajemnica determinowała postępowanie mieszkańców, wpływała na ich losy, decyzje, miała przez wiele lat fatalny wpływ na życie małej miejscowości. Nawet dzisiaj nikt nie chce otwarcie mówić o dawnych sprawach i wykrycie prawdy staje się wręcz niemożliwe.

Tajemnica dotyczyła wydarzeń z czasów okupacji i tuż po 1945 r. W swoim reportażu przedstawiam

relacje mieszkańców, którzy przez wiele lat bali się ujawniać mroczną przeszłość dotyczącą mordowania swoich sąsiadów pochodzenia żydowskiego. To jednak nie jest kolejna książka o pogromach.

To obraz małej miejscowości pod mikroskopem, na tle pozornego rozmodlenia mieszkańców, gdzie każda uroczystość musi się zaczynać od mszy, modlitwy, poświęcenia, błogostawieństwa, na tle podwójnej moralności, filozofii małomiasteczkowej, lokalnej, środowiskowej. To dlatego tę historię przedstawiam na tle 3-dniowego Jarmarku św. Jacka, największej imprezy masowej w regionie, gdy ludzie modlą się, uczestniczą w nabożeństwach, proszą o odpuszczenie grzechów, a tak naprawdę są pełni podejrzeń i nieufności wobec innych. Próbuje wyjawiać prawdę, ale odgłosy jarmarcznej zabawy zagłuszają słowa. Zgiełk, głośna muzyka, wysoka temperatura powodują, że ludzie nie mówią zbyt jasno i nie wszystko można zrozumieć. Zresztą wiele wspomnień zatęchło już i zmieniło czas. To część pierwsza książki – Odpust

Przypominam także Brunona Jasieńskiego, który stąd się wywodzi i przed wyjazdem do Paryża i Moskwy wystawił tu „Wesele” Wyspiańskiego. Mieszkańcy powracają do tego „Wesela”, dopisując rolę współczesnego Chochota, uczestniczą w religijnej Drodze Krzyżowej, spektaklu „Stójka” młodej reżyserki z Warszawy Małgorzaty Szyski, w Brunonaliach, zmieniają patrona szkół z Jasieńskiego na błogostawioną siostrę Urszulę Ledóchowską. To jest tło, na którym pokazuję zachowania moich bohaterów. Nawiązuję do ojca Brunona Jasieńskiego, słynnego doktora Zysmana, który może być prototypem doktora Judyma. Mieszkańcy dosłownie i metaforycznie próbują wywoływać duchy przeszłości. To tło kulturowe, historyczne, podstawa do mówienia o współczesnych mieszkańcach. To część druga – Duchy.

W trzeciej części odwiedzam mieszkańców, którzy zajmują stare domy Żydów, swych dawnych sąsiadów. Proszę ich, by ujawnili mi swoje tajemnice. Słucham ich relacji, między innymi opowieści starszej kobiety, która wspomina, jak zmywała krew swojej rówieśniczki zastrzelonej po wysiedleniu dawnych sąsiadów. Krew nie dała się zmyć, krew śni się jej po nocach, powraca do mieszkanki po latach. Tu opowiadam także o tym, jak po wielu dokonaniach mieszkańców, po bogatej historii, bogatym życiu pozostaje tylko niewielka opaska na rękę z gwiazdą Dawida, którą nikt nie chce się zaopiekować. Powracam na koniec do jarmarku, do kończącego się już po trzech dniach odpustu na św. Jacka. To trzecia część pod tytułem – Zmywanie krwi.

Książka ukaże się jesienią w Warszawie, w Wydawnictwie Prószyński i Sptka.

Andrzej Nowak-Arczewski, reporter z Ostrowca Świętokrzyskiego, autor książek reporterskich: „Magdalena z mrocznej baśni”, „Być jak diament”, „Ortowińska ballada”. „My z pałacu”.

Pod takim roboczym tytułem powstaje książka absolwenta II Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Śniadeckiego w Kielcach – Stawomira Góreckiego, kapitana żeglugi wielkiej, mieszkającego w Szczecinie od 1964 r.

Po maturze uzyskanej w 1960 r. został słuchaczem Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni przy ul. Czerwonych Kosynierów (dzisiaj Morskiej). Ta szkoła pozwoliła mu zrealizować młodzieńcze marzenia o dalekich, morskich podróżach, o których czytał w książkach Juliusza Verne’a, Janusza Meissnera, Olgierda Borchardta, Conrada Korzeniowskiego i innych autorów. Przytaczam fragmenty z zapowiedzianej książki.

[Rok 1960] Rozdział II „Kandydatka i pierwszy rok w PSM”

Zaliczenie komisji lekarskiej i egzaminu wstępnego nie było równoznaczne z zakwalifikowaniem się do roli słuchacza I roku Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, zlokalizowanej przy ul. Czerwonych Kosynierów. Trzeba było zaliczyć jeszcze tak zwaną „kandydatkę” – dwa miesiące spędzone „bez wychodzenia na ląd” najpierw na „Darze Pomorza”, a potem dwa tygodnie w internacie szkolnym. W tym okresie każdy kandydat podlegał ocenie, czy posiada odpowiednie cechy psychofizyczne, aby zostać w przyszłości oficerem Polskiej Marynarki Handlowej [...]. „Dar Pomorza” stał przycumowany przy nabrzeżu Moło Południowe – Skweru Kościuszki. Ustawiono nas wzdłuż burty statku. Z podziwem patrzyliśmy na maszty i reje, po których wkrótce mieliśmy się wspinać [...]

Po wkroczeniu na pokład statku zostaliśmy zaskoczeni narzuconym nam przez instruktorów tempem

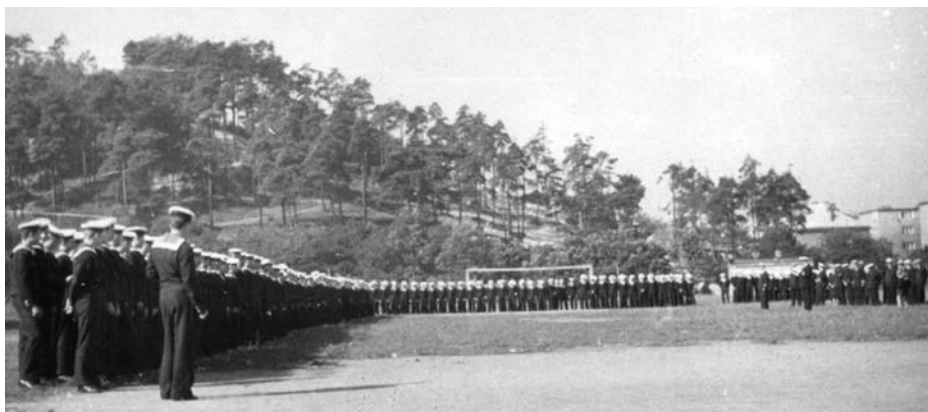
działania [...]. Pierwszego dnia co chwila ogłaszano zbiórki na pokładzie, aby wskazać nam następne czynności do wykonania [...]

Pierwszy posiłek na statku był dużym zaskoczeniem dla wszystkich. Okazało się, że składane, dwunastoosobowe stoły są podwieszane pod sufitem, czyli pokładem górnym. Opuszczane na czas posiłku, zaraz po nim były ponownie podwieszane. Codziennie dwóch kolejnych kandydatów zasiadających przy danym stole, pełniło dyżur stewardów. To oni przygotowywali stół do posiłków, przynosili z kuchni nakrycia i prowiant przeznaczony dla danego stołu. Dyżurni byli odpowiednio wcześniej zwalniani z innych zajęć na statku. Statkowe posiłki były obfite i kaloryczne. Obowiązywała morska stawka żywieniowa, o wiele wyższa niż w internacie szkolnym. Większość z nas po raz pierwszy zetknęła się z hamakami do spania, które rozwieszano się na specjalnych hakach, po wieczornym apelu. Po ogłoszeniu ciszy nocnej wszyscy musieli w nich leżeć. Trzeba się było nauczyć, jak rozkładać hamak, przygotować w nim pościel i jak w nim spać [...]

Piękło rozpętało się następnego dnia o godzinie szóstej rano, po ogłoszeniu pobudki. Bosman i instruktorzy krzykiem ponaglali nas do pośpiechu. Należało zwinąć prawidłowo hamak razem z pościelą tak, aby całkowicie zmieścić się w pokrowcu, ubrać się, zasznurować buty, stanąć na pokładzie z workiem hamakowym u nogi, do przeglądu. Na początku wydawało się to wręcz niemożliwe. Odpięte z haków hamaki pokrywały całą podłogę, panowało zamieszanie, przepychanie jeden drugiego, złość i agresja. Spóźnialskich wytapywali bosmani i instruktorzy, zapisując na ich kontach karne godziny do odpracowania w wolnym od zajęć

czasie, a tego wolnego czasu było bardzo niewiele [...]. Stopniowo nabieraliśmy wprawy, uczyliśmy się ze sobą współpracować podczas składania hamaków, ale wciąż trzeba było dawać z siebie wszystko, aby nie zostać na końcu. [...]

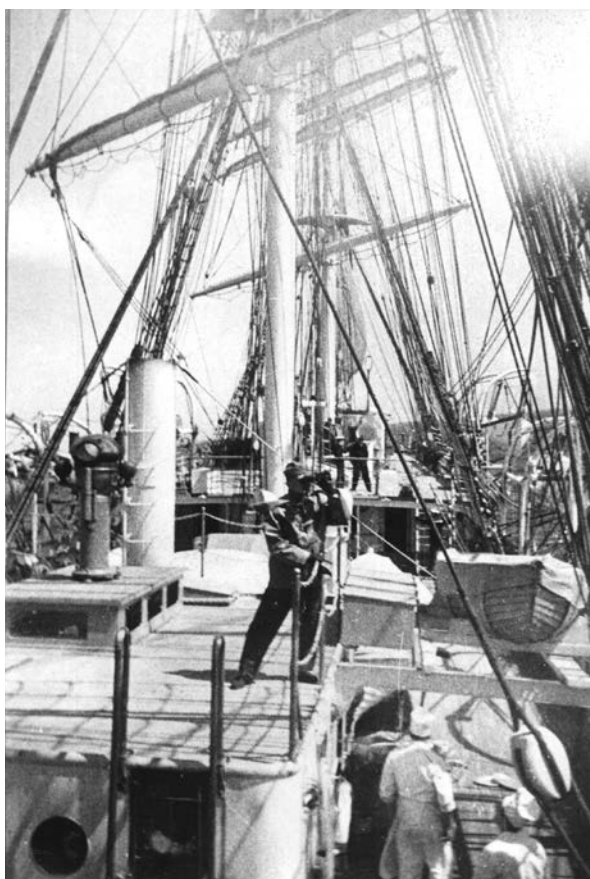
Po dziesięciu dniach pobytu na statku byliśmy już nieźle wytresowani. Prace pokładowe



Przysięgamy polskiej banderze. Plac przy Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni, 1960 r.

wykonywane bez rękawic ochronnych, z których korzystali tylko członkowie załogi statej, zmieniły nasze dłonie nie do poznania. Kontakt z szorstkimi linami włókienniczymi i stalowymi, pędzlami, farbą, piaskiem, mydlikiem, rozpuszczalnikami farb, zrobił swoje. To, że dłonie były popękane i brudne to nic, gorsze było to, że pęknięcia i odciski bolały przez całą dobę [...]

Dzień wyjścia w morze wstał pochmurny i zanosilo się na deszcz. Po śniadaniu ogłoszono alarm marnewowy. Podniesiono na żurawiki szalupę służącą do połączenia z lądem, rzucono cumę rufową i wybrano ręcznym kabestanem kotwicę. Wszystkie te prace wykonali oddelegowani kandydaci spośród stojących w szeregu, w gotowości. Z komina maszynowego buchnął dym i odezwał się silnik główny statku – Man Diesel o mocy 430 KM. Kadłub „Daru Pomorza” drgnął pchnięty śrubą i powoli zaczął się przesuwać do przodu [...] Wszystko na statku było teraz podporządkowane rozkładowi wacht morskich. Pierwszy oficer ze swoją wachtą pełnił służbę w godzinach: 04.00–08.00 i 16.00–20.00. II of. ze swoją wachtą w godzinach: 00.00–04.00 i 12.00–16.00, a III of. ze swoją wachtą w godzinach: 08.00–12.00 i 20.00–24.00 [...]



Podczas sztormu, obserwator na dachu kuchni. „Dar Pomorza”, 1960 r.

Pierwszy raz wchodziliśmy na maszty i na reje, gdy statek kotłował się na fali. Najpierw trzeba było rozmocować sklarowane po portowym żagle rejowe, ale to było o wiele łatwiejsze, niż ich uprzednie

klarowanie. Postawienie żagli i przebrasowanie rei to była dłuższa i ciężka praca, wykonana siłami całych wacht, dlatego nie było zwolnienia przed wachtą, ani po wachcie. Po skończonej robocie przyjemnie było popatrzeć, jak żagle wypięły się wiatrem i podjęty pracę. Statek pochylił się lekko na zawietrzną, lewą burtę, a kadłub uspokoił się i przestał podskakiwać na falach, ustabilizowany napiętą powierzchnią żagli. Zapanowała przyjemna cisza. „Man Diesel” odpoczywał. W pobliżu rufy słychać było jedynie mocno przytłumiony pomruk agregatów prądotwórczych [...] Wczesnym rankiem, w czwartek 15 września minęliśmy Hel prawą burtą i było jak w piosence: „z radości serce zamiera, gdy Dar Pomorza mija Hel, salutem kłoni mu się bandero, to Gdynia, marzeń naszych cel [...]”

[Rok 1962] Rozdział IV Praktyka na M/S Hanoi

[...] Po wyjściu z Adenu m/s Hanoi pożeglował kursem wschodnim do trawersu wyspy Sokotra, a potem przez Ocean Indyjski do Kanału Nine Degree, pomiędzy archipelag Amidivi Islands, a archipelag Malediw. Bajecznie wyglądały te małe, płaskie, piaszczyste wysepki porośnięte rzadko rosnącymi palmami kokosowymi. Ocean był gładki jak lustro sadzawki i równie błękitny, jak bezchmurne niebo. Optynęliśmy Cejlon od południa, aby dołynąć do portu Trincomalee na północno-wschodnim wybrzeżu wyspy. Stanęliśmy w zatoczce o piaszczystych brzegach, na kotwicy. Brzegi wyspy porastały wyjątkowo wysokie palmy kokosowe. Do burty statku podholowano drewniane barki, które zamocowano na wysokości II ładowni. W komorach chłodzonych czekały na wyładunek polskie ziemniaki. Robotnicy na barkach rozpalili ogniska, w których natychmiast po rozpoczęciu wyładunku zaczęły piec ziemniaki. Z zachwytem patrzyłem na brzeg wyspy – tak zawsze wyobrażałem sobie podrównikową roślinność. Następnego dnia była niedziela, kapitan wyraził zgodę na opuszczenie szalupy, w celu odbycia wycieczki na ląd. W grupie dwudziestoosobowej udałem się na brzeg. Weszliśmy do kokosowego lasu. IV mechanik, facet w wieku 50. lat wystroił się w ubiór, którego nie powstydziliby się angielski dżentelmen w kolonii. Na głowie miał nawet korkowy kask tropikalny. Jak spod ziemi pojawiło się dwóch młodych tubylców, którzy zademonstrowali swoje umiejętności wchodzenia na wysokie palmy. Poruszali się szybko, używając stóp i dłoni, podczas gdy ich ciała odchylone do tyłu, nie miały kontaktu z pniami palm. Spróbowałem i ja swoich możliwości. Wprawdzie osiągnąłem koronę wysokiej palmy i zrzuciłem na dół kilka kokosów, ale zejście na ziemię opłaciłem sporymi otarciami naskórka na brzuchu, ramionach i nogach. Tubylcy byli bezkonkurencyjni.

Rozwzrzeszczaną gromadą ruszyliśmy w głąb wyspy, w stronę okazałego bungalowu. Na naszej drodze pojawił się Hindus w uniformie i oznajmił nam, że wchodzimy na prywatny teren, a jego pan, Anglik, nie życzy sobie zakłócania spokoju. Boy, był pełen powagi, mówił spokojnym, uprzejmym tonem, wystuchaliśmy jego prośby. Zawróciliśmy na brzeg zatoczki i rozłożyliśmy się na plaży. Woda była spokojna i czysta. Piaszczyste dno stopniowo schodziło w dół. Warunki do kąpieli były idealne. Trochę popytywałem, a potem zająłem się penetracją przybrzeżnego pasa wody. Brnąc po kolana w wodzie, znalazłem pięć pięknych muszli, zabrałem je ze sobą – stanowiły cenne trofeum. W drodze do szalupy napotkałem wspaniały, kwitnący na żółto krzak kaktusa. Odłamałem sporą gałązkę, którą po powrocie na statek powiesiłem w rogu kabiny.

[Rok 1963] Rozdział VI – Ostatnie miesiące w Państwowej Szkołe Morskiej

Po zejściu z m/s „Hanoi”, jeszcze tego samego dnia wsiadłem do pociągu relacji Gdynia-Warszawa. Z przesiadką w Warszawie, 10 kwietnia 1963 r. rano dotarłem do domu rodziców w Suchedniowie, w samym środku Wielkiego Tygodnia. Była wiosna, w okolicznych lasach kwitły przyłaszczki. Podczas niedzielnego spaceru rodzinnego, na który wybraliśmy się motocyklami do rezerwatu przyrody „Skatki Piekło pod Niektaniem”, po raz pierwszy w życiu widziałem taką ilość żmij, na niewielkim obszarze lasu. Kwietniowe słońce przygrzewało silnie, a gady po zimowej drzemce wyległy, by się ogrzać [...].

Mój kolega z PSM – Staszek S. z Bęczkowa, też znalazł się po praktykach wśród urlopowiczów. Korzystając z motocykli, często odwiedzaliśmy się i jeździliśmy na wspólne, dalsze wycieczki. Pewnego razu, podczas mojego pobytu u Staszka, jego dom odwiedziła drużna z przyszłą panną młodą. Wiedziały, że jestem kolegą Staszka ze Szkoły Morskiej, zależało im, abyśmy obaj przyjęli zaproszenie na ślub i oczywiście wystąpili w mundurach. Byłem osobą zupełnie obcą, ale to nie przeszkadzało. Zgodnie z miejscowym zwyczajem, zaproszenie odnosi się do wszystkich osób obecnych w odwiedzonym domu. Zaproszenie zostało przyjęte. Ślub miał być za tydzień. [...]

W sobotę, przed weselem, Staszek wiózł mnie swoim motocyklem z Suchedniowa do Bęczkowa. W głębokiej koleinie tylny podnóżek zaczął o sterczące kamienie. Napiętek mojego prawego buta został skałeczony razem z piętą. U Staszka w domu zapastowałem uszkodzenie buta, piętę zakleiłem przylepcem i mogłem iść na wesele. Trochę to źle wróżyło, krew polała się jeszcze przed weselem. A w tamtych czasach, w tym regionie często dochodziło do poważnych bójek, podczas których sięgano po niebezpieczne narzędzia, znajdujące się w każdym gospodarstwie. Na weselach

nierzadko załatwiano stare, rodzinne, lub sąsiedzkie konflikty. Czasami zawiedziony adorator panny młodej usiłował ze swoimi poplecznikami rozpędzić uroczystość weselną. [...] W tym wypadku pan młody pochodził z odległego o ponad dwadzieścia kilometrów Łagowa. Zajechał przed dom weselny ze swoją rodziną i towarzyszami czterema furmankami. [...] Ja i Staszek przyszliśmy w mundurach. Natychmiast zostaliśmy przechwyceni przez ojca panny młodej i zaprowadzeni do komórki, w której za stołem nakrytym białym płótnem siedział komendant Ochotniczej Straży Pożarnej, oczywiście, też w mundurze. W tym zacisznym przybytku zostaliśmy poczęstowani wódką, do której jako zakąskę podano pokrojoną w kilkucentymetrowe kawałki wiejską kietbasę. Zaraz potem ogłoszono wyjazd furmanek do kościoła w Leszczynach. Mnie i Staszka usadowiono na drugiej furmance, zaraz za furmanką młodej pary. Sznur kilkunastu furmanek ruszył polnym traktem, a na każdej z nich zabrzmiały chóralne śpiewy. Na naszej furmance zaintonowano ostatni szlagier: „Miłość w Portofino”. Wozy wiozące orszak weselny podskakiwały na wyboistej drodze. Nie bez powodu nieduża wieś, przycupnięta u stóp góry Radostowej, zyskała sobie w regionie taką oto opinię: „gdzie diabeł mówi dobranoc, tam Bęćków się zaczyna” lub „gdzie świat się kończy, tam Bęćków się dopiero zaczyna”. Wszystko to za sprawą fatalnego dojazdu do wsi, z różnych stron. [...]

Część gości weszła za młodą parą do kościoła, ale znaczna część, zwłaszcza młodzieży płci męskiej, została przed kościołem. Staszek i ja pozostaliśmy w orszaku weselnym – nie ulegało wątpliwości, że zostaliśmy uznani za honorowych gości. Staszek miał w Bęczkowie szczególne względy, jego mama była kierowniczką miejscowej Szkoły Podstawowej. Po obrzędzie zaślubin przy otarzu, a potem obrzucaniu ryżem i groszakami nowo zaślubionej pary w drzwiach kościoła, orszak ślubny zajął powtórnie miejsce w furmankach. [...]

Gdy wróciliśmy, stoły były już zastawione. Przy stole w głównej izbie zajmowali miejsca według wskazań gospodarzy, znamienitsi goście. Widocznie Staszka i mnie za takich uważano. Przy tym stole goście mieli swoje stałe miejsca do końca wesela. W przyległych izbach do stołu zasiadano w cyklu zmianowym. Nim zaczęto roznosić wazy z rosotem, odbyło się kilka przemówień poświęconych młodej parze. Na zakończenie przemówienia, jeden z młodych ludzi, siedzący w pobliżu nowożeńców, cisnął w powałę talerzem, wypowiadając życzenie: „aby się im dobrze działo”. Potówka talerza spadła przed moim nosem na stół. Siedząca po mojej prawej stronie dziewczyna, natychmiast ją pochwyciła i rzuciła nią jeszcze raz w powałę. Byłem trochę zaskoczony i zdezorientowany, omal nie oberwałem. Moja sąsiadka wyjaśniła mi, o co w tym rzucaniu talerzem chodzi – „im więcej odłamków, tym więcej będzie szczęścia pod dachem zaślubionych”. Po obfitym posiłku, wielu toastach

i okrzykach „gorzko”, „gorzko”, odezwiała się kapela ludowa, w której najważniejszym, a na pewno najgłośniejszym instrumentem był bęben. Towarzyszyły mu skrzypce i bassetla. Ludowe melodie poderwały do tańca liczne pary. [...]

Po północy tańcowanie zaczęło zbierać się do odjazdu, lecz wesele dalej trwało. Wbrew wcześniejszym obawom, bawiono się bardzo grzecznie, obyło się bez awantur i bijatyk. Drzwi do stodoły były otwarte, kto chciał odpocząć, mógł to zrobić na sianie. Po godzinie piątej rano, Staszek i ja skorzystaliśmy z tej możliwości. O wschodzie słońca w obejściu zapanowała cisza, najważniejsze, że wreszcie umilkł wypruwający wnętrze bęben. [...] Na dobre obudziliśmy się przed godziną ósmą. Z Bęczkowa, po weselu, wróciłem do Suchedniowa pociągiem jadącym przez Bodzentyn. Rodzice wyraźnie doznali ulgi, widząc mnie całego i zdrowego.

Korzystając z wakacji, przy ładnej pogodzie dosiadałem motocykla. Często zabierałem jedną z koleżanek, wspólnie zwiedzaliśmy okolice Kielc. Ze Staszkiem z Bęczkowa odbyliśmy wyprawę kajakiem z Sobkowa do Morawicy. Na takich rozrywkach mijał czas, aż przyszło wezwanie ze Studium Wojskowego, na dwutygodniowe przeszkolenie. Wsiadliśmy ze Staszkiem do pociągu, i 1 lipca zameldowaliśmy się w internacie PSM w Gdyni. [...]

[Rok 1965] Rozdział XI – „S/S Huta Sosnowiec”

[...] W drugiej połowie listopada 1965 r. z „Huty Sosnowiec” wyładowywano przywieziony ze Szczecina do Salonik węgiel w bryłach, najgrubszego sortu. W przeddzień wyjścia z tego portu, niespodziewanie, zaraz po obiedzie zostało ogłoszone zebranie całej załogi. Kapitan Oktawian Witkowski odczytał z gazetki „Wiadomości dla Marynarzy i Rybaków” fragment „Listu Episkopatu Polski do Episkopatu Niemiec”, informujący o zbliżających się obchodach Millenium Chrztu Polski i z tej okazji

zawierający apel o darowaniu sobie wzajemnych krzywd, wyrządzonych sobie przez sąsiadujące narody. Największe kontrowersje wzbudziły słowa: „Udzielamy przebaczenia i prosimy o wybaczenie”, wyjęte z kontekstu: „Prosimy Was katolicycy pasterze narodu niemieckiego, abyście na własny sposób obchodzili z nami nasze chrześcijańskie Millenium w formie modlitwy, czy też dnia temu poświęconego. Za każdy taki gest będziemy Wam wdzięczni. Prosimy Was też, abyście przekazali nasze pozdrowienia i słowa wdzięczności niemieckim braciom ewangelickim, którzy wraz z nami i Wami starają się znaleźć rozwiązanie naszych trudności. W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy do Was, siedzących tu na ławkach kończącego się Soboru ręce oraz udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie. A jeśli, Biskupi i Ojcowie Soboru, bratersko ujmiecie nasze ręce, to wtedy dopiero będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić nasze Millenium w sposób jak najbardziej chrześcijański. Zapraszamy na te uroczystości serdecznie do Polski”.

Następnie kapitan Oktawian Witkowski oświadczył, że w związku z odczytaną wiadomością miał odwiedzić dwóch członków załogi, którzy domagali się natychmiastowego wystąpienia w imieniu załogi naszego statku, depeszy z protestem przeciwko słowom: „udzielamy przebaczenia i prosimy o wybaczenie”.

Kapitan spytał, czy załoga popiera zgłoszony postulat. Zapadła cisza, załoga była zdezorientowana, mało kto zdążył przeczytać odebraną późnym wieczorem gazetkę. Kapitan oświadczył, że zostawia nas na dwadzieścia minut, żebyśmy uzgodnili poglądy. Za wystąpieniem depeszy agitował sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej i radiooficer. Z przeciwnym zdaniem wystąpili – starszy mechanik, Jan Leżeński i II mechanik, Stanisław Kolenda. Obydwaj mechanicy oświadczyli, że jako katolicy opowiadają się za przebaczeniem, bo to jest filarem naszej wiary. Ich postawa zmotywowała większość załogi na NIE.



S/S „Huta Sosnowiec” tankuje w Katanii na Sycylii. W tle Etna, wrzesień 1965 r.



5 lat służby pod polską banderą. 1965 r.

Trzeba było mieć dużo odwagi, żeby w tamtych czasach zaprezentować taką postawę. Odnosi się to także do kapitana, Oktawiana Witkowskiego. [...]

[Rok 1972] Rozdział XIX M/S „Częstochowa”

[...] Po czterech dobach żeglugi osiągnęliśmy port Banjul, położony na brzegu rzeki Gambia. Od nazwy rzeki powstała nazwa państwa, będącego do niedawna pod protektorem brytyjskim. [...] „Częstochowa” przycumował do drewnianego pomostu prawą burtą. Wyładunek rozpoczął się na I i II ładowni. Na wierzchu były skrzynki z sardynkami. Wystawiłem dozory, a sam w jeansach, w koszuli khaki z dystynkcjami na ramionach oraz fińskim nożem i kajdankami u pasa, zacząłem patrolować pokład. Kłopot się zaczął, gdy przy odpięciu pokład statku znalazł się blisko dwa metry poniżej nawierzchni pomostu. Z pomiędzy drewnianych konstrukcji tego pomostu co chwilę, na długości całej burty, wskakiwały bandy nastolatków, by kraść. Dokerzy pracujący przy wyładunku wyrzucali pojedyncze puszki z rozbitych skrzynek na ląd, a tam były przechwytywane przez chłopaków. Sytuacja poprawiła się, gdy burta statku wynurzyła się ponad pomost podczas przypiływu, ale wtedy gromady wyrostków zaczęły rzucać z lądu kamieniami w stronę nadzorujących marynarzy. Interwencja kapitana i agenta na posterunku miejscowej policji przyniosła tylko częściową poprawę. Dwie doby postoju w tym porcie, to był koszmar. Kilkanaście godzin po wyjściu z Gambi, zacumowaliśmy w Konakry. [...] Tu też mieliśmy do wyładunku sporą ilość skrzynek z konserwami i tu także znaczna część ładunku trafiła do kieszeni i za pazuchy robotników portowych. Znow w „bojowym rynsztunku” patrolowałem pokład, niezależnie od wystawionych dozorów [...]

Po dwóch dniach wyruszyliśmy do portu Monrowia w Liberii. Wiedziałem, że to także bandyckie miejsce na mapie „Czarnego Kontynentu”, ale to, co tu zastaliśmy, przechodziło wszelkie wyobrażenie. [...] Prawdziwe kłopoty zaczęły się po otwarciu trzeciej ładowni. W niej znajdowały się najbardziej podatne na kradzież, atrakcyjne towary. Były to: kartony z butami, stodycze, tekstylia, sprzęt gospodarstwa domowego.

Od pierwszej chwili dokerzy ignorowali obecność marynarza dozorującego i oficera służbowego. Bez żenady rozrywali kartony, wysypywali zawartość, pakowali do swoich toreb. Mieliśmy pecha – w tym czasie w państwie panowało bezprawie i nieład. Dokerzy też zhardzieli i stali się bezczelni. Po kilku godzinach użerania się z nimi, zajrzałem po raz kolejny do trzeciej ładowni. To co zobaczyłem, przyprawiło mnie o wściekłość – dwóch drabów trzymało pod ręce dozorującego marynarza, a trzeci zakładał mu na szyję stryczek, zwieszający się z haka bomu ładunkowego. Wrzasnąłem z całych sił na żartownisiów tak głośno, że wywołało to z kabiny kapitana. Następnie wyłączyłem zasilanie wind ładunkowych, przerażonemu, ale już oswobodzonemu marynarzowi kazałem wyjść na pokład i przystąpiłem do zamykania luku ładowni. Gdy tylko klapy ładowni zaczęły się zasuwać, podbiegł do mnie jakiś rosty Murzyn i wrzasnął, że zaraz podpalą ładownię. Z pozorowanym spokojem odpowiedziałem, że uruchomię system CO₂. – „To my ci utniemy głowę”, krzyknął oponent. Klepnąłem się po fińskim nożu i powiedziałem głośno: „spróbuj!”. W tym momencie kapitan ze swojego wybiegu zawołał: – „Chief, niech pan zatrzyma zamykanie!”. Usłuchałem. Kapitan polecił mi otworzyć ładownię i włączyć zasilanie wind ładunkowych. Wezwał mnie do siebie i przedstawił swój plan działania. Przede wszystkim wezwał agenta, a za jego pośrednictwem policję. Następnie przystąpił do pisania not protestacyjnych do Kapitanatu Portu Monrowia, z kopią do Kapitanatu Portu Szczecin, do komendanta miejscowej Policji i Polskiego Konsulatu w Liberii. [...] Drugiego dnia nasze kłopoty z rabusiami zminimalizowały się, po wyładunku tej najbardziej pożądanej drobicy. Worki z solą, skrzynki ze szczurołapkami i gwoździe już tak nie podniecały dokerów. [...]

[Rok 1977] Rozdział XXIII M/S „Gdynia II”

Na ten statek zamusztrowałem jako I oficer 26 stycznia 1977 r. Zaplanowałem rejs do Afryki w towarzystwie mojej żony Doroty oraz trzy i półrocznego syna – Przemka. [...] Mój apartament na statku był na tyle duży, że wygodnie mieściliśmy się we troje. Chciałem zabrać rodzinę zimą w strefę ciepłego klimatu oraz pokazać Wyspy Kanaryjskie i inne uroki Afryki. [...]

Po wyjściu z Antwerpii, Morze Północne powitało „Gdynię II” sztormową, mglistą pogodą. Dorota zetknęła się po raz pierwszy z morską chorobą. Straciła apetyt i większą część dnia spędzała w pozycji leżącej, szczególnie podczas żeglugi przez wzburzone wody Zatoki Biskajskiej. Przemek w sztormie nie odczuwał dolegliwości, a kotłowanie statku nawet go bawiło, podobało mu się, że podłoga pod nogami zmienia położenie. Po minięciu przylądka Saint Vincente ocean uspokoił się, zrobiło się znacznie cieplej, można było wychodzić na pokład. [...]



M/S „Gdynia II” w porcie Douala w Kamerunie. Załadunek „Stara” polskiej wyprawy studenckiej z Poznania. Pierwszy od lewej S. Głowacki

Po zacumowaniu w Las Palmas spotkała nas niemiła niespodzianka. Wyspy Kanaryjskie były spowite dość gęstą mgłą, która w tym rejonie zdarza się raczej bardzo rzadko. [...] Dobę po wyjściu z Las Palmas przecięliśmy Zwrotnik Raka, a to oznaczało wejście w strefę tropikalną. W tej strefie przysługiwał załodze krótszy o dwie godziny dzień pracy, przydział soków do picia i wina tropikalnego. [...]

Staliśmy w Sapele, dokerzy ładowali worki z ziarnem palmowym. Po kilku dniach postoju wybrałem się z Dorotą i Przemkiem pożyczoną od wachtmana pirogą (długą, wąską łodzią z pnia drzewnego). Dobiliśmy do pomostu, za którym znajdował się miejscowy targ. Pospacerowaliśmy między straganami, na których dominowały płody rolne. Sprzedawana garderoba nas nie interesowała, rozglądałem się za oryginalnymi figurkami i maskami z hebanu, ale nic takiego nie zauważyłem. Przemek był obiektem zainteresowania miejscowych kobiet, co chwilę któraś z nich dotykała jego jasnych, prostych włosów. Dorota w pewnym momencie chwyciła mnie za ramię z przeżeniem, wskazując na stragan z rozczłonkowanymi małpami, których mięso było tam normalnym artykułem spożywczym, jak nasza wieprzowina. Było również mięso kozie, wołowina i dziczyzna. Te widoki wyptószyły

nas z targowiska, kupiłem jedynie gliniane, wypalane naczynie do gotowania nad ogniskiem. [...]

W niedzielę po południu na rzece pojawiły się liczne łodzie wypełnione tubylcami. Mężczyźni ubrani w długie, białe szaty unosili w górę ręce, w których dzierżyli kury i koguty, następnie odcinali im głowy nożem, a uśmiercone rzucali do rzeki. Podobnie postępowali z kozłętami. Od wachtmana dowiedzieliśmy się, że to miejscowi kaptani wyznania animalistycznego składają dary Matce Rzece. Wyglądało to nader szokująco[...].

Fragmenty książki do druku
przygotowała Elżbieta Stec



Douala w Kamerunie. Na pokładzie „Gdyni II”, mocowanie logów, 1977 r.
Drugi od prawej S. Górecki

W siedemdziesiątą rocznicę pogromu kieleckiego; Julia Pirotte – dokumentalistka historii

Bożena Piasecka

Julia Pirotte (1907–2000) urodziła się jako Gina Diamant w Końskowoli na Lubelszczyźnie w rodzinie ubogich polskich Żydów. Jej rodzice Boruch i Sura Diamant byli robotnikami. Zarówno ona jak i jej rodzeństwo byli zaangażowani w działalność Komunistycznej Partii Polski. W wieku 18 lat za propagowanie hasel ruchu robotniczego została aresztowana i zamknięta na cztery lata do więzienia. W latach trzydziestych wyjechała do Belgii, gdzie zaczęła uczęszczać na kursy dziennikarstwa i fotografii. W Belgii wyszła za mąż za brukselskiego działacza lewicowego Jeana Pirotte'a i uzyskała obywatelstwo belgijskie. Tam również realizowała swoje pierwsze fotoreportaże. Tematem, który najbardziej ją interesował byli robotnicy, ich życie i problemy. Tuż przed wojną w 1939 roku pracując dla agencji Foto Waro, przygotowała materiał z państw nadbałtyckich: Estonii, Litwy i Łotwy. W 1940 roku, po wkroczeniu wojsk niemieckich do Belgii, wyjechała na południe Francji do swojej młodszej siostry Mandali Marii Diamant, która tam mieszkała i działała w ruchu oporu, a która za swą działalność w 1944 roku została aresztowana i ścięta gilotyną. Julia zamieszkała w Marsylii i rozpoczęła pracę jako reporter w „Dimanche Illustré”. Również i ona, podobnie jak jej siostra, została wciągnięta do pracy podziemnej. Była kurierem, szmuglowała broń, fałszywe dokumenty, podziemne publikacje. Jako reporter gazety rejestrowała życie we Francji, jednocześnie jako członkini ruchu oporu dokumentowała ich walki i potyczki podczas różnych akcji. Wykonała wiele zdjęć w czasie wyzwolenia Marsylii przez aliantów. W 1943 roku wystąpiła do Stanów Zjednoczonych fotoreportaż z okupowanej Francji, który został tam opublikowany. Z tego okresu jej życia w 1994 roku powstała książka Françoise Theabuaud „Julia Pirotte: une photographe dans la Résistance”, wydana przez Musée de la Photographie w Charleroi.

Po wojnie powróciła do Polski. Przywiozła ze sobą swe najcenniejsze negatywy, rozpoczęła także współpracę z Wojskową Agencją Fotograficzną. Pracowała jako fotoreporter dla pism „Trybuna Wolności” i „Żołnierz Polski”. Fotografowała wojenne zniszczenia Warszawy, odgruzowanie i odbudowę miasta. W 1946 roku została wysłana do Kielc tuż po wydarzeniach 4 lipca. Wykonała wówczas ponad sto poruszających, nieraz drastycznych, czarno-białych fotografii.

Wzięła udział w Światowym Kongresie Intelktualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu w 1948 roku, wykonując serię zdjęć wielu znanych osób, m. in. Pabla Picassa i Iréne Joliot-Curie. Fotografowała podczas wielu oficjalnych uroczystości państwowych, m. in. Festiwalu Młodzieży w 1955 roku. Julia Pirotte interesowała się przede wszystkim portretowaniem ludzi. Zarówno w Marsylii, jak i w Warszawie wykonywała fotografie ludzi – ludzi sławnych (jak podczas Kongresu Intelktualistów), czy zwykłych, często spotkanych na ulicach miast. W czasach socrealizmu były to m.in. heroiczne portrety robotników. Robiła również zdjęcia żydowskich dzieci i kobiet, które zanim dostały się do Auschwitz przebywały w obozie przejściowym w Bombard. Dokumentowała niezwykle wydarzenia, których była świadkiem, ale zawsze na pierwszym miejscu był człowiek. Miała wystawy na całym świecie, wyjeżdżała regularnie do Belgii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Przez kilka lat mieszkała również w Izraelu, gdzie poznała swojego drugiego męża, ekonomistę Jefima Sokolskiego (jej pierwszy mąż zginął w czasie wojny). Julia Pirotte rok przed śmiercią przekazała Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu kilkaset zdjęć, większość z nich to fotografie pochodzące z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. W lutym 2012 roku w Żydowskim Instytucie Historycznym otworzono wystawę poświęconą jej twórczości fotograficznej pt. „Twarze i dłonie”, która odzwierciedlała doskonale zainteresowanie Pirotte portretowaniem zwykłych ludzi. Wystawa ta pokazywana była również w Kielcach w marcu 2015 w Instytucie Kultury Spotkania i Dialogu Stowarzyszenia im. Jana Karskiego.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. W. Gombrowicza w Kielcach zakupiła do swoich zbiorów 30 fotografii wykonanych tuż po wydarzeniach 4 lipca 1946 roku. Na stronie verso dwudziestu z nich widoczna jest pieczęć „Foto Julia Pirotte”. Są to drastyczne zdjęcia nieżyjących ofiar (4) fotografie rannych wykonane w szpitalu (3), zdjęcia trumien (2) oraz zdjęcia z pogrzebu. Niewielkie (od 6 x 9 cm do 9 x 12,5 cm), trochę wyblakłe, robią piorunujące wrażenie. Pozostałe dziewięć zdjęć bez pieczęci Juli Pirotte ma wymiary od 11 x 15 cm do 11 x 17 cm i są one prawdopodobnie autorstwa korespondenta amerykańskiego, który przyjechał do Kielc tuż przed pogrzebem 37 ofiar pogromu. Na stronie verso jednej z nich widnieje podpis William Bein (Amerykanin) dyrektor organizacji „Joint” w Polsce. Fotografia

ta przedstawia mężczyznę przemawiającego podczas pogrzebu. Na innej z nich widać delegację trzymającą szarfę z napisem: „Ofiarom Kieleckim American Joint ...”. William Bein był, przez blisko pięć lat (do roku 1950), dyrektorem w Polsce, amerykańskiej organizacji pomagającej Żydom – American Jewish Joint Distribution Committee (AJJDC). 1 stycznia 1950 roku organizacja ta przestała działać na terenie Polski.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Kielcach zakupiła w latach 2008 – 2015 fotografie dotyczące pogromu na aukcjach antykwarycznych oraz od Roberta Zawiszy, historyka, konsultanta – rzeczoznawcy, pracownika w firmie antykwarycznej „Antikwa-Rempex” w Warszawie. Były one w posiadaniu, nieżyjącego już, Adama Rutkowskiego, profesora Sorbony, pracownika Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie oraz członka Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Poniżej publikujemy zapis oryginalnych wspomnień Juli Pirotte. Zapis rozmowy w języku angielskim przechowywany w Muzeum Pamięci Holokaustu w Waszyngtonie. Spisany w 1993 (według informacji zamieszczonej w opisie Muzeum Holokaustu) prawdopodobnie z wcześniejszego wywiadu telewizyjnego z Julią Pirotte przeprowadzonego przy okazji prezentacji lub wystawy fotografii.

Do zbiorów Muzeum darowała go Merle Spiegel 29 grudnia 2004 roku.

Była rodzina w Kielcach, nazywali się Błaszczukowie, jeśli ja dobrze pamiętam...Tak, myślę, że Błaszczukowie. Mieli chłopca, siedem, może dziewięć lat, który poszedł na wieś niedaleko Kielc, aby odwiedzić swojego wuja. Zapomniat jednak powiedzieć o tym swoim rodzicom, którzy przez cały czas bardzo się o niego martwili. Wrócił po trzech dniach, no i ojciec bardzo się zezłościł na niego. Bez przerwy pytał go „Gdzie byłeś? Dlaczego nie dałeś znaku życia?”.

Maty się przestraszył i powiedział „Żydzi złapali mnie, zamknęli w piwnicy w domu żydowskim”.

Tak się zaczęła cała ta historia...

Rodzice natychmiast powiadomili policję i wieść się rozeszła. Ludzie zaczęli gromadzić się na ulicach, dwie kobiety biegały, krzycząc po ulicach miasta, że Żydzi mordują polskie dzieci.

To wystarczyło dla kilkutysięcznego tłumu zgromadzonego na ul. Planty 7/9, gdzie mieszkała ponad setka Żydów. Większość z nich to byli młodzi ludzie z rodzinami.

Dlaczego tak dużo Żydów znalazło się tam, pod jednym adresem, zaraz po wojnie w lipcu 1946 roku? Przybyli tam z różnych części Polski, dzierżawiąc kawałek ziemi, niedaleko Kielc i ucząc się uprawy roli. Wiesz, oni planowali wyjechać do Palestyny – dzisiejszego Izraela, po to by przytączyć się tam do kibucu. Co było łatwiejsze dla szturmujących – to rzecz, że wszyscy Żydzi mieszkali w jednym domu – nazwanym, domem żydowskim.

Ludzie szli bezpośrednio pod ten adres i pogrom się zaczął.

Natychmiast połała się krew. Tłumowi wkrótce pomogła załoga fabryki „Ludwików”. Tego dnia fabrykę zamknięto. Robotnicy zabrawszy ze sobą łomy i żelazne małe grzejniki atakowali dom żydowski ze szczególną brutalnością...

Przybyłam do Kielc jako dziennikarz i fotograf; przybyłam wcześniej rano po pogromie. Nikt nie chciał odpowiadać na moje pytania. Nikt nic nie chciał mówić.

W końcu dowiedzieliśmy się o grupie rannych w pogromie, wziętych do szpitala i poszliśmy tam.

Był tam starszy mężczyzna z zabandażowaną głową i potamany rękami. Powiedział mi: „Mówię pani, spędziłem trzy lata w Auschwitz. To było okropne, lecz tutaj w Kielcach – to był koszmar. Tratowano twarze martwych Żydów obcasami”.

Swoją historię opowiedział mi również pewien młody mężczyzna: „Przybyłem do Kielc z trzema innymi młodymi Żydami. Planowaliśmy nauczyć się uprawy roli i wyjechać do kibucu w Izraelu. Na dworcu czekała na nas grupa ludzi, przeważnie kolejarzy, którzy natychmiast nas zaatakowali... Kiedy odzyskałem przytomność, zobaczyłem, że jestem w szpitalu...”

Zapomniałam dodać, że kiedy pogrom się zaczął, wystano policję, aby go zdusić. Ale policjanci przytączyli się do tłumu. Do uśmierzenia pogromu wystano wojsko, ... które też się przytączyło do atakujących...

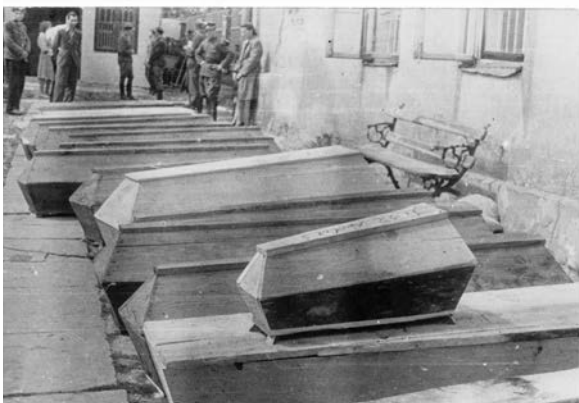
Pewna kobieta opowiedziała mi, co widziała podczas pogromu: „Kobietę w zaawansowanej ciąży wypchnięto przez okno. Nie pamiętam, czy to było okno na pierwszym czy na drugim piętrze... Jakiś żołnierz nastawił lufę karabinu przebijając brzuch kobiety, zabił ją i jej nienarodzone dziecko...”

Inna kobieta ze zdjęcia opowiadała: „spędziliśmy całą noc na ulicy, opierając się o szpitalną bramę. Lekarze odmawiali nam pomocy: oni również uwierzyli w to, że zamordowaliśmy polskie dziecko. Dopiero przed świtem wzięto nas do szpitala i opatrzone nasze rany”.

Ten mężczyzna był praktycznie martwy. Stał w małej rzece, niedaleko domu żydowskiego, a ludzie rzucali w niego kamieniami. Kiedy upadał, pomagali mu wstać i rzucali w niego znowu. Jakaś kobieta nie mogła tego znieść i krzyczała, żeby go zostawili. Ale on i tak umarł... ukamienowany na śmierć. Tak właśnie wygląda, jego



Wybite szyby domu przy Planty 7 tuż po pogromie.
Fotografia z pieczętką „Foto Julia Pirotte”.



Trumny ofiar. Na górze trumny najmłodszych ofiar, w tym synka Reginy Fisz i nienarodzonego dziecka Gotdy Płotno. Fotografia z pieczętką „Foto Julia Pirotte”.

*całe ciało całe w śladach po uderzeniach kamieniami...
Tutaj jest inne ciało... tak właśnie wyglądają ofiary
po śmierci. I inna ofiara ... z odciętą głową...*

Wykonałam 42 zdjęcia martwych ciał.

*Trumny już czekały na dużym placu: ciała dzieci, kobiet
i mężczyzn. Zrobiłam zdjęcia wszystkim. Ta dziewczynka,
tutaj: nie mogli jej odciągnąć od trumien, cała jej rodzina
zginęła. Ona jedna przeżyła...*

*Trzy dni później odbył się pogrzeb ofiar. W tym czasie
w Polsce ciągle żyło jeszcze sporo Żydów. Po pogromie
potowa z nich opuściła Polskę na zawsze...*

*Podczas pogrzebu był ogromny, cichy tłum. Myślę,
że kazali ludziom brać w nim udział. Były delegacje
z różnych instytucji, fabryk, wiosek etc. Pomiędzy nimi,*



Delegacja organizacji pomagającej Żydom w Polsce American Jewish Joint Distribution Committee.



Kondukt pogrzebowy.
Fotografia z pieczętką „Foto Julia Pirotte”.



Wspólny grób dla wszystkich ofiar.
Fotografia z pieczętką „Foto Julia Pirotte”.

*ta grupa tutaj – nie pamiętam, czy tylko oni reprezentowali
fabrykę „Ludwików”.*

*Pogrom się zaczął o 9 rano i trwał do 3 po południu,
ale właściwie rozciągnął się na kilka dni. Nie tylko
w samych Kielcach. W pociągach, w pobliżu stacji,
kontrolowali, czy ktoś jest Żydem... Patrzyli na twarz,
jeśli wydawała się im podejrzana, kazali pokazywać
dokumenty... Niektórzy sądzili, że można poznać Żyda
„po nosie” i zabijali, jeśli sądzili, że nim jest...*

*Nie mogę o wszystkim opowiadać. Rozumiesz...,
miałam kłopoty z Urzędem Bezpieczeństwa. Byłam
tylko dziennikarką i fotografem, która odwiedziła Kielce
po pogromie. Trzy dni później, inny dziennikarz przyleciał
z Nowego Yorku, aby uczestniczyć w pogrzebie ofiar,
dokumentacja tego co widział, rozeszła się po całych
Stanach Zjednoczonych. Ale nikt nie słyszał o moich
zdjęciach. Bałam się o tym wspomnieć komukolwiek...
Wiem, że Urząd Bezpieczeństwa nie byłby zadowolony,
że były w ogóle zrobione... Pogrom był tajemnicą, przez
wiele lat nigdy o nim nie wspomniano. Nie wolno było
tego robić, ani oczywiście ujawniać jakichkolwiek fotografii.*

*W końcu zdecydowałam umieścić je w instytucji, dobrze
zabezpieczone. Bałam się je trzymać w domu. Urząd
Bezpieczeństwa mógł przeszukiwać moje mieszkanie
i co jakby je tam znaleźli? To mogło oznaczać prawdziwe
kłopoty, no i zdjęcia byłyby na pewno zarekwirowane...*

*No, więc umieściłam je w tej instytucji (J.P. nie
wymienia nazwy), a po pewnym czasie skontaktowałam
się z nim, pytając o nie. „Nie mamy pojęcia, co się
z nimi stało, zniknęły, prawdopodobnie ukradziono je...”*

*Jak to się stało, że wciąż mam te zdjęcia tutaj? Robiąc
negatywy, zwykle robisz testowy wydruk, aby sprawdzić
jakość zdjęcia. No tak, robiłam takie testowe wydruki
– małe fotografie średniej jakości. Potem wykonałam
ich negatywy. Ale ze wszystkich oryginalnych 118 zdjęć
zostało tylko 16, niektóre z nich są tutaj wystawione...*

Poza wizją:

Michał Nekanda-Trepka:

Jak wiele lat te zdjęcia czekały na to, aby mogły
być pokazane szerokiej publiczności?

Julia Pirotte:

Dokładnie 45 lat.

Analiza toponomastyczna danego obszaru może dostarczyć wielu interesujących informacji na temat jego przeszłości. W nadawanych przez miejscową ludność nazwach terenowych znalazły odzwierciedlenie m.in. walory topograficzne i przyrodnicze, dawna działalność człowieka, czy panujące niegdyś zależności społeczne [8]. Wielu z tych informacji próżno dziś szukać w zachowanych dokumentach pisanych. Warto zauważyć, że te z pozoru nieistotne nazwy: pól, lasów czy części wsi często funkcjonują w świadomości lokalnego społeczeństwa przez bardzo długi okres (np. *Kacza Góra* – obecnie część Kajetanowa; wymieniona na planie sprzed przeszło 200 lat) [1]. Generalnie w czasach nam współczesnych obserwować możemy postępujące ubożenie ludowej toponimii. Wiele ze starych nazw wychodzi z użycia, bądź jest zastępowanych nowymi, często nadawanymi przez czynniki oficjalne w sposób sztuczny i nie przemyślany. Wynika to z jednej strony z coraz większego wyalienowania człowieka ze środowiska przyrodniczego, w którym żyje, z drugiej zaś – z nieznamości własnego dziedzictwa kulturowego, do którego zalicza się także dawne nazewnictwo terenowe. Celem niniejszego artykułu jest przybliżenie tego dziedzictwa w odniesieniu do okolic Zagnańska i Samsonowa w XIX wieku. Podstawą opracowania była analiza wybranych map tego terenu z lat 1811 – 1865 znajdujących się w zasobach Archiwum Państwowego w Radomiu [1]. Skupiono się przy tym na toponimii terenów otwartych, pomijając nazewnictwo istniejących wówczas osiedli. Większość odnotowanych toponimów poddano analizie etymologicznej, opierając się głównie na pracach A. Brücknera [3] i D. Kopertowskiej [8]. Ze względów praktycznych (odniesienie do załączonych rycin) treść podzielono na dwie części – okolice Zagnańska i Samsonowa. Analiza niektórych toponimów skłoniła autora do sformułowania własnej hipotezy na temat pochodzenia nazwy Zagnańsk oraz pozwoliła ustalić lokalizację średniowiecznej wsi Wola (o czym w dalszej części).

Toponimia okolic Zagnańska (ryc.1):

1) *Błonie* – nazwa wyróżniona na planach z 1833 r. i 1843 r. [1], oznaczająca rozległe pole, łąkę, płaszczynę [3,8]; obecnie teren rolny (częściowo zabudowany) między Chrustami Dużymi i Małymi, w sąsiedztwie szkoły – po północnej stronie linii kolejowej.

2) *Brzezin Stok* (1833 r.) [1], zapis zniekształcony: *Brzin Stok* (1843 r.) [1] – nazwa odnosząca się do Lubrzaneki (*stok* = wyciek, źródło, ciek, także – pochyłość terenu [3], gdzie źródła często mają swój początek) zlokalizowana w sąsiedztwie (po wschodniej stronie) przecięcia rzeczonoego strumienia przez współczesną trasę S-7, nieopodal zabudowań przysiółka Barcza. W miejscu tym do głównego nurtu wpada kilka bezimiennych dopływów. Pierwszy człon toponimu nawiązuje do pobliskiej wsi Brzezinki, przy czym formant *-in-* wskazuje na nazwę dzierżawczą [8].

3) *Chetm* – (plan z 1833 r.) [1] wzgórze określane współcześnie jako Góra Chetmowa (399 m n.p.m.); nazwa oznacza niewielkie wzniesienie, pagórek [3,8].

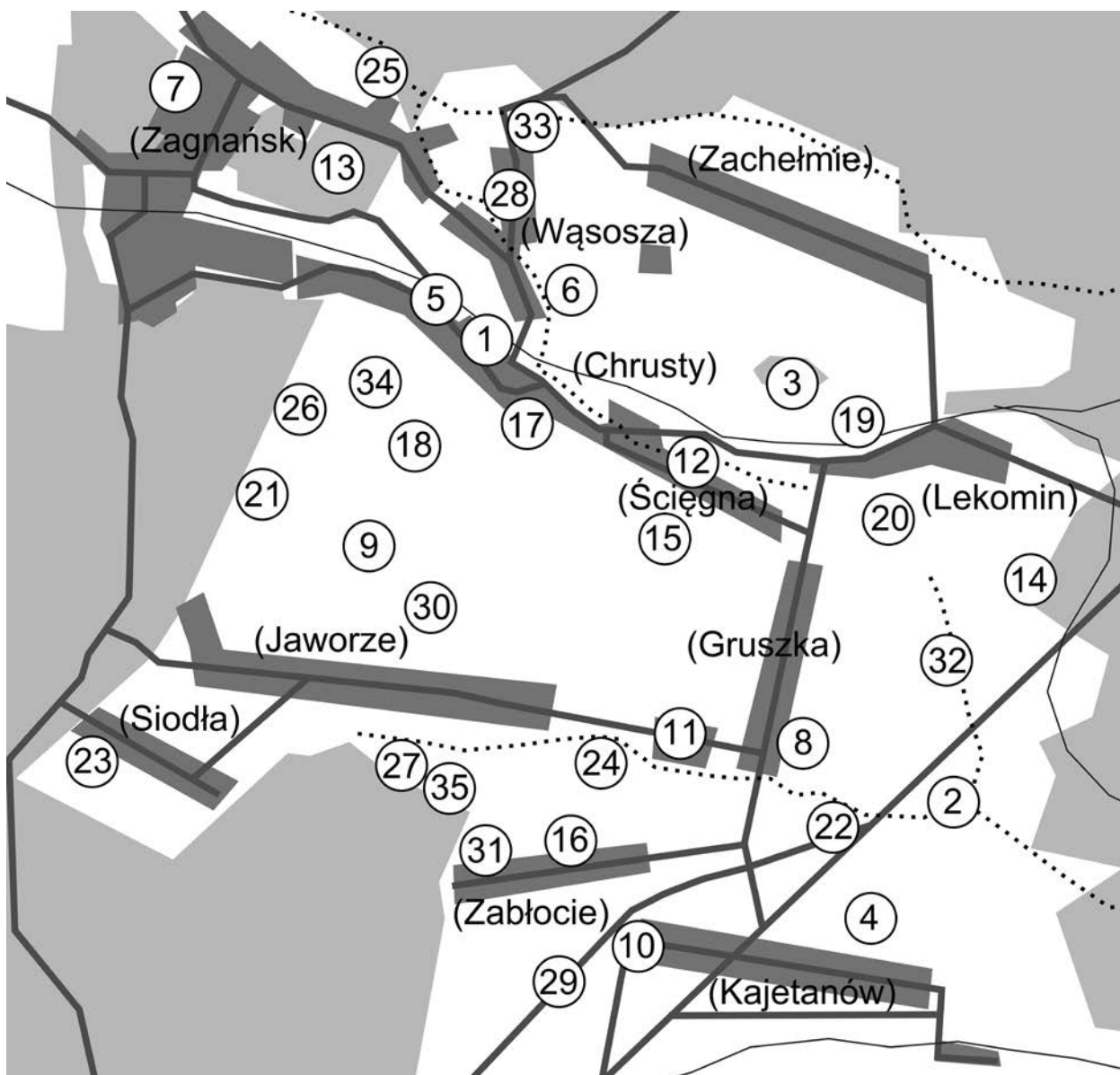
4) *Chetmek* – (plany z lat 1811, 1833 i 1843) [1] wzniesienie o wydłużonym kształcie we wschodniej części Kajetanowa (teren rolny, częściowo zabudowany); zdrobnienie nazwy *chetm*, oznaczającej mały pagórek (patrz powyżej).

5) *Chrusty* (1843 r.), *Hrósty* (1833 r.) [1] – słowo oznaczające krzaki [3,8], nawiązujące zapewne do roślinności krzewiastej porastającej teren przed założeniem tam pola; obecnie teren Chrustów Dużych w sąsiedztwie przejazdu kolejowego (nazwa wsi zapożyczona od opisywanego toponimu)

6) *Ciepła Wodka* – toponim figurujący na planach z 1833 oraz 1843 r. [1] odnoszący się do źródła, zlokalizowanego ok. 50 m na południowy-zachód od obecnego parkingu przy południowej części cmentarza parafialnego w Chrustach (pomiędzy ul. Turystyczną i Spokojną); w I poł. XIX wieku w okolicy rozciągały się pola uprawne, przez które biegła droga z Zagnańska [1] do Zagórza, obecnie otoczenie źródła stanowią nieużytki, częściowo już zabudowane.

7) *Grabowiny* – (plany z lat 1833 i 1843) [1] nazwa obszaru leśnego na południowy-zachód od wsi Kaniów (między obecną ul. Bartkowe Wzgórze a Spacerową); współcześnie we wschodniej i południowej jego części zlokalizowane są zabudowania Zagnańska (m.in. ul. Leśna, Borek i Stłeczna). Toponim najprawdopodobniej odnosi się do składu gatunkowego rosnącego tu w XIX w. drzewostanu (las grabowy, *Carpinus betulus*), jednakże D. Kopertowska (1984) nazwy zakończone sufiksem *-in-* zalicza do grupy nazw dzierżawczych [8]. W zachowanej obecnie części lasu gatunkiem dominującym sosna.

8) *Gruszka* (1833 r.), *Grószka* (1843 r.) [1] – nazwa jednego z pól figurująca na mapach z 1833 i 1843 r.; obecnie – południowa część wsi Gruszka (nazwa



Toponimia okolic Zagnańska (ryc.1)

zapożyczona od opisywanego toponimu), po wschodniej stronie skrzyżowania z drogą do Jaworzy (pola, nieużytki, teren częściowo zabudowany). Źródłem nazwy był przypuszczalnie charakterystyczny okaz gruszy (*Pyrus sp.*), stanowiący dla okolicznej ludności punkt orientacyjny.

9) *Jaworze* (1833 r.), *laworze* (1843 r.) [1] – toponim oznaczający las jaworowy (*Acer pseudoplatanus*) [8]; północno-zachodnie zbocze Wolińskiej Góry po południowej stronie bezimiennego dopływu Bobrzaneczki – obecnie teren rolny, w większości leżący odłogiem. W I poł. XIX w. rósł tutaj las, w obrębie którego dnem doliny ciągnął się wąski pas gruntu rolnego [1]. Nazwa zapożyczona dla określenia pobliskiej wsi (Jaworze).

10) *Kacza Góra* – widniejąca na mapach z lat 1811, 1833 oraz 1843 [1] nazwa wzniesienia (377 m n.p.m.) leżącego na zachód od Kajetanowa, w późniejszym czasie przeniesiona na przyległą część nowo urządzonej wsi [8]; obecnie teren zabudowany (zachodnia część

współczesnego Kajetanowa), wzgórze w sąsiedztwie kulminacji przecina trasa S-7. Nazwa wzniesienia najprawdopodobniej nawiązuje do licznie występujących tu niegdyś dzikich kaczek [8].

11) *Kopciów Kąt* – (Kopciów Kąt) nazwa pola figurująca na planach z lat 1833 oraz 1843 [1] w rejonie współczesnej drogi łączącej Jaworze i Gruszkę (zachodni kraniec Gruszki); obecnie teren rolny, częściowo zabudowany. Określenie *kąt* oznacza *miejsce odległe*, a więc położone z dala od wsi [8]. Pierwszy człon nazwy odnosi się użytkowników gruntu noszących nazwisko Kopeć.

12) *Krzyż* – toponim widniejący na planie z 1856 r. [1] pomiędzy zabudowaniami nowo urządzonej wsi – obecnych Ściegien – a pobliskim ciekim wodnym; współcześnie teren częściowo zabudowany (rejon posesji nr 36a). Nazwa przypuszczalnie nawiązuje do istniejącej tu niegdyś figury sakralnej.

13) *Laski* – nazwa lasu na północny – zachód od dawnego Zagnańska (mapy z lat 1833 i 1843)

[1]; obecnie niewielki kompleks leśny ograniczony ul. Turystyczną i Spacerową, po stronie zachodniej i północnej częściowo zabudowany. Etymologia nazwy niejednoznaczna; może ona pochodzić od wyrazu *lasek* – mały las, bądź też (co bardziej prawdopodobne) *laska* – krzew leszczyny (*Corylus avellana*) [3]. W drugim przypadku użycie toponimu miałoby charakter praktyczny (możliwość zbioru orzechów laskowych przez okoliczną ludność).

14) *Lekomin* (1843 r.), *Lekom* (in?) (1833 r.) [1] – pole położone na południowy-wschód od zabudowań obecnej wsi Lekomin (nazwa osady zapożyczona od opisywanego toponimu); obecnie tereny rolne, częściowo nieużytki. D. Kopertowska (1984) zalicza *Lekomin* do grupy nazw o niejasnym znaczeniu [8]. Zdaniem autora prawdopodobnie jest to zniekształcony (pominięcie znaków diakrytycznych) zapis nazwy dzierżawczej urobionej od dawnego imienia Łękomir [3], wskazującej być może na użytkownika pola. Przykład: *Bolmin* – *Bolemir* [8].

15) *Lug* (1833 r.), *Łóg* (1843 r.) [1] – toponim zlokalizowany na południe od współczesnej zabudowy wsi Ściegna; słowo ług oznacza *bagno*, *mokradło*, *miejsce podmokłe* [3,8]. Nie wykluczone, iż pierwotnie odnosił się on do terenu położonego nad bezimiennym strumieniem po północnej stronie wsi.

16) *Między Lasce* – nazwa pola wyróżniona na planie z 1843 r. [1], po północnej stronie zabudowań obecnej wsi Zabłocie. Źródłostowem wyrazu *lasce* (*laszcze*) jest apelatyw *las* [3]; pierwszy człon nazwy wskazuje na miejsce położone między dwoma obszarami leśnymi (najprawdopodobniej chodzi tu o kompleks w rejonie g. Sosnowica oraz całkowicie zalesiony w I poł. XIX w. odcinek Doliny Wilkowskiej między g. Barczą a Wiśniówką) [1,11].

17) *Ogrody* – obszar przylegający z południowego-zachodu do zabudowy dawnego Zagnańska (obecnie Chrustów); na planie z 1856 r. [1] część wymienionej zabudowy już nie istniała. Obecnie teren rolny, na południe od rozwidlenia dróg przy przejeździe kolejowym. Nazwy tej używano na określenie części pola (najczęściej za stodołą) przeznaczonej pod uprawę warzyw [8]. B. Szurowa (1998) zwraca uwagę na związek pomiędzy występowaniem rzeczowego toponimu a wsiami lokowanymi w prawie niemieckim, choć stwierdzano go również we wsiach późniejszych (XVI i XVIII-wiecznych) [14].

18) *Pasieka* (1833 r.), *Pasieki* (1843 r.) [1] – rejon centralnej i wschodniej części wzniesienia (391 m n.p.m.), na południe od obecnych Chrustów Dużych; nazwa pola zlokalizowana w pobliżu lasu *Jaworze* (obecnie nieużytki, częściowo zarośnięte młodymi drzewami). Jej pochodzenie nie jest jednoznaczne. Współcześnie wyraz *pasieka* kojarzony jest wyłącznie z pszczelarstwem, należy jednak pamiętać, iż w pierwotnym znaczeniu nawiązywał do trzebieży puszczy, określając *miejsce gdzie las posieczono* [3], bądź też *wyrąb w lesie dla pszczół* [3].

19) *Pod Chetmem* – nazwa figurująca na planie z 1843 r. [1], zlokalizowana na południowo – wschodnim stoku g. Chetm, po północnej stronie zabudowań Lekomina.

20) *Pod Zagnińsko* (s.632) – nazwa pola widniejąca na mapie z 1843 r. [1] na północny – zachód od toponimu *Zaguisko* (**Zagnisko*); obecnie – po południowej stronie zabudowań Lekomina (rejon ul. Widokowej).

21) *Podrybnie* – przyleśny teren na północ od Jaworzy, w sąsiedztwie bezimiennego doływu Bobrzaneczki; współcześnie częściowo zarośnięte nieużytki. W I. poł. XIX w. (mapy z lat 1833 i 1843) [1] był to teren zalesiony, w obrębie którego znajdowały się enklawy użytków rolnych. Nazwa nawiązuje do przyległego drzewostanu, wchodzącego w skład XIX-wiecznego obrębu leśnego Rybno [1] (teren obecnego leśnictwa Węgle).

22) *Porąbki* – nazwa pola zaznaczonego na mapach z lat 1833 i 1843 [1]; teren na prawym brzegu Lubrzanki, współcześnie po wschodniej stronie starej drogi E-7 (w pobliżu miejsca, w którym oddziela się od niej nowa trasa S-7). Słowo *porąbki* oznacza małe poręby; *poręba* zaś to *miejsce po usunięciu lasu przez wyrąb z przeznaczeniem na pole uprawne lub ponowne zadrzewienie* – jest to zatem nazwa kulturowa świadcząca o dawnej działalności człowieka związanej z trzebieżą puszczy [8]. Obecnie rozciągają się tu nieużytki, część dawnego pola zajęta jest przez pas drogowy.

23) *Siodła* – (plan z 1843 r.) [1]; toponim określający pole w pobliżu późniejszej wsi Siodła (nazwa zapożyczona od tegoż); wzniesienie terenowe po południowej stronie zachodniej części wsi (obecnie grunty rolne, nieużytki, ogródki działkowe). D. Kopertowska (1984 r.) nazwie tej przypisuje znaczenie *siedziby*, *domostwa*, bądź też *siola*, *osady* [8], co jednak, wobec starszej od znanego nam osadnictwa metryki toponimu, budzi wątpliwości. Zdaniem autora nazwę tę należy łączyć raczej z ukształtowaniem miejscowego terenu (wspomniane wzniesienie oraz towarzyszące mu parowy). Teoretycznie nie można jednak wykluczyć istnienia tu jakiejś dawniejszej, nie znanej nam dziś osady.

24) *Stara Wieś* (1843r.), *Starawies* (1833 r.) [1] – nazwa pola; toponim zlokalizowany nad Lubrzanką, przy zachodnim krańcu zabudowań wsi Gruszka (tąka i podmokły nieużytek po południowo – zachodniej stronie posesji nr 151). Nazwa nawiązuje do istniejącej w tym miejscu dawnej wsi (o czym w dalszej części).

25) *Stawki* – nazwa wymieniona na mapie z 1843 r. [1]; obecnie częściowo zarośnięte i zabudowane nieużytki nad Bobrzą w sąsiedztwie szosy do Borowej Góry, przy moście dawnej kolejki wąskotorowej (także dwa małe współczesne zbiorniki wodne). Toponim oznaczający niewielkie sadzawki (w pierwotnym znaczeniu *staw* to *zastawienie*, *tama*) [3], nawiązujący być może do spiętrzenia wodnego fryszerki prawdopodobnie działającej tu w II poł. XVIII w. [7]

26) *Strzelec* – (mapa z 1856 r.) [1] toponim zlokalizowany pod lasem (obecnie oddział leśny 137), na południowo – zachodnim zboczu wzgórza 391 m n.p.m. (na południowy – zachód od Chrustów); teren ogrodzonej posesji, częściowo zabudowany. Nazwa oznaczająca miejsce zamieszkania strzelca – pracownika niższej administracji leśnej leśnictwa samsonowskiego; w Królestwie Polskim w latach 1818 – 1887 strażnicy i strzelcy leśni sprawowali nadzór nad obrębami, wchodzącymi w skład straży leśnych [2].

27) *Strzelca* – (1856 r.) [1] północny skraj lasu położonego między obecnymi Siodłami a Zabłociem (dziś powierzchnia w większości zalesiona); nazwa odnosząca się do pola użytkowanego przez strzelca – niższego urzędnika leśnego (patrz powyżej). W późniejszych czasach istniała tu osada leśna.

28) *Wąsosz* – toponim wyróżniony na mapie z 1843 r. [1] na prawym brzegu bezimiennego strumienia płynącego od strony Chrustów, na terenie obecnej zabudowy wsi Wąsosz (nazwa zapożyczona). *Wąsosz* oznacza miejsce schodzenia się czegoś, np. rzek [8]. Przypuszczalnie początkowo odnośny toponim obejmował obszar ograniczony dwoma ciekami wodnymi (Bobrzą na północy oraz wspomnianym strumieniem na południu), łączącymi się ze sobą w niewielkiej odległości (na północnym – zachodzie).

29) *Wiśniówka* – (Wiśniówka) nazwa pola figurująca na mapach z lat 1833 oraz 1843 [1] po południowo – zachodniej stronie Kaczej Góry; współcześnie grunty uprawne i nieużytki przecięte pasem drogowym trasy S-7, na południe od Zabłotcia. Według D. Kopertowskiej (1984) jest to nazwa niejednoznaczna, mogąca pochodzić od apelatywu *wiśnia* (*Cerasus sp.*), lub nazwy osobowej *Wisznia* [8]. Na drugą ewentualność zdaje się wskazywać odnotowana w tym samym okresie (1839 r.) nazwa pobliskiego wzniesienia (455 m n.p.m.) *Góra Wiszniowa* [11], współcześnie określanego jako Wiśniówka. Tak więc rozpatrywany toponim odnosi się najprawdopodobniej do nazwiska użytkownika dawnego pola. Możliwe, że pierwotnie nosiło ono nazwę **Wiszniowe*, co przez kartografów zapożyczone zostało na określenie wspomnianej góry. W późniejszym czasie formę zmieniono na **Wiszniówka*. Po latach, gdy zapomniano o dawnym użytkowniku, a nazwa osobowa *Wisznia* wyszła z użycia, toponim uległ przekształceniu na *Wiśniówka* (co z kolei ponownie zostało zapożyczone przez wymienioną górę oraz nowo powstałą wieś, kamieniołomy i osiedle pracownicze).

30) *Wolinska Gora* (1843 r.), *Wolinskagora* (1833 r.) [1] – Wolińska Góra; nazwa wzniesienia (396 m n.p.m.) po północnej stronie zabudowań wsi Jaworze (obecnie częściowo zarośnięte drzewami nieużytki). Toponim nawiązuje do położonej w pobliżu wsi Wola (o czym w dalszej części).

31) *Zabłoty* – nazwa pola widniejąca na mapach z lat 1833 i 1843 [1]; obecnie grunty uprawne, nieużytki i zadrzewienia po północnej stronie zachodniego

krańca wsi Zabłocie (nazwa osiedla zapożyczona od opisywanego toponimu). Źródłostowem jest tu apelatyw *bloto* [8]. Nazwa używana przez mieszkańców dawnego Zagnańska na określenie miejsca położonego *za błotem*, tj. rozlewiskami Lubrzanki w pobliżu wschodniego krańca obecnych Jaworzy.

32) *Zaguisko* – zaznaczona na mapie z 1843 r. [1] nazwa pola nad wschodnim brzegiem jednego z dopływów Lubrzanki (na północ od toponimu *Brzezin Stok*); obecnie grunty uprawne i częściowo zarośnięte nieużytki na wschód od wsi Gruszka. Zapis nazwy zniekształcony – forma poprawna powinna brzmieć **Zagnisko* lub *Zagnińsko*, na co wskazuje pobliski toponim *Pod Zagnińsko*. Etymologia niejednoznaczna. Źródłostowem nazwy może być wyraz *gnić*; w tym wypadku **gnisko* (**gnińsko*) oznaczałoby miejsce gnijące (bagno, mokradło), zaś **zagnisko* (*zagnińsko*) – teren położony za tymże mokradłem. Z drugiej strony nie można wykluczyć, iż jest to po prostu mocno zniekształcona forma nazwy pola *Zagnańskie* (więcej na ten temat w dalszej części).

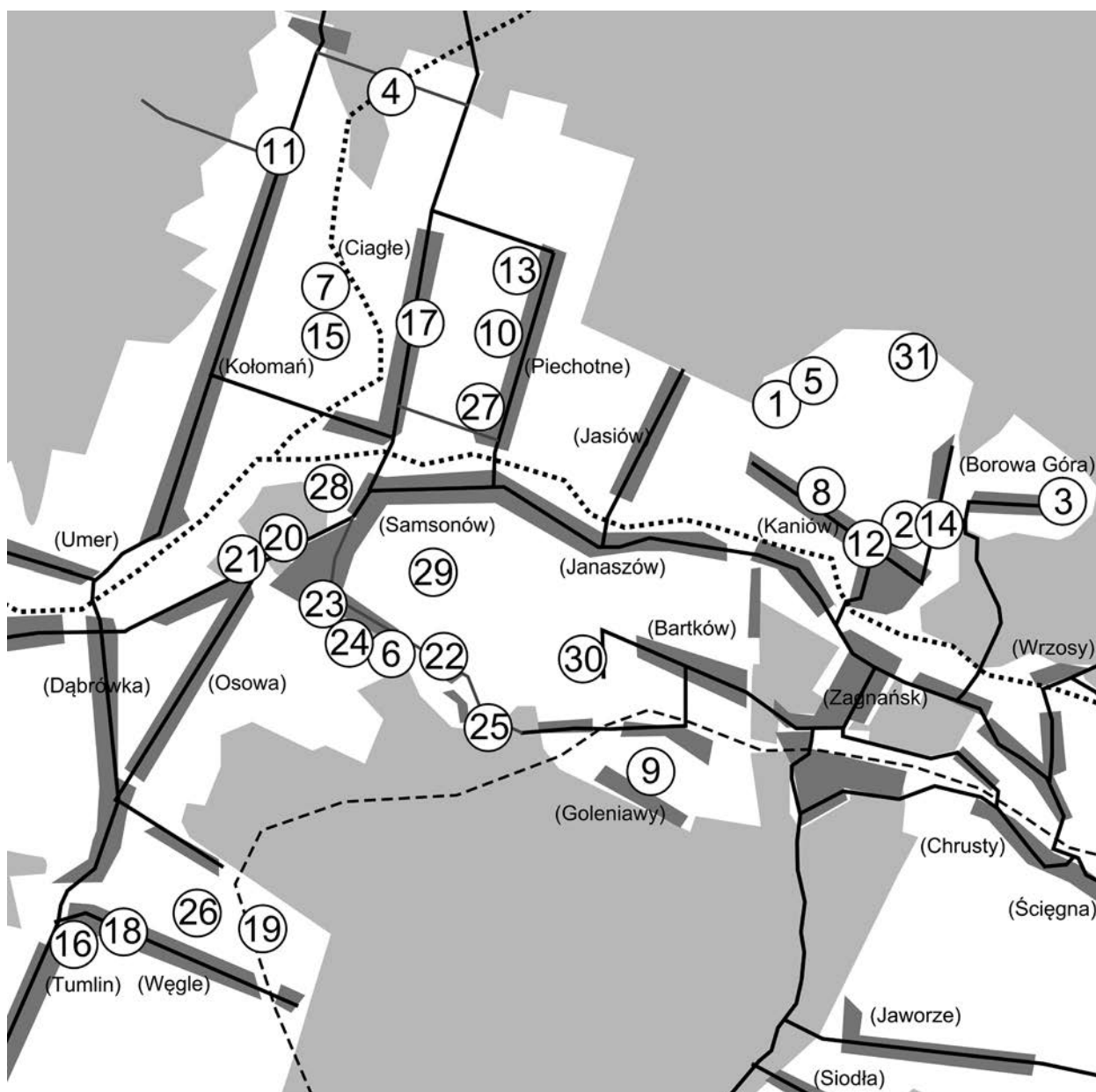
33) *Zagorze* – (mapa z 1816 r.) [1] Zagórze; nazwa osady młynarskiej nad bezimiennym dopływem Bobrzy; obecnie dawny młyn wodny W. Chojeckiego [6] między Wąsoszami a os. Wrzosey. Toponim nadany przez mieszkańców dawnego Zagnańska, nawiązujący do położenia za wzniesieniem terenowym (obecną Kościelną Górką). Młyn istniał w tym miejscu już w XVII w., jego dochody stanowiły uposażenie zagnańskiego plebana. W 1643 r. młynarzem był tu Tomasz Jędrzek (stąd używano określenia *Jędrkowski Młyn*), zaś w 1712 r. – Gabriel Zagórni (nazwisko urobione zapewne od nazwy osady). W roku 1809 urządzenia młyńskie zniszczyła wezbrana woda, wkrótce jednak je odbudowano [13]. Na mapie z 1839 r. obiekt figuruje jako młyn *Strusa* (przypuszczalnie zniekształcone nazwisko młynarza) [11]. W latach 40. XIX w. zakład prowadził Jan Zenka [13].

34) *Zakącie* – toponim widniejący na mapie z 1843 r. [1] na zachód od dawnego Zagnańska; północny stok wzniesienia 391 m n.p.m. na południe od Chrustów. Dawne pole, obecnie – zarośnięte młodymi drzewami nieużytki, teren planowanego osiedla mieszkaniowego. Nazwa powstała od określenia *kąt* – *miejsce odległe* [8] (patrz – *Kopciow Kąt*) i oznacza grunt za nim położony.

35) *Zastawek* – (1833 r., 1843 r.) [1] – podlesny teren na prawym brzegu Lubrzanki, na północ od zachodniego krańca Zabłotcia. Etymologia: miejsce za niewielkim stawem (patrz – *Stawki*), nazwa nadana przez mieszkańców dawnego Zagnańska.

Toponimia okolic Samsonowa (ryc.2):

1) *Adamowska Dąbrowa* – nazwa widniejąca na mapach z lat 1843 i 1856 [1] na północ od zachodniego krańca współczesnego Kaniowa, obejmująca grunty rolne (obecnie częściowo zarośnięte nieużytki)



Toponimia okolic Samsonowa (ryc.2)

oraz fragment przyległego drzewostanu (południowo – wschodni narożnik oddziału 47). Toponim oznacza las dębowy (*Quercus sp.*) pozostający w związku (własność, użytkowanie) z wsią Adamów – osadą powstałą przy założonej w 1573 r. kuźnicy [7], istniejącą do poł. XIX w. (obecnie część wsi Kaniów). *Adamowska Dąbrowa* stanowiła część lasu *Dąbrowa* (patrz poniżej).

2) *Borek* – nazwa pola na mapie z 1843 r. [1], obecnie częściowo zarośnięte i zabudowane nieużytki na północ od wschodniego krańca Kaniowa (na zachód od zbiornika wodnego). Toponim oznaczający niewielki fragment lasu iglastego [8].

3) *Borowa Góra* – nazwa otoczonego lasami pola widniejąca na mapach z 1843 r. oraz sprzed 1853 r. [1]; obecnie wschodnia część wsi Borowa Góra (nazwa osady zapożyczona). Określenie odnośnego pola przyjęto od pobliskiego wzniesienia Borowa Góra,

znajdującego się na terenie leśnym na południe od wschodniej części wsi (oddział 60).

4) *Cyrchla* – nazwa pola oznaczonego na mapie z 1856 r. [1] Teren obecnego przysiółka Podlesie, między szosami Kołomań – Długojów i Samsonów – Szałas; okolica przecięcia lokalnej drogi przez strumień Cyranka (w sąsiedztwie wyrobiska gliny). Współcześnie są tu częściowo zarośnięte nieużytki, w pobliżu – pojedyncze zabudowania. Nazwa nawiązująca do trzebieży puszczy – *czyrśła* (gwarowo *cyrśła*) oznacza *porębę, polanę leśną powstałą po wykarczowaniu drzew; czyrślenie* lub *czyrchlenie* było sposobem usuwania drzew polegającym na obdzieraniu kory wraz z łtykiem wokół dolnej części pni, co skutkowało ich uschnięciem [8].

5) *Dąbrowa* – (plan z 1856 r.) [1]; toponim zlokalizowany na północny – wschód od Adamowskiej Dąbrowy (na północ od zachodniej części Kaniowa; okolica niewielkiej kulminacji na skraju oddziału 44).

Nazwa oznacza drzewostan dębowy (*Quercus* sp.), jednak w 1856 r. było to już pole uprawne.

6) *Dudków* – (plan z 1865 r.) [1]; nazwa osady młynarskiej na Bobrzaneczce; obecnie współczesne zabudowania (własność potomka młynarza), pozostałości rozebranego w 2012 r. młyna oraz zarośnięte ślady dawnego spiętrzenia wodnego. Toponim pochodzi od nazwiska *Dudek*, *Dudko* lub *Dudka* (obiekt w 1791 r. określany jako *Dudkow Młyn*, zaś w 1839 r. – *Młyn Dudki*), względnie – nazwy osobowej *Dudek* [8,11]. Wymieniony zakład istniał już w 1731 roku, prowadził go wówczas Paweł Szwed [13]. W późniejszych czasach w okolicy młyna rozbudował się przysiółek Samsonowa, dla którego zapożyczono nazwę *Dudków*.

7) *Dłubów* – nazwa pola (być może zniekształcona) zaznaczona na mapie z 1856 r. [1] między Kołomanią a Samsonowem (Ciągłymi), na prawym brzegu strumienia (Cyranka), na północ od toponimu *Krosna*. Obecnie pola uprawne oraz nieużytki, częściowo zarośnięte drzewami. Nazwa dzierżawcza, nawiązująca przypuszczalnie do właściciela lub użytkownika pola o nazwisku *Dłub* lub *Dłuba*.

8) *Gatków* – nazwa pola na północ od wsi Adamów zaznaczona na planie sporządzonym przed 1853 r. [1]; obecnie po części zabudowania współczesnego Kaniowa oraz zarastające nieużytki. Nazwa dzierżawcza, odnosząca się prawdopodobnie do właściciela lub użytkownika pola o nazwisku *Gatka*, **Gatko* lub **Gatek*, względnie *Gątek* (przy założeniu pominięcia w zapisie znaku diakrytycznego). Wyraz *gatka* oznacza groblę, faszynę, bądź materiał wykorzystywany do *gacenia* (ocieplania ścian budynków na zimę) [8].

9) *Goleniawy* – nazwa otoczonego lasem gruntu rolnego zaznaczona na mapie z 1843 r. [1]; obecnie łąki, brzozowy las oraz zarastające nieużytki po północnej stronie zabudowy Górnych Goleniaw (na północny – zachód od leśniczówki Węgle). Według F. P. Navarry (1911) nazwa ta (w formie *Goleniowy*) pochodzić ma od wyrażenia *gołe niwy* [12] (*niwa* – *pole uprawne*, także *pole po wykarczowaniu, nowina*), D. Kopertowska (1984) zalicza *Goleniowy* do nazw dzierżawczych, wywodząc je od staropolskiej nazwy osobowej *Goleń* [8].

10) *Górka* – (plan z 1856 r.) [1]; wzniesienie (333 m n.p.m.) po zachodniej stronie zabudowań wsi Piechotne. Obecnie zarastający nieużytek.

11) *Huta* – (plan z 1856 r.) [1]; nazwa obszaru niewielkiej wsi związanej z produkcją hutniczą. Teren na północnym krańcu Kołomani, po lewej stronie za skrzyżowaniem dróg (na północny – wschód od leśniczówki Długojów); obecnie łąki oraz pojedyncza zabudowana posesja. Wyraz *huta* zapożyczony został z języka niemieckiego (*Hütte*) w XIV w. [4] Początkowo odnosił się do hut szkła [7], w późniejszym czasie także zakładów metalurgicznych. Wieś Huta najprawdopodobniej założona została w 1625 r. w związku z budową huty ołowiu

przez Aleksandra Szembeka (pozostałości spiętrzenia wodnego znajdują się w odległości ok. 600 m na południowy – wschód). Likwidacja Huty jako samodzielnej jednostki osadniczej nastąpiła w latach 1849 – 1854 w związku z przeprowadzonym w tym czasie urządzeniem kolonialnym okolicznych wsi [1] (najprawdopodobniej włączono ją w skład Kołomani).

12) *Kaniowska Łysica* – nazwa pola położonego na wschód od Adamowa zaznaczona na mapie z 1843 r. [1]; obecnie w obrębie zabudowań Kaniowa (okolica skrzyżowania głównej drogi z ul. Młynarską; na północ od dawnej lokalizacji wsi). Słowo *łysica* oznacza tu zapewne miejsce pozbawione roślinności, człon *kaniowska* wskazuje zaś na przynależność, lub bliskość opisywanego miejsca względem odnośnej osady.

13) *Karbów Las* – (plan z 1856 r.) [1] pole po zachodniej stronie północnego krańca Piechotnych, w rejonie niewielkiej kulminacji terenowej; obecnie mały (ok. 1,5 ha) kompleks leśny. Nazwa dzierżawcza urobiona od nazwiska *Karb*.

14) *Koń* – toponim widniejący na mapie z 1843 r. [1] na wschód od Adamowa, za *Borkiem*; obecnie w sąsiedztwie zbiornika wodnego, na północ od wschodniego krańca Kaniowa, przed zabudowaniami osiedla Kaniów II (ul. Dębowa), w rejonie odgałęzienia się drogi do Borowej Góry (teren zadrzewiony). Nazwa nawiązuje zapewne do jakiegoś dawnego wydarzenia z udziałem konia.

15) *Krosna* – nazwa pola na planie z 1856 r., na południe od toponimu *Dłubów* [1]; wzniesienie terenowe między Kołomanią a Ciągłymi, po zachodniej stronie zakola Cyranki (obecnie grunty rolne oraz częściowo zarośnięte nieużytki). Nazwa *krosna* powszechnie kojarzona jest jako *warsztat tkacki* [3]. Być może w tym przypadku mamy jednak do czynienia ze zniekształconą formą **chrostna* (od *chrusty*), co znaczyłoby *zakrzaczona* [8].

16) *Krzyż* – toponim wyróżniony na planie z 1856 r. [1] na południowy – zachód od kościoła w Tumlinie, przed obecnym budynkiem szkolnym. Prawdopodobnie nazwa wzięta się od istniejącej tu niegdyś figury sakralnej (co być może wiąże się z miejscową legendą o św. Jacku Odrowążu) [12], choć nie można także wykluczyć bardziej prozaicznej etymologii – sąsiedztwa skrzyżowania dróg [8].

17) *Kwaczyn* – (plan z 1856 r.) [1] pole po wschodniej stronie Samsonowa (Ciągłych) w środkowym odcinku przysiółka. Nazwa dzierżawcza urobiona od nazwiska *Kwacz*.

18) *Pieniężna Góra* – (1843 r.) [1] nazwa pola na wschód (ok. 350 m) od kościoła w Tumlinie; obecnie teren przysiółka Węgle. Określenie *góra* nawiązuje do ukształtowania terenu, pierwszy człon nazwy wskazuje na bliżej nie określony związek z pieniędzmi (być może użytkowanie gruntu za odpłatnością).

19) *Przede Wsie* – nazwa pola na mapie z 1843 r. na wschód od dawnego Tumlina [1]; obecnie teren



Zagnisko (for. autor).

podleśny na wschód stacji kolejowej Tumlin. Według B. Szurowej (1998) nazwa *Przedewsie* odnosiła się z reguły do gruntów orných usytuowanych przed wsią, w pewnym oddaleniu od niwy domowej, najczęściej przy prowadzącej doń drodze [14].

20) *Przy Młynie* – toponim widniejący na mapie z 1856 r. [1] po północnej stronie przecięcia drogi z Samsonowa do Ćmińska przez Bobrzaneczkę; obecnie teren częściowo zalesiony i zabudowany (przepompownia ścieków). Spiętrzenie wodne znajdowało się po północnej stronie drogi (czytelne relikt grobli), odnośny młyn istniał tu na początku XIX w. (zaznaczono go na mapie z 1816 r.) [1]. Prawdopodobnie nosił on nazwę *J. Humer* [12] (zapewne personalia młynarza).

21) *Przy Mostku* – (mapa z 1856 r.) [1] pole po prawej stronie drogi z Samsonowa do Ćmińska, za mostem na Bobrzaneczce; obecnie częściowo zalesiony nieużytek.

22) *Przydutkowie* – nazwa pola na wschód od osady młynarskiej *Dudków* zaznaczona na mapie z 1856 r. [1]; obecnie niewielki las oraz zabudowania przysiółka *Dudków* przy drodze z Samsonowa do Goleniaw (około 300 m od dawnej osady młynarskiej, okolica posesji nr 36). Toponim oznaczający miejsce leżące w pobliżu wymienionej osady młynarskiej.

23) *Rurarnia* (1865 r.), *Ruralnia* (1816 r.) [1] – osada młynarska nad Bobrzaneczką na południe od przysiółka *Komorniki* (na przedłużeniu drogi wiejskiej); współcześnie teren częściowo zabudowany i zadrzewiony, czytelne ślady dawnego spiętrzenia (grobla) – w jego obrębie niewielki staw. Nazwa *Rurarnia* pochodzi od XVII-wiecznego zakładu, w którym wiercono lufy (*rury*) ręcznej broni palnej [7]. Na początku XIX w. był tutaj młyn prowadzony przez Benedykta Niebudka [13].

24) *Rurarnia* – nazwa pola na południe od Bobrzaneczki między osadami młynarskimi *Rurarnia*

i *Dudków* widniejąca na mapie z 1856 r. [1]; obecnie teren zabudowany (ul. *Rurarnia*), częściowo zadrzewiony. Nazwa przeniesiona z działającego w tym rejonie w XVII w. zakładu zbrojeniowego [7] (patrz powyżej).

25) *Rybna* – toponim oznaczający osadę młynarską zaznaczony na mapach z lat 1816 [1], 1839 [11], 1843, 1865 [1] na południowo – wschodnim krańcu obecnego przysiółka *Dudków*, nad Bobrzaneczką (w sąsiedztwie miejsca, w którym łączy się z nią beziemienny doptyw od strony linii kolejowej). Do naszych czasów zachowała się tu wyraźna gro-

bla. Nazwa osady zapożyczona została od strumienia, nad którym założono młyn (*Rybna*, inaczej *Ostroszyć*, obecnie – *Bobrzaneczka*; toponim *Rybna* potwierdzony pod rokiem 1789) [7,12]. Młyn wodny istniał tu już w XVIII w. (prowadzony przez rodzinę Szwedów) [13]. Obiekt widnieje jeszcze na mapie z roku 1890 [9]. Zlikwidowano go przed I wojną światową [10]. Odnosząca się do rzeki nazwa *Rybna* wskazuje na jej zarybienie; jak podaje F.P. Navarra (1911) ze stawów przy młynach *Rybna*, *Dudków*, *Ruralnia* i *J. Humer* dostarczano ryby na dwór biskupi w Kielcach [12].

26) *Stok* – nazwa pola zaznaczona na mapie z 1843 r. [1] po północnej stronie zabudowań obecnej wsi Tumlin – Węgle (współcześnie grunty rolne). Słowo *stok* może oznaczać zarówno źródło, czy ciek wodny jak i zbocze [3]; z uwagi na fakt, iż w okolicy żaden strumień nie występuje należy tu przyjąć raczej drugi wariant, choć nie można wykluczyć istnienia tutaj niewielkiego źródła w przeszłości.

27) *Świnia Krzywda* – nazwa pola wyróżniona na planie z 1856 r. [1] w pobliżu zabudowań południowej części *Piechotnych*, po północnej stronie drogi łączącej *Piechotne* z *Ciągłymi*. Etymologia nieustalona; prawdopodobnie odnosi się do gruntu spornego (*krzywda* – niezastużenie wyrządzona komuś szkoda, niesprawiedliwość) [15].

28) *Wielki Piec* – nazwa niewielkiej osady przyfabrycznej zlokalizowanej wzdłuż kanału po zachodniej stronie zakładu hutniczego w Samsonowie; zaznaczona na planie z 1856 r. [1] (odnośne osiedle widnieje również na mapie z roku 1839) [11]. Obecnie pojedyncze, samotne gospodarstwo, okoliczny teren zalesiony. Budowę samsonowskiego zakładu wielkopieczowego „Józef” rozpoczęto w roku 1818, rozruch nastąpił po pięciu latach. Huta zaprzestała produkcji w wyniku pożaru w 1866 r. [7]

29) *Wymystów* – (1856 r.) [1] nazwa pola na wschód od Samsonowa – *Komorników*, po wschodniej stronie

polnej drogi między przysiółkiem Dudków a obecną szkołą w Samsonowie (współcześnie grunty rolne, częściowo zarośnięte oraz polna droga z Samsonowa do Bartkowa). D. Kopertowska (1984) zalicza *Wymystów* do grupy nazw żartobliwych – przezwiskowych [8]. Wyraz *wymyst* ma kilka znaczeń [16]; jako źródłostów rozpatrywanej nazwy może oznaczać jakiś niepraktyczny pomysł, związany np. z nadziałem gruntów, lub innymi, niezrealizowanymi zamiarami.

30) *Wyřębiska* – nazwa pola figurująca na mapie z 1843 r. [1], zlokalizowana na zachód od współczesnego Bartkowa Dolnego, po zachodniej stronie drogi do oczyszczalni ścieków (południowe zbocze pobliskiego wzniesienia); obecnie teren rolny, częściowo zadrzewiony. Wyraz *wyřębisko* jest toponimem związanym z trzebieżą puszczy; oznacza *miejsce po wyrębanym lesie, porębę* [8] (patrz: *Porębkę*).

31) *Zielony Stok* (1856 r.), omyłkowy zapis: *Ziołowy Stok* (przed 1853 r.) [1] – toponim zlokalizowany na północ od współczesnego Kaniowa, pod lasem, w pobliżu dawnej gajówki Kaniów (obecnie budynek prywatny). Teren dawnych pól, obecnie w znacznej mierze zarosłych. Najprawdopodobniej nazwa ta pierwotnie odnosiła się do pobliskiego strumienia (bądź jego źródła; patrz *Stok*), płynącego od strony oddziału leśnego 44 w kierunku osiedla Kaniów II. Człon *zielony* odnosi się w tym przypadku do występującej wokół zielonej roślinności [8].

Toponimiczne przesłanki do najdawniejszych dziejów Zagnańska

Historycy zajmujący się badaniem dziejów niewielkich miejscowości często borykają się z problemem braku dokumentów źródłowych poświadczających początki istnienia danej osady. Sytuacja ta może wynikać z ich zniszczenia (pożary, wojny, inne przyczyny), zaginięcia, niedostępności bądź nieznamości. W przypadku niewielkich siedlisk, o małym znaczeniu, materiały takie mogły po prostu w ogóle nie powstać. Wobec wieloletnich poszukiwań badaczy nie należy raczej spodziewać się znaczącego poszerzenia naszej wiedzy w oparciu o nowo odkryte źródła piśmiennicze. W tej sytuacji nowych danych dostarczyć mogą inne metody, jak na przykład archeologia, etnografia czy toponomastyka.

Podobnie rzecz ma się z miejscowością Zagnańsk, której data powstania pozostaje nieznana. Należy przy tym zauważyć, iż nie chodzi tu o osadę współcześnie noszącą miano Zagnańska (powstała po I wojnie światowej w pobliżu stacji kolejowej i tartaku [6]), lecz o dawną wieś, sprzed tzw. urządzenia kolonialnego (poł. XIX w.), położoną w sąsiedztwie kościoła parafialnego, na terenie obecnych Chrustów i Ścięgien. Znanie nam źródła pisane potwierdzają istnienie Zagnańska dopiero od początku XV w. W roku 1414 biskup krakowski Wojciech Jastrzębiec zezwolił Augustynowi, sołtysowi z *Woli*, na nowo lokować wieś *Zagnansko*. Doszło

przy tym do połączenia obu miejscowości, będących wówczas pustkami – *desertas* (co było przyczyną ich opustoszenia trudno dziś ustalić) [5,17]. Warto zatem zaznaczyć, iż data 1414 r. nie dotyczy początku istnienia Zagnańska, lecz relacjonuje późniejsze losy egzystującej już wcześniej osady.

Do dziś zagadką pozostaje również etymologia samej nazwy *Zagnańsk*. Najstarszą, bo ugruntowaną wśród okolicznej ludności już w XIX w., próbą jej wyjaśnienia jest podanie o założeniu osady przez przymusowo sprowadzonych tu włóczęgów i przestępców, w świetle którego źródłostwem toponimu Zagnańsk jest wyraz *zagnanie* [6,12,13]. Z teorią tą zgadza się S. Janicki (1992), powołując się na nazwę jednego z przysiółków Łącznej – *Podzagnańszcza* [6]. Pośrednio przychyła się do niej także D. Kopertowska (1984), podając jako źródłostów urobioną od słowa *zagnać* hipotetyczną nazwę osobową **Zagnan* [8]. Inną koncepcję wysunął M. Starz (1995), według którego nazwa *Zagnańsk* pochodzić ma *prawdopodobnie* od sąsiedztwa z osadą *Gnańsko*, istniejącą rzekomo między Zagnańskiem a Kielcami [13] (co jednak nie znajduje pokrycia w faktach historycznych).

Dawne źródła pisane milczą na temat lokalizacji Zagnańska i Woli przed 1414 rokiem. O ile jednak w pierwszym przypadku można przyjąć, iż była ona zgodna z późniejszym (do połowy XIX w.) umiejscowieniem – na co wskazuje choćby przyjęcie nazwy *Zagnansko* dla nowo lokowanej osady, o tyle w odniesieniu do Woli brak jest podobnych przesłanek. Tu jednak ciekawych informacji dostarcza utrwalone w pamięci pokoleń nazewnictwo terenowe. Na mapach z I poł. XIX w. nad Lubrząnką, w pobliżu wschodniego krańca obecnej wsi Jaworze figuruje intrygująca nazwa jednego z pól: *Stara Wieś* (ryc.3; toponim ten funkcjonuje w świadomości okolicznych mieszkańców do chwili obecnej). Bez wątplenia odnosi się ona do dawnej, ówczesnie już nie istniejącej, jednostki osadniczej. Warto zauważyć, że toponim ten odnotowano przed tzw. urządzeniem kolonialnym, a więc w czasie gdy w okolicy istniał jedynie Zagnańsk oraz założony dopiero w 1774 r. [13] Kajetanów. Dodatkową wskazówkę stanowi używana w tym samym czasie nazwa pobliskiego wzniesienia (396 m n.p.m.) – *Wolińska Góra*. W świetle przytoczonych argumentów miejsce noszące nazwę *Stara Wieś* można uznać za lokalizację dawnej wsi Wola sprzed 1414 r. Znalezione przez autora w okolicy pojedyncze fragmenty ceramiki (ogólnie wydatowane przez dr Jolantę Gągorowską na późne średniowiecze) nie mogą stanowić ostatecznego dowodu, dlatego w przyszłości celowym byłoby przeprowadzenie tu dokładniejszych badań archeologicznych. Nazwę *Wola* nadawano świeżo lokowanym osadom, które do czasu zagospodarowania się (około kilkunastu lat) były zwolnione od danin na rzecz właściciela [3]. Prawdopodobnie początkowo pod pojęciem *wola* rozumiano pewien określony typ osady, a dopiero

w późniejszym czasie – nazwę własną. Warto dodać, iż w roku 1414 zarówno w odniesieniu do Woli jak i ponownie lokowanej wsi *Zagnansko* używano obocznego określenia *Augustinowo* [5,17], co bez wątplenia wiązało się z osobą Augustyna (sottysa tychże). Mamy więc tutaj źródło poświadczające nazwę *in statu nascendi* (która, jak wiemy, nie przetrwała próby czasu).

Analizując nazewnictwo terenowe okolic do równie ciekawych, choć nie tak jednoznacznych wniosków można dojść w przypadku Zagnańska. Jak wcześniej wspomniano najdawniejszą utrwaloną na piśmie formą toponimu jest *Zagnansko*, co najczęściej wywodzi się od słowa *zagnanie*. Na mapie z 1843 roku [1] nad jednym z bezimiennych dopływów Lubrzanki na wschód od obecnej wsi Gruszka widnieje jednak pole o nazwie *Zaguisko* (**Zagnisko*) (ryc.4), zaś nieopodal – *Pod Zagnińsko* (patrz – toponimia okolic Zagnańska). Jak wcześniej wspomniano jednym z możliwych źródłosłów obu toponimów jest wyrażenie *gnić* (**gnisko* lub **gnińsko* – *miejsce gnijące, mokradło*), zaś pod nazwą **Zagnisko* (*Zagnińsko*) można rozumieć *miejsce położone za mokradłem*. Owym **gniskiem* – *mokradłem* mógłby wówczas być podmokły, zachodni odcinek Doliny Wilkowskiej (rejon Brzezinki – Kajetanów) z licznie występującymi dopływami Lubrzanki. W tym przypadku za twórców nazwy należałoby uznać ludność pochodzącą z kierunku wschodniego. Zgodnie z tą koncepcją toponim **Zagnisko/Zagnińsko* mógł pierwotnie odnosić się do całego obszaru późniejszego Zagnańska (terenu suchego, nadającego się pod osadnictwo) i dotrwać do XIX wieku w formie reliktywnej jako nazwa przyległego do Doliny Wilkowskiej pola. Przedmiotowy toponim stworzony zostałby zatem przez średniowiecznych osadników, przybyłych na ten teren ze wschodu; oni też mogliby dać początek osadzie, dla której pierwotnie przyjęto określenie **Zagnisko/Zagnińsko*, stosunkowo wcześniej przekształcone na *Zagnansko* (*Zagnańsko*; patrz przykład: **Wiszniówka* – *Wiśniówka*). Na korzyść powyższej hipotezy świadczą wyniki badań C. Hadamika (2007), w świetle których zasiedlenie tej okolicy nastąpiło między przełomem XI i XII a XIII wiekiem z kierunku wschodniego [5]. Argumentem przemawiającym za istnieniem w tym czasie Zagnańska jest znaleziony przez autora na terenie dawnej wsi fragment ceramiki, wydатовany przez dr J. Gągorowską na okres między XI a XIII w.

Nie należy jednak wykluczać, iż nazwa *Zaguisko* (**Zagnisko*) stanowić może po prostu mocno zniekształconą formę określenia **Zagnańskie*. Za taką ewentualnością przemawia zlokalizowany po sąsiedztwie *Brzezin Stok*; na tej samej mapie (1843 r.) [1] również występuje on w znacznie zdeformowanej wersji (*Brzin Stok*), ponadto dzierżawczy charakter toponimu sugeruje jego położenie na pograniczu gruntów wsi Zagnańsk i Brzezinki, co uzasadniałoby użycie określenia **Zagnańskie* dla pobliskiego pola.

W tym przypadku nazwa *Pod Zagnińsko* odnosiłaby się nie do pola **Zagnisko*, lecz do osady *Zagnańsko*, i w formie pierwotnej brzmiałaby **Pod Zagnańsko*.

Autor składa serdeczne podziękowania za udzieloną pomoc pp. dr Jolancie Gągorowskiej z Muzeum Narodowego w Kielcach, Pawłowi Adamczykowi z Jaworzy oraz Ryszardowi Krawcowi z Zabłotcia.

Źródła:

- 1) Archiwum Państwowe w Radomiu – zespół PGR, sygn. 601, 617, 622, 632, 638, 639, 640.
- 2) Broda J. 1988. *Zarys historii gospodarstwa leśnego w Polsce*. PWRiL, Warszawa.
- 3) Brückner A. 1927. *Słownik etymologiczny języka polskiego*. Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków.
- 4) Długosz – Kurczabowa K. 2008. *Wielki słownik etymologiczno historyczny języka polskiego*. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa.
- 5) Hadamik C. 2007. *Pierwsze wieki Kielc. Kasztelania kielecka od przełomu XI i XII do połowy XIV stulecia*. Regionalny Ośrodek Badań i Dokumentacji Zabytków w Kielcach, Dom Środowisk Twórczych „Patac T. Zielińskiego” w Kielcach, Kielce.
- 6) Janicki S. 1992. *Dzieje Zagnańska*. Kielce.
- 7) Kmiec H. 2000. *Dzieje techniki zbrojeniowej nad rzeką Bobrzą i w jej okolicach od XVI do XIX wieku*. Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Kielcach, Kielce.
- 8) Kopertowska D. 1984. *Nazwy miejscowe województwa kieleckiego. Nazwy miast i wsi, nazwy części miast i wsi oraz nazwy alei, placów, ulic i osiedli mieszkaniowych*. KTN, PWN, Warszawa – Kraków.
- 9) Mapa austro-węgierska 1:200 000, ark. Kielce, 1890 r.
- 10) Mapa rosyjska 1:84 000, ark. XXVIII-8, Gubernia Kielecka, Wydział Wojenno-Topograficzny, Piotrogród, 1914 r.
- 11) Mapa topograficzna Królestwa Polskiego 1:126 000, kolumna 4, sektor 6 (ark. Kielce), 1839 r.
- 12) Navarra F. P. 1911. *Monografia kościołów diecezji kieleckiej*. Tom II. Drukiem Piotra Laskauera, Warszawa.
- 13) Starz M. 1995. *Zagnańsk, Samsonów, Tumlin, Ćmińsk. Z dziejów osad nad górą Bobrzą*. Agencja JP, Kielce.
- 14) Szurawa B. 1998. *Zmiany układu przestrzennego wsi kieleckiej od XIII do połowy XX wieku*. Muzeum Wsi Kieleckiej, Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Wsi Kieleckiej, Ludowe Towarzystwo Naukowe – Kulturalne Oddział Kielecki. Kielce.
- 15) Szymczak M. red. 1978. *Słownik języka polskiego*. Tom I (A-K), PWN Warszawa.
- 16) Szymczak M. red. 1981. *Słownik języka polskiego*. Tom III (R-Ż), PWN Warszawa.
- 17) Wiśniewski J. 1913. *Dekanat konecki*. Druk. i Lit. „Jan Kanty Trzebiński”, Radom.

Format „albumowy”, ale z tych mniejszych, oczywiście wydłużony w poziomie, leżący, takie były najpopularniejsze. Lekko postrzępiona (pewnie, że tak) ciemnoszara okładka z karbowanego kartonu związana brązowym plecionym sznurkiem. Na niej konwencjonalny, jak to niegdyś w zwyczaju, motyw roślinny. I nic więcej. No prawie. Kiedy spojrzeć z ukosa widać słowo „Stopnica” – staranne kursywne pismo zdradzające dobra szkołę i dłoń wprawną w pisaniu, dodajmy, że napis jest otówkowy.

Wewnątrz okładki kilkanaście szarych sztywnych kart, na nich fotografie naklejone tylko na pierwszej stronie. Ale jakie fotografie. I jak naklejone! Jedna, dwie, trzy, rzadko cztery, starannie rozmieszczone, i zawsze jakoś zakomponowane. A to na palecie malarskiej wyciętej z czarnego papieru, ozdobionej gałązką róży i podpisem: „Struga z wierzbami za młynem” (taka jest strona pierwsza, a kolorowy tekst wykonany pędzelkiem). A to na podklejce z kolorowego papieru, a to z zaoblonymi narożnikami; jedno równoległe do dłuższej krawędzi albumu (wtedy zazwyczaj cztery, równiutko rozłożone i tego samego formatu), kiedy indziej tomik trzeba odwrócić pionowo.

Matowy papier, trochę szarości z kurzu, który mimo starannego przechowywania, przykleił się do zdjęć. Zaciekawienie, co tam – dreszcz emocji, z jakim otwiera się pierwszą stronę, od razu miesza się z nutą zaniepokojenia i żalu. Na pierwszy rzut oka widać,

że to album niknącej fotografii. Dostownie. Jeszcze nie jest tak źle, jeszcze można rozpoznać szczegóły, rysy twarzy, miny fotografowanych ludzi, niby swobodne, choć nie da się ukryć, przeznaczone dla fotografa (który targał ze sobą skrzynkowy aparat na statywie), na pejzażowych ujęciach wprawne oko rozpoznałoby gatunki drzew, a budynki są odpowiednio dostojne lub malownicze. Ale nie ma już beczelnej świeżości „młodego” zdjęcia. Procesy chemiczne, którymi fotograf stworzył i utrwalił obraz na albuminowym, żelatynowym? papierze, powoli go zacierają. Może dlatego stara fotografia ma tak wielu wyznawców – tu upływ czasu widoczny jest zarówno w tym co widać, jaki w tym jak widać (czy raczej jak wiele już nie widać).

No dobrze, skoro jednak nie jest jeszcze z naszym albumem tak źle, to co właściwie utrwalono na tych ledwie co kilkudziesięciu kartonikach, wypełniających jego wnętrze. Zdecydowana większość jest anonimowa. Właścicielka, zaryzykujmy że wykleiła go i ozdobiła uważna kobieta dłoń, znała ludzi i miejsca. A może to pamiątka, przeznaczona dla kogoś bliskiego? Sfotografowane osoby i większość ujęć pejzażowych, także ulic i budynków, musiała być dla oglądających łatwo rozpoznawalna, bo pod większością fotografii brak podpisów. Tylko nieliczne opatrzone zostały czarnymi atramentowymi objaśnieniami, tuż nad dolną krawędzią. A podpisy są tak lapidarne, jak to tylko możliwe: „Borek”, „300-letnie topole”, „Powiat”



Widok na Stopnicę od amantarsza

(w tle spory budynek, to zapewne siedziba władz powiatowych), „Góra z źródłami”. Pozostaje nadzieja, że na odwrotnych stronach kartoników zachowały się jakieś opisy. Jeżeli tak, to musiały być wykonane



uważnie, bo od frontu nie ma żadnych śladów. Trochę korci, żeby podważyć, ba! odkleić jedno czy drugie zdjęcie, ale tylko korci. Czy to zresztą takie ważne?

Wiadomo więc, że to Stopnica. Raczej miasto, niż ludzie, bo tym poświęcono niewiele fotografii. Warto się im przyjrzeć. Nie mają imion, brak im nazwisk (kobietom bardziej, bo ani rodowych, ani „po mężu”). A mimo to sporo można tu wyczytać. Najwięcej o tym, gdzie w społecznej hierarchii znajdowali się członkowie tego małego „towarzystwa”. Czy to mieszkańcy Stopnicy, wówczas jeszcze powiatowej, czy jacyś okoliczni ziemianie? A może kuracjusze z pobliskiego Buska lub Solca na wycieczce? Może.

Gdyby nawet niecierpliwy widz przeoczył podpis na okładce, dość łatwo przyszłoby mu rozpoznać scenerię, w której rozgrywa się pogodna i nieco sentymentalna opowieść zapisana w albumie. Na znieruchomiłych obrazach. Bo tak coś mi się wydaje, że już wkrótce, a może nawet w tym samym czasie, w którym powstał ten album, fotografia zyska groźnego konkurenta – ruchomy obraz, kinematograf. W albumie brak dat, ale nie brak śladów do małej detektywistycznej zabawy: strojów, pojazdów, detali na domach i gmachach, które pozwalają, z niewielkim błędem, określić czas powstania fotografii.

Zdjęć w albumie jest 36, tutaj zaledwie 12. Z podpisów zrezygnowałem, z przyczyn wyłożonych wyżej. Po co tu podpisy, te obrazy są wystarczająco sugestywne.

Witaj, żegnaj dawna Stopnico!



Paweł Bronisław Wilkoszewski – bardziej znany jako Bronisław Wilkoszewski, urodził się w rodzinie szlacheckiej w Szczekocinach w powiecie wieluńskim w styczniu 1847 r., zmarł w Łodzi 29 maja 1901 r. Rodzicami Bronisława Wilkoszewskiego byli: Leon Wilkoszewski, w tym czasie oficjalista prywatny – w latach 60-tych XIX w. burmistrz Szczekocin i Marianna z Sobockich Wilkoszewska.

W 1884 r. zawarł związek małżeński w kieleckiej Katedrze z Marią Jankiewicz. Doczekał się czwórki dzieci z których najmłodszą była Maria Wilkoszewska (14 VII 1898 Łódź – 21 VII 1957 Łódź), także Sarjusz-Wilkoszewska, zamężna Kruger-Strzelecka, śpiewaczka, aktorka – żona aktora Czesława Strzeleckiego (właśc. nazwisko Kruger).

Niestety niewiele wiemy o dzieciństwie Wilkoszewskiego, rodzeństwie i początkowym wykształceniu. Na arenę dziejową wkracza, gdy 20 września 1878 r.¹ otwiera trzecie w kolejności w Kielcach, stałe



Portret Bronisława Wilkoszewskiego, „Goniec Łódzki” (dalej GŁ) 1898, nr 86, s. 4

¹ AP Kielce, KGK, sygn. 409

i zawodowe, atelier fotograficzne wraz z przybyłym z nim z Warszawy, Józefem Grodzickim (1854-1939) – po uzyskaniu stosownego zezwolenia władz. Zakład powstał w budynku przy ul. Dużej 7, na wprost Hotelu Europejskiego, pod nazwą „Zakład Fotograficzny Warszawski Wilkoszewski i Grodzicki” (w kamienicy Władysława Krajewskiego – pierwszego zawodowego fotografa w Kielcach). W tym czasie Władysław Krajewski wyjechał z Kielc do Warszawy i tam prowadził swoje interesy. Być może poznał w Warszawie młodych adeptów sztuki fotograficznej i zainteresował ich swoim zakładem w Kielcach.

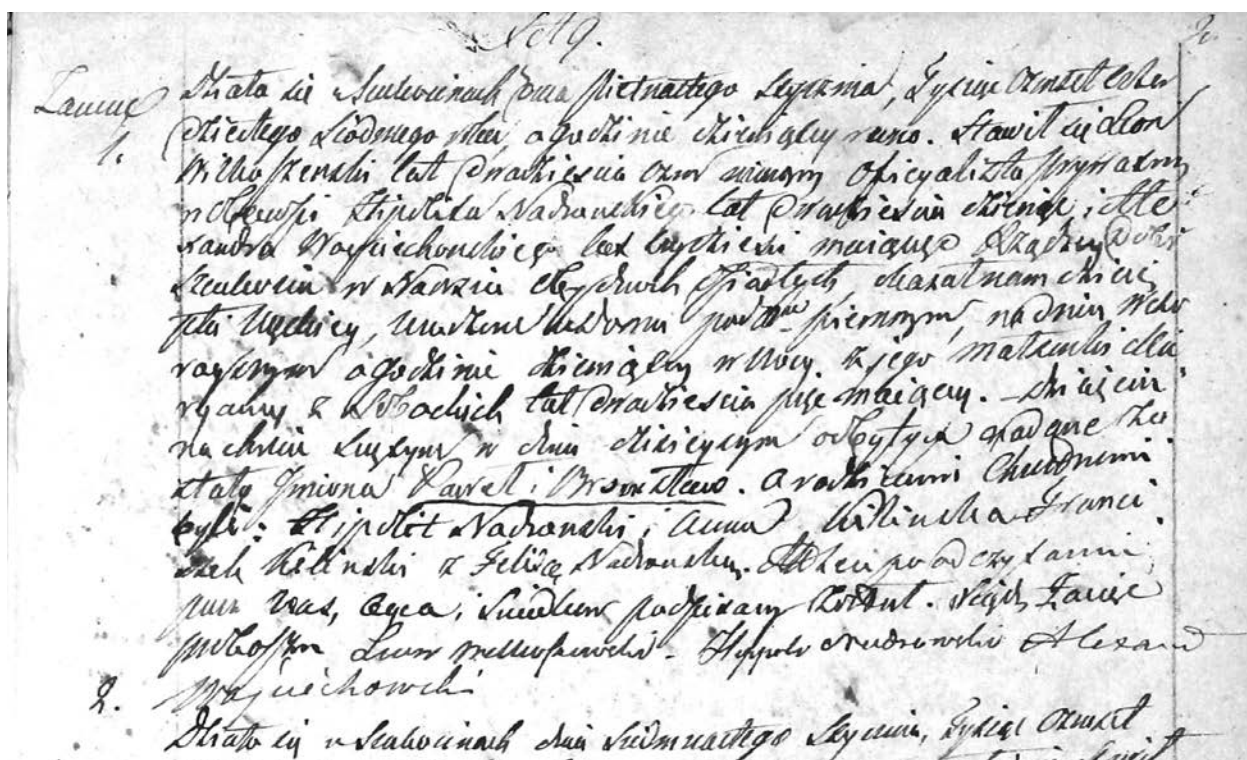
Przybyli z Warszawy fotografowie odebrali stosowne wykształcenie w zakładzie fotograficznym Meletiusza Dudkiewicza. Meletiusz Dutkiewicz (1836-1897) – fotograf, profesor nauk przyrodniczych, uczeń Ludwika Angerera z Wiednia. W 1865 r. osiadł w Warszawie i rozpoczął pracę w zakładzie Karola Beyera jako główny asystent i kierownik techniczny. Wraz z innym pracownikiem Beyera, baronem Ferdynandem Klochtem otworzył w 1866 r. samodzielny zakład fotograficzny w domu Józefa Grodzickiego (dziadka Józefa Grodzickiego, który wcześniej osierocony wychowywał się w Warszawie pod jego opieką. Tu zapewne pracował też, szkolącony z Grodzickim, Bronisław Wilkoszewski) przy Krakowskim Przedmieściu 7². Atelier odznaczało się wykwintnym urządzeniem i bogactwem rekwizytów stosowanych do fotografii pozowanej. W 1869 r. Kloch wystąpił ze spółki. Po kilku latach atelier zostało sprzedane malarzowi Aleksandrowi Kowalińskiemu, a następnie inżynierowi Zandrowiczowi.

Na samym początku informacje o zakładzie są iście sensacyjne. Jak pisała wówczas „Gazeta Kielecka”: „Dwie piękne niewiasty i kilku kielczan w ubiegły Piątek wykradziono... z wystawki fotograficznej przy ulicy Dużej. Kradzież ta spełnioną została wśród dnia białego, z uszczerbkiem świeżo otwartego zakładu p. p. Wilkoszewskiego i Grodzickiego, ponieważ amator cudzej własności wraz z fotografiami zeskałmował i samą wystawkę, pozbawiając tym sposobem zakład możliwości zaprezentowania publicznie swej pracy”³.

Ta sama gazeta kilka tygodni później odnotowuje w taki sposób początki atelier: „W świeżo utworzonej

² Janik M., Fotografia w guberniach kieleckiej i radomskiej w latach 1839-1918, w: Rocznik Muzeum Narodowego w Kielcach, Tom XV, Kraków 1989, s.96

³ „Gazeta Kielecka” (dalej GK), 1878, nr 88, s. 1



Akt urodzenia Bronisława Wilkoszewskiego, akta metrykalne Parafii Szczekociny, AP Kielce, sygn. 31 s. 2, a. 1.JPG

pracowni fotograficznej p. p. Wilkoszewskiego i Grodzickiego, oglądaliśmy starannie wykonaną kolekcję widoków pałacyku i wewnętrznych apartamentów, parku i okolicy Chrobrego, w pińczowskim. Od pewnego czasu zapanowała w naszym mieście fotografomania, zakład bowiem wzmiankowany w przeciągu dwóch

miesięcy wykończył 200 portretów przeważnie kielczan i jak wnosić można ku zadowoleniu swych klientów. Zdejmowali się tam, dla utworzenia następnie grup, komisarze włościańscy, urzędnicy poczty i rządu gubernialnego, jeźdźcy na koniach, myśliwi z trofeami, amatorzy kołowej jazdy na bryczkach, słowem obawiać się można o to tylko aby wszystkie te pamiątki nie posłużyły za prezenta noworoczne, wówczas bowiem na Gwiazdkę niktby nic więcej nie dostał oprócz fotografii⁴.

Po blisko dwa lata trwającej wspólnie pracy fotografowie rozdzielili się. W marcu 1881 r. w Kielcach pozostaje B. Wilkoszewski, a J. Grodzicki wyjeżdża do Radomia gdzie otwiera 11 marca 1881 r. doskonale prosperujący do 1920 r. zakład⁵. Jego fotografie wielokrotnie zostają nagradzane medalami na wystawach fotograficznych m.in. w Petersburgu w 1882 r. i Chicago 1894 r., jak również osobistym podarkiem od Jego Cesarskiej Mości. Fotografowanie było tylko jednym z zakresów i form działalności i jego pasji. W 1890 r. założył „Zakład Drukarski i Litograficzny” a w 1905 r. pierwsze w Radomiu stałe kino „Czary”.

Od początku swej samodzielnej działalności w Kielcach, czyli od 11 marca 1881 r., Wilkoszewski podejmuje aktywną praktykę fotograficzną na terenie całej guberni kieleckiej. I tak w czerwcu 1881 r. przebywa we Włoszczowie, oferując swe usługi w GK: „Dla Włoszczowy. Od 21 do 26 Czerwca otwarty będzie zakład fotograficzny pod firmą B. Wilkoszewski; o czym ma honor zawiadomić mieszkańców Włoszczowy i okolic. Przyjmuje wszelkie zamówienia na wszelkie roboty w zakresie fotografii wchodzące jako to: zdjęcia



Fotografia z Zakładu B. Wilkoszewskiego i J. Grodzickiego. Na fotografii Edmund Łukasiewicz. Fotografia wykonana w okresie 1878-1881.

⁴ GK 1878, nr 95 s. 1-2

⁵ AP Radom, KGR, sygn. 1011, s. 105



Winiety zakładu Wilkoszewskiego w Kielcach



osób, grupy składane, kopije ze starych portretów, fotografii, panotypów, dagerotypów; kopije mogą być powiększane i kolorowane olejno lub wodnemi farbami. Posiada aparat do zdejmowania, wewnątrz kościołów lub salonów, a zamówienia na takowe przyjmuje tu i w Kielcach, w zakładzie fotograficznym otwartym codziennie przy ulicy Dużej pod tą firmą⁶.

Później przebywał w Busku. „W Busku na sezon kąpielowy od dnia 1 Lipca jak i lat poprzednich otwarty będzie Zakład fotograficzny pod firmą B. Wilkoszewski. O czym ma honor zawiadomić gości kąpielowych i okolicznych obywateli. Niezależnie od tego, zakład pod tą firmą otwarty w Kielcach codziennie przy ulicy Dużej”⁷.

W tym czasie doszło do pierwszego bezkrwawego, medialnego i usługowego pojedynku fotografów w Busku. Właśnie w 1881 r. na sezon letni w kurorcie tym zakład swój zaplanował otworzyć też Józef Rizza fotograf z Lublina (który na swoich reklamach umieszczał informacje o swoim mieszczańskim i włoskim pochodzeniu). „Busko. Z dniem 20 czerwca r.b. otworzony zostanie na sezon kąpielowy renomowany zakład fotograficzny pod firmą Józefa Rizza. Główny kierunek zakładu powierzony p. Poziomkiewiczowi, zdolnemu fotografowi i retuszerowi z Warszawy. O czym mam zaszczyt zawiadomić Szanownych gości kąpielowych i okolicznych mieszkańców”⁸.

W latach 80-tych XIX w. z sennego miasteczka Busko zmieniało się w kurort w sezonie kąpielowym. Z wielu gubernialnych miejscowości zjeżdżali się tu bogaci, dobrze sytuowani mieszczaństwo, szlachta, przedsiębiorcy i kupcy, aby podratować nadszarpnięte zdrowie, zakosztować wypoczynku u wód. Gubernialne „Baden-Baden” ściągato

ludzi zajmujących się świadczeniem różnego rodzaju usług. Na sezon 1881 r. otworzono w Busku cukiernię i restaurację, a do wynajęcia oprócz kwater na letniska była także sala teatralna. W uzdrowskim parku przygrywała spacerowiczom orkiestra strażacka. Rozkwitały klomby i pełne kwiatów gazony. Atmosfera ogólnej sielankowej kanikuty towarzyszyła wspomnianemu wyżej konkurencyjnemu pojedynkowi dwóch przyjezdnych fotografów. Wilkoszewski prowadził pracownię sam w domu gdzie mieściła się cukiernia Bienkowskiego. Zdjęcia wykonywane były codziennie, bez względu na pogodę w zbudowanej specjalnie na ten cel oszklonej altance. Ślad po konkurentach zaginął. Pozostały jedynie fotografie wykonane w owym czasie. Do dziś cieszą

zatrzymanym na kliszy urokiem XIX stulecia⁹.

We wrześniu 1881 r. Wilkoszewski następująco ogłasza się w miejscowej gazecie: „Zakład fotograficzny pod firmą B. Wilkoszewski ma honor zawiadomić, że tylko do Nowego Roku, t. j. do 1 stycznia 1882 r. w Kielcach będzie otwarty. Osoby życzące fotografować się w tym zakładzie, raczą pospieszyć się z obstarunkami. Ulica Duża wprost Hotelu Europejskiego”¹⁰. [W roku 1830 rejent Kossowicz sprzedał nieruchomość zlokalizowaną przy ulicy Dużej, na odcinku Rynek – ul. Konstantego (obecnie Sienkiewicza) i ciągnącą się aż do ul. Wesolej, małżonkom Joannie i Janowi Lardellim. Lardelli, z pochodzenia Szwajcar osiedlony w Królestwie Polskim po wojnach napoleońskich, był cukiernikiem i w Kielcach otworzył kolejno cukiernię, hotel i rozpoczął budowę okazałego domu. Inwestycje zostały dokończone już po śmierci Jana Lardellego przez kolejnego męża Joanny – Michała Łęckiego. Hotel o nazwie Europejski posiadał w budynku frontowym 27 izb i blisko 20 w oficynach. W 1848 r. wzniesiono jeszcze tzw. Dom Zabaw lub Teatr Lardellich z salą teatralną na 400 osób. Po 1880 r. cała nieruchomość przeszła na własność rodziny radcy Kołtońskiego. Później (w końcu XIX w.) był własnością Wilczyńskich. W latach dwudziestych XX w. hotelem zarządzał Bolestaw Kołtoński.]

W początkach stycznia roku 1882 czytamy następujące informacje: „Zakład fotograficzny B. Wilkoszewski w Kielcach przeniesiony zostanie od 8-go Stycznia r.b. do Hotelu Europejskiego (ulica Duża) i prowadzony będzie nadal pod osobistym kierunkiem firmatora, o czym mając honor zawiadomić Szanowną Publiczność, poleca się nadal łaskawym względem”¹¹.

⁶ GK, 1881, nr 47, s. 4

⁷ GK, 1881, nr 48, 50, 54, s. 4

⁸ GK, 1881, nr 47, s. 4

⁹ Machnicki J., Pojedynek w kurorcie, w: Słowo Ludu, 13 VII 1988, nr 162

¹⁰ GK, 1882, nr 2, 3, 5, s. 4

¹¹ GK, 1882, nr 2, 3, 5, s. 4

Na przelocie lutego i marca fotograf ponownie informuje o swoim zakładzie: „Zakład fotograficzny B. Wilkoszewskiego w Kielcach przeniesiony do hotelu Europejskiego, otwarty został i przyjmuje wszelkie zamówienia w zakres fotografii wchodzące, od 10 rano do 5-ej po południu. O czym zawiadamiając osoby interesowane, ma honor polecić nowy format fotografii tak zwanych amerykańskich”¹².

W tym samym czasie Wilkoszewski rozszerza swoje działania biznesowe w Kielcach i otwiera zakład stolarski: „Ważne doniesienie. Z dniem 1 Grudnia r.b. w domu p. Jakubowskiej, przy ul. Leśnej, obok domu p. Hillera otwartym został w Kielcach ZAKŁAD STOLARSKI, który przyjmuje zamówienia na wszelkie roboty stolarskie, fabryczne lub meblowe, od najskromniejszych do najwykwintniejszych, fornirowane lub massiv, które podług świeżo sprowadzonych najgustowniejszych wzorów wykonywa, gwarantując dobroć roboty. Zakład przyjmuje również zamówienia na posadzki wszelkiego gatunku, które z drzewa na ten cel sprowadzonego wykonywa. Obstalunki przyjmują się w zakładzie fotograficznym pod firmą B. Wilkoszewski, lub w samym warsztacie obok domu p. Hillera. Tamże są do nabycia dwa stoły dębowe, zupełnie nowe, rozsuwane”¹³. Kilka tygodni później informuje: „Zakład wszelkich wyrobów stolarskich w Kielcach w domu Jakubowskiej obok Hillera, prowadzony pod kierunkiem J. Grabowskiego, posiada do sprzedania następujące przedmioty: biurko dębowe, 2 komody orzechowe bardzo ładne, stół dębowy jadalny rozsuwany, z 4-ma blatami, 4 szyfonierki mahoniowe, 6 krzesel jaworowych, najodpowiedniejszych do stołowego pokoju, etażerkę z czarnego drzewa na wykończeniu, 24 krzesel dębowych rzeźbionych, ozdobnych. Przedmioty w każdym czasie mogą być obejrzone. Wiadomość w fotografii B. Wilkoszewskiego. Hotel Europejski albo u Rządcy Hotelu Polskiego”¹⁴.

Po kilku miesiącach zamieszczone zostają kolejne ogłoszenia: „Zakład fotograficzny B. Wilkoszewskiego w Kielcach, przeniesiony do Hotelu Europejskiego, przyjmuje wszelkie zamówienia w zakres fotografii wchodzące. Przy tem ma honor zawiadomić Szanowną Publiczność, że na czas sezonu kąpielowego w Busku z dniem 1 Lipca otwiera swoją filię, tak jak i lat poprzednich. Po skończonym zaś sezonie ma zamiar odwiedzić kilka miast powiatowych”¹⁵.

„Zakład fotograficzny B. Wilkoszewskiego zawiadamia Sz. Publiczność, że z d. 12 b. m. otwartą została filija tego zakładu w osadzie BUSKO na sezon kąpielowy w domu p. Bienkowskiej; niezależnie od tego zakład pomieniony w Kielcach hotel Europejski (ulica Duża), bez przerwy funkcjonować będzie, przyjmując zamówienia na wszelkie roboty w zakres fotografii wchodzące”¹⁶.

¹² GK, 1882, nr 14, 15, 16, s. 4

¹³ GK, 1882, nr 2, 3, s. 4

¹⁴ GK, 1882, nr 14, 18, s. 4

¹⁵ GK, 1882, nr 47, s. 4

¹⁶ GK, 1882, nr 56, s. 4

Fotograf ponownie pojawia się w Busku na kolejny sezon uzdrowiskowy: „W BUSKU podczas sezonu kąpielowego, począwszy od dnia 8 Lipca do 1 Września r.b., otwarty będzie w domu gdzie cukiernia pana Bienkowskiego Zakład Fotograficzny B. Wilkoszewskiego. Zdjęcia uskutecznia codziennie bez względu na pogodę, w zbudowanej na ten cel oszklonej altance. Niezależnie od tego, zakład fotograficzny w Kielcach, (ulica Duża, hotel Europejski), otwarty codziennie od godz. 10 do 5 po południu”¹⁷.

We wrześniu i październiku 1883 r. Wilkoszewski pracuje w Stopnicy, Staszowie, Czarkowach i Pińczowie: „Fotograf B. Wilkoszewski z Kielc w końcu b. m. wyjeżdża z Buska do Stopnicy na dni kilka, następnie do Staszowa, Czarkowy i Pińczowa; daty szczegółowe będą ogłoszone. Przyjmuje wszelkie zamówienia w zakres fotografii wchodzące, a niezależnie od tego zakład w Kielcach otwarty codziennie”¹⁸.

„W PIŃCZOWIE B. Wilkoszewski fotograf z Kielc. Przyjmować będzie zdjęcia od dnia 10 Października r.b., o czym ma honor zawiadomić, nadmienając przytem, że w Kielcach zakład przy ulicy Dużej w hotelu Europejskim, otwarty codziennie od 9-ej rano do 5-ej po południu”¹⁹.

„Fotograf B. Wilkoszewski z Kielc czasowo przybyły do m. Pińczowa przyjmuje wszelkie zamówienia w zakres fotografii wchodzące. Pobyt swój przedłuża do d. 19 b. m., o czym ma honor zawiadomić. Zdjęcia wykonywają się w domu p. Czajkowskiego w Rynku”²⁰.

W czerwcu 1884 r. Wilkoszewski oprócz Buska przebywał dodatkowo w Staszowie i Kazimierzy Wielkiej. „W Staszowie Fotograf B. Wilkoszewski z Kielc wykonywać będzie zdjęcia fotograficzne bez względu na pogodę od dnia 8 do 20 czerwca r.b. o czym mam honor zawiadomić osoby interesowane. Niezależnie od tego w Kielcach zakład otwarty codziennie od 9 do 6 po południu”²¹.

„W Busku fotograf B. Wilkoszewski z Kielc ma zaszczyt zawiadomić Sz. Publiczność, że tak jak lat poprzednich Zakład otwarty będzie w Busku z końcem Czerwca r.b. pod jego firmą i osobistym kierunkiem w domu gdzie cukiernia p. Skorupkowej (dawniej Bienkowskiej) i przyjmować będzie wszelkie zamówienia w zakres fotografii wchodzące. Albumy widoków Buska, fotografowanych przez B. Wilkoszewskiego, są do nabycia u kasyjera Zakładu kąpielowego. W Kielcach Zakład fotograficzny otwarty codziennie od 9-ej do 6-ej po południu”²².

„Zawiadamiając Szanowną Publiczność, że z dniem 15 Lipca otworzyłem zakład fotograficzny w Busku, mam honor polecić się Jej łaskawym względom. B. Wilkoszewski”²³.

¹⁷ GK, 1883, nr 52, 54, 57, s. 4

¹⁸ GK, 1883, nr 67, 69, 70, s. 4

¹⁹ GK, 1883, nr 75, 76, 77, 78, s. 4

²⁰ GK, 1883, nr 81, 82, s. 4

²¹ GK, 1884, nr 42, 43, 44, s. 4

²² GK, 1884, nr 46, 48, s. 4

²³ GK, 1884, nr 59, s. 4

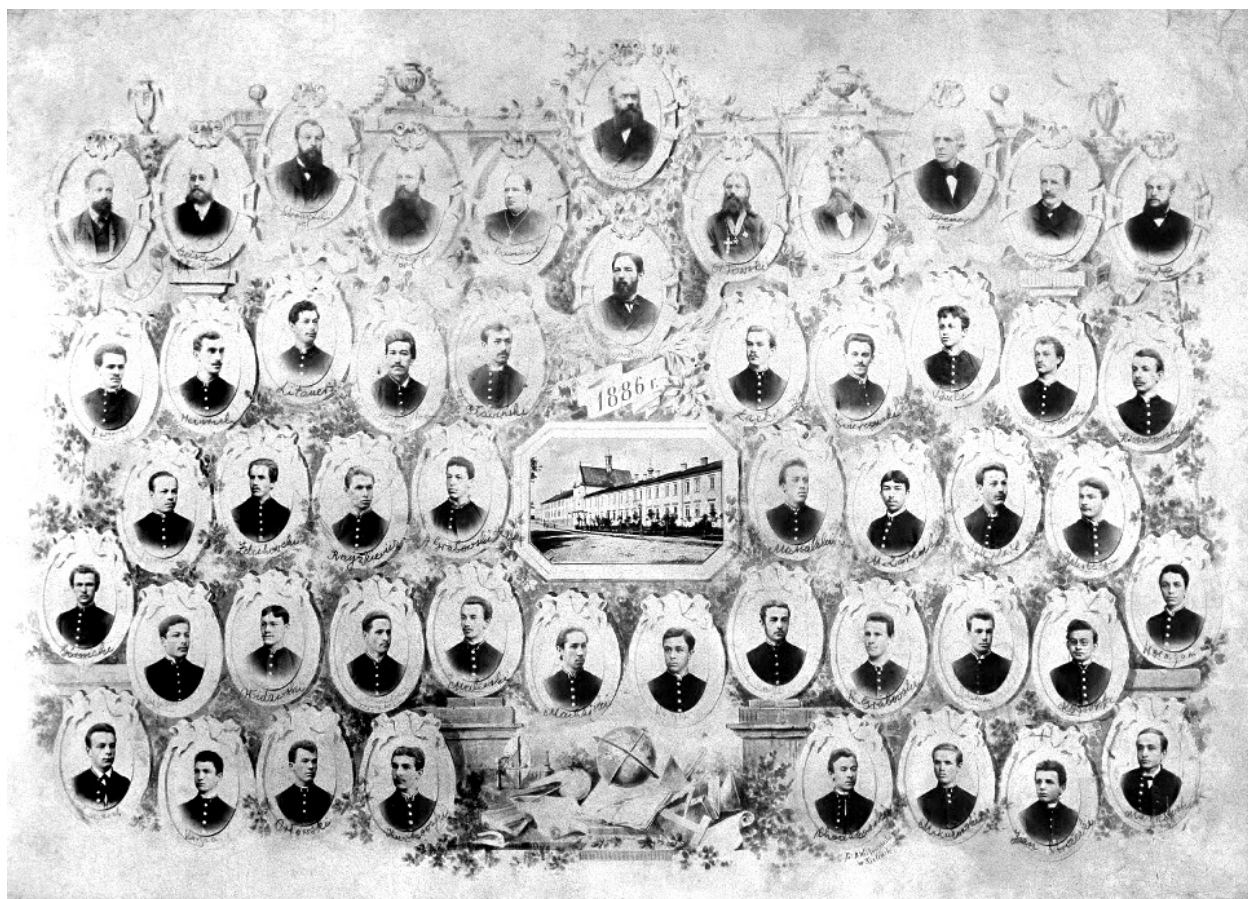


Tableau absolwentów kieleckiego gimnazjum z 1886 r. Ze zbiorów Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego w Kielcach.

„B. Wilkoszewski, fotograf z początkiem Września udaje się do Kazimierzy Wielkiej, i przyjmować będzie zamówienia w zakres fotografii wchodzące, przez dni siedem, t. j. od 1-go do 8 Września r.b., o czym ma honor zawiadomić okolicznych mieszkańców. W Kielcach zakład otwarty codziennie od godz. 9 rano do 5-ej po południu”²⁴.

W latach 1885 i 1886 fotograf działał bardzo aktywnie w Kielcach i terenie:

„W SZCZOKOCINACH. B. Wilkoszewski, fotograf z Kielc. Fotografować będzie od d. 12 Maja do 20 tegoż miesiąca r.b. przyjmować będzie wszelkie zamówienia w zakres fotografii wchodzących jako to: zdjęcia z osób, widoków, wnętrza salonów, kościołów, zwierzęta w ruchu będące. Zdjęcia wykonywa nowym sposobem momentalnym. Zamówienia wcześniej przyjmuje apteka w Szczokocinach. Niezależnie od tego w Kielcach zakład otwarty codziennie od 10 rano do 5 po południu. Ulica Duża, Hotel Europejski”²⁵.

„W SZCZOKOCINACH B. WILKOSZEWSKI FOTOGRAF z Kielc. Przedłuża swój pobyt do dnia 28 Maja r.b. o czym ma honor zawiadomić osoby interesowane”²⁶.

W początkach czerwca 1885 r. gości w Busku było wyjątkowo mało. Redaktor podaje liczbę zaledwie 240²⁷.

„W Busku z d. 16 Lipca otwarty będzie Zakład Fotograficzny B. Wilkoszewskiego z Kielc. Przyjmuje wszelkie zamówienia w zakres fotografii wchodzące. Koloryzuje olejno akwarellą i robi heliominiatury. Zdjęcia wykonywa sposobem nowym momentalnym, w oszklonej altanie. Niepogoda nie robi różnicy w zdjęciach. Widoki Ojcowa i innych miejscowości guberni kieleckiej nabywać można. W Kielcach zakład otwarty codziennie od g. 9-5 po poł., ul. Duża, hotel Europejski”²⁸.

„Fotograf B. Wilkoszewski. Mam zaszczyt zawiadomić, że wkrótce opuszczam Busko, osoby interesowane raczą pospieszyć z zamówieniami. Po wyjeździe z Buska udaję się do Pińczowa i Miechowa. O dniu przybycia do wymienionych miast zawiadomię osobnemi ogłoszeniami. W Kielcach (ulica Duża, Hotel Europejski) zakład otwarty codziennie od god. 9 rano do 5 po południu”²⁹.

„W Pińczowie B. Wilkoszewski fotograf z Kielc. Fotografować będzie od 24-go do 30-go Sierpnia r.b. o czym mam honor zawiadomić. Zdjęcia wykonywa się nowym sposobem momentalnym, bez względu na pogodę”³⁰.

²⁴ GK, 1884, nr 66, 67, 68, s. 4

²⁵ GK, 1885, nr 35, s. 4

²⁶ GK, 1885, nr 40, s. 4

²⁷ GK, 1885, nr 47, s. 1

²⁸ GK, 1885, nr 55, 58, s. 4

²⁹ GK, 1885, nr 65, 66, s. 4

³⁰ GK, 1885, nr 66, 67, s. 4

„W Jędrzejowie Fotograf B. Wilkoszewski fotografować będzie przez dni trzy t. j. od 28 do 31 b. m. o czym ma honor zawiadomić” – 26 maja 1886 r.³¹.

Wyjazdy na sezon letni do Buska i innych miejscowości guberni kieleckiej były praktykowane przez fotografa przez cały okres działalności zakładu³². Efektem sezonowych objazdów guberni są np. albumy: „Album Ojcowa”, „Album Szczekociński” i „Widoki Buska”. Ten ostatni, wydany w 1885 r., zawiera 9 kart o wymiarach 11x15 cm, z fotografiami na papierze albuminowym.

„Do sprzedania różne przybory stolarskie i 20 przeszło drzwi na karnes i obijanych kielsztosami. Wiadomość w zakładzie fotograficznym p. Wilkoszewskiego”³³.

Wartościowym i ciekawym przykładem jego twórczości jest tableau absolwentów kieleckiego gimnazjum z 1886 r. Jednym ze sportretowanych maturzystów jest Stefan Żeromski (tableau znajduje się w zbiorach Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego, oddziale Muzeum Narodowego w Kielcach).

W Muzeum tym zachował się jeszcze zespół kilkunastu fotografii uczniów ówczesnego gimnazjum, w tym, z dedykacjami dla Stefana Żeromskiego³⁴. Na podstawie *Dzienników* znamy zadłużenie młodego pisarza wobec Wilkoszewskiego oraz osobisty – intymny wpis dotyczący jednej z pierwszych miłostek Żeromskiego – Heleny Radziszewskiej: „Za parę dni będę miał jej fotografię. Była u Wilkoszewskiego w przeszłą sobotę. Zdjął ją w trzech pozach. Fryzjer uczesał tylko włosy fatalnie... A cóż już robić? Obiecała przystać mi na najlepszą z fotografii, jaką jej za dni dziewięć nadeszła...”³⁵ w tym czasie Żeromski w zakładzie Wilkoszewskiego wykonał przynajmniej dwa swoje znane portrety.

Wyraźnie już myśląc o przeniesieniu się do Łodzi Wilkoszewski wyjeżdża do Kijowa skąd przywozi nowy doskonały sprzęt fotograficzny: „B. Wilkoszewski Fotograf w Kielcach, Hotel Europejski, ulica Duża ma honor zawiadomić Szanowną Publiczność, że powróciwszy z Kijowa i zaopatrzywszy swój zakład w najnowszy systemu aparaty, osobiście nadal zakładem kierować będzie”³⁶.

„W SZCZOKOCINACH B. WILKOSZEWSKI fotograf z Kielc. Przyjmować będzie zamówienia w zakres fotografii wchodzące od d. 30 Września do 7 Października r.b. Zdjęcia wykonywa sposobem momentalnym”³⁷.

„Zakład fotograficzny pod firmą B. Wilkoszewski otworzył filię w Busku i poleca się nadal względem Szanownej Publiczności. Niezależnie od tego zakład fotograficzny w Kielcach, przyjmuje wszelkie zamówie-

nia w zakres fotografii wchodzące. B. Wilkoszewski”³⁸. Firma fotograficzna Bronisława Wilkoszewskiego przetrwała w Kielcach do września 1888 r., kiedy to od wyjeżdżającego ostatecznie do Łodzi właściciela zakład, wraz z filią w Busku, odkupuje Stanisław Rachalewski s. Bolestawa (burmistrza Zamościa), za kwotę 2650 rubli. Rachalewski 16 września 1888 r. uzyskuje urzędowe zezwolenie na jego otwarcie³⁹.

„Dziennik Łódzki” już 1 października 1887 r. donosi: „Fotografia. W willi „Trianon” p. Meyera w nowym pasażu otwarty zostanie niebawem nowy gabinet fotograficzny, z uwzględnieniem najnowszych ulepszeń fotografii. Lokal wynajął w tym celu p. Wilkoszewski, fotograf z Kielc, który krajoznawstwu przysłużył się zdjęciami pięknych widoków Ojcowa, następnie Buska i innych okolic kieleckich”⁴⁰.



Willi „Trianon” z widoczną reklamą zakładu fotograficznego. Fotografia B. Wilkoszewskiego

Lokalizacja w pasażu Meyera była jedną z najbardziej atrakcyjnych w Łodzi. Tak kilka lat później o tej części miasta pisał „Goniec Łódzki”: „Pasaż Meyera. Już nie po raz pierwszy zajmują nas ta ulica, będąca ozdobą środkowej dzielnicy miasta i ważną arterią komunikacyjną. A zajmuje nas ona ze względu na uparty konserwatyzm zarządu tej prywatnej posesji, która jednak została oddana do publicznego użytku nie tylko dobrowolnie ze względów utylitarnych, ale i obowiązkowo na mocy umowy z Towarzystwem Kredytowym Miejskiem. Towarzystwo udzielając pożyczkę na szereg nieruchomości, stanowiących pasaż, wymówiło sobie w trzecim dziale ksiąg hipotecznych następujące warunki: Ulica musi być oddana do swobodnego użytku publicznego, a więc być wybrukowaną, zaopatrzoną w chodniki i oświetloną. Otóż właściciel ulicy zobowiązań swoich nie spełnia, tamuje bowiem ruch kołowy barierami, otwierając bądź zamykając ją, a następnie oświetla ją źle funkcjonującymi lampami elektrycznymi tylko w pewnych godzinach, niestosując się do ogólnego przepisu oświetlenia miasta. (...)”⁴¹.

³¹ GK, 1886, nr 41, s. 4

³² Machnicki J., Kieleccy fotografowie ubiegłego stulecia, w: Słowo Ludu, 9 IX 1988, nr 1516

³³ GK, 1886, nr 43, 44, s. 4

³⁴ Erber Cz., Fotografia w Kielcach, Kielce 1979, s. 14

³⁵ Żeromski St., Dzienniki, Warszawa 1964, T. 2, s. 336 i s. 385

³⁶ GK, 1887, nr 55, 56, 57, 58, 61, 62, 65, 71, s. 4

³⁷ GK, 1887, nr 77, 78, s. 4

³⁸ GK, 1888, nr 55, 57, 58, 59, 60, s. 4

³⁹ AP Kielce, K.G.K., sygn. 892

⁴⁰ Dżł, 1887, nr 218, s. 3

⁴¹ GŁ 1900, nr 32, s. 2

Zakład Wilkoszewskiego był usytuowany na piętrze, a na parterze miał swoje mieszkanie ówczesny prezydent Łodzi Władysław Pieńkowski. Pod tym samym adresem zlokalizowana była redakcja „Dziennika Łódzkiego”. Był to wtedy najelegantszy i najlepiej wyposażony zakład fotograficzny w całym mieście (było ich wtedy w Łodzi tylko cztery). Pierwsze reklamy zakładu związane były z momentem otwarcia: „Fotografia. Nowy zakład artystyczno-fotograficzny B. Wilkoszewskiego otwarty zostanie w niedzielę w willi „Trianon” w pasażu Meyera. W swoim czasie wspominaliśmy o tym zakładzie; p. Wilkoszewski był dotychczas właścicielem zakładu fotograficznego w Kielcach i odznaczył się artystycznym wykonaniem fotografii malowniczych okolic tamtejszych”⁴².

„Otwarty został w dniu 19 lutego r.b., Nowy Zakład ARTYSTYCZNO FOTOGRAFICZNY B. Wilkoszewskiego w Łodzi, villa „TRIANON” Pasaż W-go Meyera, urządzone elegancko i podług najnowszych wymagań sztuki fotograficznej. Zdjęcia wykonywa nowym sposobem momentalnym. Wykończenie artystyczne. Portrety różne do naturalnej wielkości, koloruje olejno. Ceny umiarkowane i dostępne dla wszystkich”⁴³.

„Nowy Zakład ARTYSTYCZNO FOTOGRAFICZNY B. Wilkoszewskiego w Łodzi, villa „TRIANON” Pasaż W-go Meyera, urządzone elegancko i podług najnowszych wymagań sztuki fotograficznej. Zdjęcia wykonywa nowym sposobem momentalnym. Wykończenie artystyczne. Portrety różne do naturalnej wielkości, koloruje olejno. Ceny umiarkowane i dostępne dla wszystkich”⁴⁴.

W tym czasie brak informacji-reklam innych fotografów. Ta sama reklama, jak wyżej, pojawiała się w 1889 r.⁴⁵. Już 21 lutego miejscowy dziennik informował: „Nowy zakład fotograficzny p. Wilkoszewskiego, w pasażu Meyera, zwiedziliśmy w tych dniach. Znaleźliśmy urządzenie wytworne i aparaty najnowszego systemu do zdjęć rozmaitego rodzaju. Zwróciły uwagę naszą fotografie t. z. matowe, łudząco podobne do portretów kredowych. W dziedzinie fotografii zakład Wilkoszewskiego należy do pierwszorzędnych, artystycznych pracowni”⁴⁶.

W maju 1888 r. ten sam periodyk donosił: „Fotografie pamiątkowe. Z nowego zakładu artystyczno-fotograficznego p. B. Wilkoszewskiego wydane będą w tych dniach na widok publiczny zdjęcia fotograficzne uroczystego ceremoniału położenia kamienia węgielnego pod budowę nowego kościoła Wniebowzięcia N. P. Maryi w Łodzi. Będą to dwie



Fotografia z zakładu B. Wilkoszewskiego

fotografie, z których jedna przedstawi początek ceremonii poświęcenia kamienia węgielnego przed zejściem procesji do sklepień nowej budowli, a druga uwiidoczní akt zamurowania kamienia w sklepieniach pod wielkim otłarzem. Pan Wilkoszewski otrzymał już przeszło dwieście zamówień na te fotografie pamiątkowe.

Dowiadujemy się, że J.E. ksiądz Arcybiskup Wincenty Popiel fotografował się w zakładzie p. B. Wilkoszewskiego. Fotografie Arcypasterza będzie można nabywać w rzeczonym zakładzie oraz u ks. proboszcza Siemieńca. Część ceny tych fotografii przeznaczoną jest na budowę nowego kościoła”⁴⁷.

16 września tego roku odbyły się wyścigi cyklistów, podczas których Bronisław Wilkoszewski pełnił funkcję członka komisji porządkowej, wraz z dziewięcioma innymi osobami. 21 września podczas wyścigów cyklistów Wilkoszewski zrobił kilka fotografii. Stał się w ten sposób jednym z prekursorów polskiej fotografii sportowej. Używał do tego celu już w 1891 r. specjalnego aparatu – rewolwerowego, mieszczącego 12 klisz⁴⁸.

Pod koniec września fotograf wyjeżdża z Łodzi na ponad trzytygodniową wyprawę zawodowo-biznesową: „FOTOGRAF B. Wilkoszewski wyjechał do Paryża, Wiednia, Berlina i Drezna w interesie swego zawodu”⁴⁹. W tym czasie w Paryżu odbywała się Wystawa Światowa (nazwa nadawana cyklicznie

⁴² Dżł 1888, nr 39, s. 2

⁴³ Dżł 1888, nr 39, 40, 41, 42, 43, s. 4

⁴⁴ Dżł 1888, nr 49, 50, 51, 52, 53, 55, 57, 58, 59, 60, 61, 63, 64, 66, 72, 73, 74, 77, 80, 84, 86, 89, 95, 101, 102, 105, 110, 114, 115, 120, 123, 127, 140, 142, 147, 150, 153, 156, 160, 166, 169, 170, 171, 174, 178, 185, 190, 194, 196, 198, 199, 200, 211, 217, 219, 225, 227, 228, 230, 231, 234, 237, 238, 239, 246, 249, 252, 254, 255, 257, 263, 273, 276, s. 4; 90, 109, s. 3; 278, s. 5;

⁴⁵ Dżł 1889, nr 1, 7, 25, 31, 35, 37, 38, 39, 43, 47, 49, 56, 58, 61, 62, 64, 67, 69, 73, 76, 77, 78, 80, 89, 96, 107, 109, 110, 111, 114, 127, s. 4; 41, 51, s. 3; 40, s. 7; 97, s. 6;

⁴⁶ Dżł 1888, nr 52, s. 2

⁴⁷ Dżł 1888, nr 115, s. 2

⁴⁸ Dżł 1890, nr 213, s. 3

⁴⁹ Dżł 1888, nr 229, 230, s. 3

ekspozycjom prezentującym dorobek kulturalny, naukowy i techniczny krajów i narodów świata). Z okazji tej wystawy wzniesiono wieżę Eiffla.

„P. B. Wilkoszewski, fotograf tutejszy, wyjechał za granicę, w celu zbadania najnowszych postępów w sztuce fotograficznej i zastosowania takowych w zakładzie swoim”⁵⁰.

„B. Wilkoszewski fotograf powrócił z zagranicy”⁵¹.

Wilkoszewski w swym zakładzie kształcił młodych adeptów sztuki fotografii: „Zaraz potrzebny uczeń do pracowni pozłotniczej. Wiadomość w zakładzie fotograficznym B. Wilkoszewskiego”⁵².

Podobnie do działań biznesowych w Kielcach, też w Łodzi Wilkoszewski próbował poszerzyć swoje działalności o zadania daleko wykraczające poza fotografowanie. I tak w 1890 r. informuje o powstaniu nowej firmy pozłotniczej: „W domu pod Nr. 514aa Pasaż Meyera, gdzie fotografia B. Wilkoszewskiego w m. Łodzi, otwartą została pod firmą B. WILKOSZEWSKI & J. SCHUBERT PRACOWNIA robót pozłotniczych a mianowicie: ram złotych do luster i portretów, ram z listew wszelkiego gatunku, tak masą układanych jako i masiw drewnianych rzeźbionych, do fotografii, sztychów, oleodruków, chromolitografii i t.p. Przyjmują się zamówienia na złocenie kościołów, ołtarzy, sztukaterji, mebli, salonów. Firma gwarantuje za dobroć powierzonych robót; które pod względem gustu, elegancji i wykończenia w niczem nie ustąpią, tak warszawskim jako i zagranicznym. Roboty wykonywują się podług najświeższych modeli zagranicznych. CENY UMIARKOWANE. Pracownią kieruje długoletni i doświadczony współpracownik najpierwszych Warszawskich fabryk p. J. Schubert”⁵³.

Kolejna reklama została zamieszczona kilkadziesiąt razy w „Dzienniku Łódzkim” w roku 1891 i 1892: „Tanio! RAMY wszelkiego rodzaju wykonywa PRACOWNIA POZŁOTNICZA B. Wilkoszewski & J. Schubert. Pasaż Meyera gdzie fotografia B. Wilkoszewskiego”⁵⁴.

Fotograf w okresie łódzkim dał się poznać jako aktywny społecznik. Prócz działania w Łódzkim Towarzystwie Cyklistów, był współzałożycielem w 1892 r. Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia” i animatorem-organizatorem wystaw malarskich. „Lutnia. (...) Przed otrzymaniem oficjalnego za-twierdzenia stowarzyszenia ówcześni członkowie założyciele tworzyli chór amatorski. Zebrania i lekcje odbywały się na przemian, to w mieszkaniu p. Wilkoszewskiego, to w składzie fortepianów firmy Gebethner i Wolff. (...)”⁵⁵.

Już w 1891 r. (kiedy oczekiwano na zgodę władz carskich na utworzenia „Lutni”) pomagał w organizacji charytatywnego koncertu. Miejscowy dziennik tak opisywał ten fakt: „Koncert na korzyść chorych dzieci będących pod opieką tutejszej ochronki katolickiej, mający się odbyć dziś w teatrze Thalia, zainteresował ogół naszej publiczności, spodziewać się więc należy, że sala teatru będzie zapełnioną. Bilety nabywać można w zakładzie fotograficznym p. Wilkoszewskiego (pasaż Meyera) ...”⁵⁶ – koncert odbył się 14 czerwca.

„Niniejszym mam honor uprzejmie prosić W.W. Pa-nów, którzy przestanych 1m biletów na koncert, który odbył się w ubiegłą niedzielę, nie zwrócili – aby raczyli uiścić należność za takowe na moje ręce. Z szacunkiem B. Wilkoszewski, fotograf”⁵⁷.

Z kolei jego działania jako marszanda były iście nieoczekiwane i mocno przypadkowe. Nazwiska artystów których obrazy znalazły się w zakładzie Wilkoszewskiego i dzisiaj budzą respekt: „Sprzedaż obrazów. Donosiliśmy przed kilku dniami o projekcie urządzenia wystawy obrazów malarzy warszawskich w foyer teatru „Victoria”. Projekt ten opadł w ostatniej chwili i wszystkie przeznaczone na wystawę obrazy przeniesiono do zakładu fotograficznego p. B. Wilkoszewskiego, gdzie mogą być codziennie oglądane i nabywane, za gotówkę lub na raty. Są tam płótna: St. Wolskiego, Wł. Podkowińskiego, J. Rapackiego, Szpondrowskiego, Kostrzewskiego, Tracewskiego, Mucharskiego i innych, w ogólnej liczbie około dwudziestu. Dowiadujemy się, że p. B. Wilkoszewski zamierza wejść w stałą umowę z malarzami warszawskimi, celem rozpowszechnienia ich prac w Łodzi”⁵⁸.

„NOWOŚĆ. SPRZEDAŻ OBRAZÓW OLEJNYCH W ZAKŁADZIE FOTOGRAFICZNYM B. Wilkoszewskiego w Łodzi, pasaż Meyera. Oglądać można codziennie od 10-ej rano do 6-ej wieczorem. Można kupować na raty”⁵⁹.

Był też przewodnikiem i organizatorem wycieczek: „Wycieczka. Onegdaj o godzinie 1-ej z południu grono 20 członków tutejszej „Lutni” podążyło koleją na wycieczkę do Lisowic, gdzie stanęło około godziny 3-ej. Miejscem wypoczynku był cienisty i piękny las, położony za parkiem dworu Lisowickiego. Lutniści zabawili tam do godziny 10-ej wieczór, urozmaicając czas swego pobytu śpiewami. P. Wilkoszewski, przewodnik wycieczki, dopełnił kilku zdjęć niektórych widoków miejscowości aparatem rewolwerowym. O godzinie 10-ej wyruszone z Lisowic piechotą do Koluszek, skąd powrócono do Łodzi pociągiem, przychodzącym o godzinie 1-ej w nocy”⁶⁰.

Wilkoszewski sprawował funkcję sędziego i był fundatorem nagród: (13 września) „Wyścigi cyklistów. (...) Pierwszy zwycięzca w tym wyścigu otrzymał w nagrodę album, ofiarowany przez p. B. Wilko-

⁵⁰ Dżł 1889, nr 231, s. 2

⁵¹ Dżł 1889, nr 247, s. 4; 248, s. 3;

⁵² Dżł 1890, nr 213, 215, s. 4

⁵³ Dżł 1890, nr 228, 231, 243, s. 4

⁵⁴ Dżł 1891, nr 48, 49, 50, 55, 58, 60, 65, 70, 75, 79, 81, 86, 99, 102, 110, 113, 125, 141, 146, 151, 159, 164, 168, 186, 198, 203, 212, 214, 220, 222, 232, 237, 238, 243, 249, 257s. 4; 64, 114, 117, 123, 129, 152, s. 3; 158, 208, 258, s. 5; 202, 226, s. 6; w roku 1892 nr 2, 7, 12, 24, 35, 47, s. 4; 29, 41, s. 5; 59, s. 3;

⁵⁵ Gł 1899 r., nr 77, s. 2

⁵⁶ Dżł 1891, nr 129, s. 2

⁵⁷ Dżł 1891, nr 132, s. 3

⁵⁸ Dżł 1892, nr 165, s. 1

⁵⁹ Dżł 1892, nr 165, 167, 168, 169, 170, 172, s. 4; 174, s. 2;

⁶⁰ Dżł 1892, nr 186, s. 1

szewskiego i żeton towarzystwa, drugi zaś żeton. (...) Obowiązki sędziów sprawowali pp.: R. Gehlig, Ludwik Heinzel, B. Wilkoszewski i St. Lorenz⁶¹. – wyścigi odbyły się 13 września.

Jak wynika z kwerendy źródłowej najaktywniej jednak działał w „Lutni”: „U lutnistów. Onegdaj (22 października) wieczorem, w sali prób „Lutni” tutejszej, odbyło się ogólne zebranie, na które przybyło 40 członków rzeczywistych z liczby 61, mających prawo głosu. Przewodniczył obradom p. Konstanty Płachecki, prezes komitetu „Lutni”, który zaprosił do siebie na asesorów pp.: Leona Gajewicza i Br. Wilkoszewskiego. (...)”⁶².

(1 listopada) „Zarząd Towarzystwa Śpiewackiego „LUTNIA” ma zaszczyt powiadomić pp. członków tak czynnych jako i zwyczajnych, że składka i wpisowe mogą być wnoszone, zarówno na ręce kasyera towarzystwa w czasie prób odbywających się w sali Grand Hotelu (na dole) w poniedziałki i piątki od godz. 9 do 11 wieczorem, jako też na ręce gospodarza towarzystwa p. B. Wilkoszewskiego, przy ulicy Pasaż Meyera, codziennie od godziny 10 rano do 6 po południu. Wraz pokwitowaniem z odbioru składki i wpisowego pp. członkowie otrzymają marki, które we właściwym czasie będą mogli zamienić na bezpłatne bilety na koncert „Lutni”⁶³.

„Zarząd Towarzystwa Śpiewackiego „Lutnia” ma zaszczyt podać do wiadomości Sz. Członków, że począwszy od dnia 4 do 7 b. m. włącznie, posiadacze marek koncertowych będą mogli zamienić je u pana B. Wilkoszewskiego (Pasaż Meyera) na bilety wejściowe na KONCERT „LUTNI” w dniu 9 b. m. odbyć się mający. Niezgłoszenie się w terminie wyżej oznaczonym uważane będzie za zrzeczenie się prawa korzystania z bezpłatnego biletu. Zapisy na kolację składkową dla członków „Lutni”, ich rodzin i wprowadzonych gości, przyjmuje tylko do dnia 7 wieczorem włącznie gospodarz towarzystwa, pan Wilkoszewski, który udzieli także wszelkich w tym względzie informacji”⁶⁴.

Żona Wilkoszewskiego Maria była aktorką amatorką i solistką w „Lutni”. Zapewne kolejna informacja prasowa jest właśnie związana z działalnością żony: „Grupa alegoryczna, Panie amatorki, które składały żywy obraz w czasie przedstawienia środowego na rzecz towarzystwa dobroczynności w tej samej grupie fotografowały się w piątek w zakładzie p. Wilkoszewskiego. Grupa, składająca się z 12-stu pań i 2-ga dzieci, przedstawiać ma harmonię: rolnictwa, przemysłu, handlu, i sztuki z miłosierdziem. Fotografia grupy będzie miłą pamiątką dla nadobnych uczestniczek widowiska dobroczynnego”⁶⁵.

Po blisko trzech miesiącach działania galerii malarskiej u Wilkoszewskiego „Dziennik Łódzki informuje:

„Z naszego salonu artystycznego. Jak zaznaczaliśmy w swoim czasie, usiłowania artystów warszawskich, kilkakrotnie podejmowane, celem stworzenia stałej lub przynajmniej prowizorycznej wystawy obrazów, zawsze udaremniały trudne warunki miejscowe, które też wszystkie projekty w tym względzie w niwecz obróciły. Skończyło się na tem, że ostatnią partycję obrazów, przywiezionych do Łodzi z zamiarem wystawienia za opłatą, przygarnął do swego atelier fotograficznego p. Bronisław Wilkoszewski. Pragnął on stworzyć rodzaj agencji artystycznej na bruku łódzkim, biorąc jedne obrazy w komis, a inne nabywając na własne ryzyko. Z kilkudziesięciu jednak płócien wystawionych i dostępnych, dla każdego, kto chciałby je zobaczyć p. B. W. sprzedał dotąd, w ciągu kilku miesięcy, zaledwie parę, co dowodzi, że w dziedzinie sztuki malarskiej nie osiągnęliśmy nawet tego zaimitowania, jakie cechuje łódzian do sztuki teatralnej. A jednak wcale ładne rzeczy oglądamy u p. Wilkoszewskiego np. krajobrazy: zimowy i letni Jasińskiego, wdzięczny obrazek, zatytułowany „O wschodzie” (robotnicy spieszący do fabryki do dnia) i kilka innych płócien rodzajowych Rapackiego, akwarelki Wolskiego, obrazki humorystyczne Tracewskiego i Podkowińskiego, pejzaże Popowskiego i t. d. Nad wszystkimi jednak górują pomysłem i wykonaniem obrazy Sztencła: „Król Lear” i „Kwiaciarka”. Nie zapomniat p. W. zaopatrzyć swego miniaturowego „salonu” w okazy sztuki stosowanej do przemysłu. Przedstawicielką tego rodzaju jest tu p. Bronisława Poświkowa, której imitacja sporego gobelinu (malowanie na specjalnym płótnie), wyobrażającego scenę mitologiczną z zabaw Junony – stanowi dzieło bardzo interesujące i każdemu do smaku przypadające. (...)”⁶⁶.

Kolejne informacje dotyczące społecznej pracy Wilkoszewskiego informują o sprawowanych przez niego ważnych funkcjach: „U lutnistów. Onegdaj w sali „Grandhotelu” odbyło się nadzwyczajne ogólne zebranie członków towarzystwa „Lutnia”, celem wyboru wiceprezesa i przyjęcia nowych członków. Na zebranie przybyło 64 członków czynnych i około 20 członków zwyczajnych. Po odbytej zwykłej lekcji śpiewu chóralnego przystąpiono do porządku dziennego zebrania. Miejsce przewodniczącego obradom zajął p. Konstanty Płachecki, prezes towarzystwa, który na asesorów zaprosił pp.: Gustawa Sobolewskiego i Artura Śliwińskiego, obu członków zwyczajnych „Lutni”. Jako trzymający pióro zasiadł p. Władysław Sudra, sekretarz komitetu, a nadto przy stole prezydialnym zajęli miejsca pp.: Stanisław Niedzielski, dyrektor artystyczny. Bron. Wilkoszewski, gospodarz i Magnuski kasyer. Sekretarz p. Sudra odczytał przede wszystkim protokół z poprzedniego zebrania i regulamin towarzystwa, poczem przystąpiono do wyborów wiceprezesa. Na kandydatów p. Płachecki zaproponował z pomiędzy członków czynnych pp.: Br. Wilkoszewskiego, Wł. Sudrę i Augusta

⁶¹ Dżł 1892, nr 203, s. 2

⁶² Dżł 1892, nr 237, s. 2

⁶³ Dżł 1892, nr 244, 245, s. 4

⁶⁴ Dżł 1892, nr 246, 248, 249, s. 4

⁶⁵ Dżł 1892, nr 271, s. 3

⁶⁶ Dżł 1892, nr 272, s. 2



Fotografie z zakładu B. Wilkoszewskiego z lat 1894-1895 – fotografie firmowane przez Józefa Grodzickiego



Raubala. Po obliczeniu kartek wyborczych okazało się, że największą liczbę głosów, bo 27 otrzymał p. Sudra; z reszty kandydatów p. B. Wilkoszewski otrzymał 21 głosów, p. Gajewicz, który nie należy do członków czynnych, otrzymał 13 głosów, a pozostałe trzy głosy dostały się trzem innym kandydatom. (...)”⁶⁷.

Wiemy też, że Wilkoszewski był skarbnikiem-kasjerem w „Lutni” w ciągu roku 1897⁶⁸. 1 lipca 1898 r. odbyło się Ogólne Zgromadzenie Członków Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia” podczas, którego Bronisław Wilkoszewski, jako dotychczasowy kasjer, przedstawił sprawozdanie finansowe za rok poprzedni. Później Wilkoszewski został ponownie wybrany na kasjera na kolejną kadencję⁶⁹.

W 1894 r. w niewyjaśnionych okolicznościach Wilkoszewski znalazł się w zasięgu zainteresowań carskiej policji politycznej – Ochrany – wskutek czego na jakiś czas formalnie musiał zaprzestać działalności zawodowej. Formalnie, bo tutaj z pomocą posłużył mu dawny wspólnik z Kielc Józef Grodzicki i przez okres od kwietnia 1894 r. do połowy 1895 r. Wilkoszewski prowadził zakład pod firmą „J. Grodzicki dawniej B. Wilkoszewski”. Wszystko wskazuje na to, że przyczyną represji mogła być działalność Wilkoszewskiego o charakterze patriotycznym w zarządzie Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia”, grupującego ludność polską i wykonującą, w dużym stopniu, repertuar narodowy i praca w Towarzystwie Cyklistów.

11 kwietnia 1894 r. kancelaria rządu gubernialnego w Piotrkowie Trybunalskim zawiadomiła policmajstra m. Łodzi, że nie widzi przeszkód, aby były wykonywane zdjęcia z winietami dotychczas stosowanymi przez firmę B. Wilkoszewskiego, na których będzie umiesz-

czany nad jego nazwiskiem napis stempekki tuszowym „J. Grodzicki dawniej B. Wilkoszewski w Łodzi” a później z winietką z drukowanym napisem: „J. Grodzicki, dawniej B. Wilkoszewski w Łodzi. Willa Trianon Pasaż Meyera. Zakład fotograficzny”.

Jeszcze w 1896 r. władze carskie prowadziły przeciwko Wilkoszewskiemu śledztwo w związku z rozpowszechnianiem w jego zakładzie rycin z napisem „Polonia” i „Konstytucja 3-go Maja”.

Kolejne informacje o działaniach fotografa w zakresie zawodowym znajdujemy w łódzkim dzienniku „Rozwój” z 18 stycznia 1898 r.:

„ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY „Murillo”, Nowy Rynek Nr 2, gdzie apteka. Ceny niskie: 12 biletów

4 ruble, 12 gabinetów 8 rubli. Nauczycielom, nauczycielkom uczniom i uczennicom rabat”⁷⁰. „Fotografia B. Wilkoszewskiego PASAŻ MAYERA Nr 5, Filia „Murillo” Nowy-Rynek 2, gdzie Apteka p. Leinwebera poleca na nadchodzącą gwiazdkę: PORTRETY zwyczajne i kolorowe olejne, akwarelę lub pastelami. Albumy widoków w Łodzi – Karty pocztowe z widokami Łodzi i Warszawy można nabywać u wydawcy i w znaczniejszych księgarniach i składach materyatów piśmiennych. Portrety na raty”⁷¹.

„Fotografia B. Wilkoszewskiego, PASAŻ MAYERA Nr 5, FILIA »MURILLO« NOWY-RYNEK 2, gdzie Apteka p. Leinwebera poleca: Portrety zwyczajne i kolorowe olejne, akwarelę lub pastelami. Albumy widoków w Łodzi. Karty pocztowe z widokami Łodzi i Warszawy można nabywać u wydawcy i w znaczniejszych księgarniach i składach materyatów piśmiennych. Portrety na raty. Ceny przystępne”⁷².

W 1896 r. Wilkoszewski wydał album poświęcony Łodzi: „Widoki Łodzi. Uchodźzimy w oczach świata za miasto, no jedno z... no, najlepszy w całym słowa znaczeniu, gdy jednak chodzi o to, aby w Łodzi dowiedzieć się, jak Łódź wygląda na obrazku, aby, wyjechawszy ztąd zabrać z sobą album łódzki, trudności piętrzą się. Mamy wprawdzie ozdobnie wydany album staraniem i nakładem B. Wilkoszewskiego, niełatwo jednak dotrzeć do niego, nie spotyka się Łodzi malowanej tak czysto, tak wszędzie, jak każde inne miasto zagraniczne bodaj. A przecież ten i ów,

⁷⁰ „Rozwój” (dalej R) 1898, nr 24, 173, s. 8; 185, s. 7;

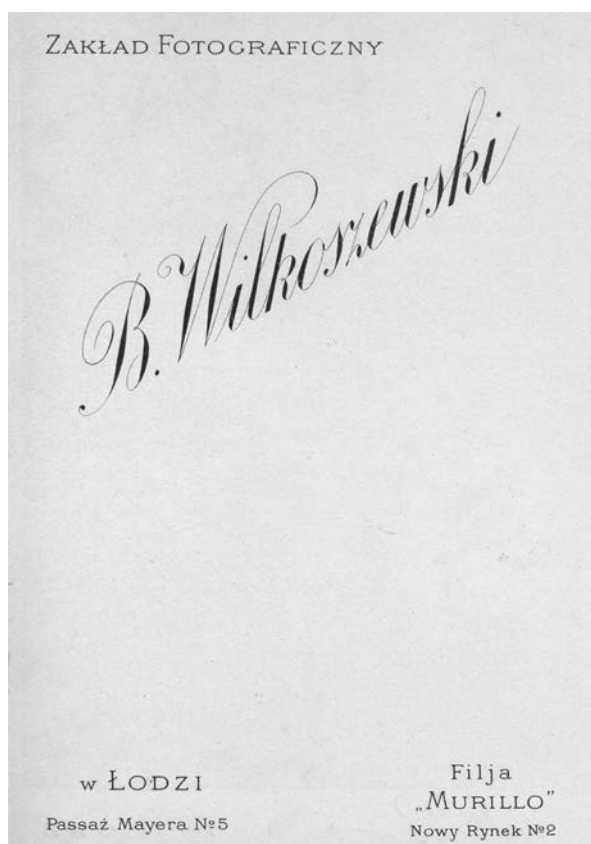
⁷¹ R 1898, nr 276, s. 12; 277, s. 8; 288, 294, s. 6;

⁷² R 1899, nr 16, s. 8; 17, s. 7; 18, s. 7; 19, s. 7; 21, s. 7; 22, s. 7; 23, s. 6; 26, s. 7; 27, s. 7; 36, s. 8; 37, s. 8; 39, s. 8; 45, s. 7; 51, s. 8; 57, s. 5; 63, s. 7; 74, s. 6; 76, s. 7; 77, s. 7; 85, s. 7; 91, s. 7; 103, s. 7; 107, s. 6; 108, s. 11; 113, s. 8; 118, s. 8; 129, s. 8; 135, s. 7; 141, s. 7; 142, s. 10; w roku 1900 nr 9, 15, 21, 32, 44, s. 8; nr 13, 17, 18, 25, 29, 30, 38, 40, 41, s. 7;

⁶⁷ Dżł 1892, nr 282, s. 2

⁶⁸ Gł 1898 r., nr 13, s. 1

⁶⁹ R 1898, nr 143, s. 2



Tylna strona fotografii – reklamująca oba zakłady Wilkoszewskiego

będący w ustawicznych stosunkach z naszym miastem, mający tu krewnych lub znajomych, może być ciekawy, jak się przedstawia ten warsztat jego pracy. Uwagi te nasunęły się nam na urządzoną świeżo wystawie. Jest tam katalog, są objaśnienia, ale ten kto wyjdzie z tej galerii, nie nabędzie Łodzi, która zebrała tę śliczną kolekcję. Popularyzujemy się nieco, myślimy trochę o sobie, my z miasta... najlepszego!⁷³. Kolejny album ukazujący Łódź, Zgierz i Pabianice pojawia się w 1899 r.

W 1898 r. roku fotograf rozpoczyna wydawanie kart pocztowych. W latach 1898–1901 wydał pocztówki z widokami: Łodzi, Warszawy, Kielc, Buska i Pińczowa. „Pan Wilkoszewski, fotograf, przygotował kartki korespondencyjne z widokami Łodzi. Widoczki wykonane są na niebieskim twardym papierze sposobem



Karta pocztowa z serii ukazującej widoki Łodzi – z 1898 r.

światło-drukowym i przedstawiają Łódź w czasie nocy Księżycowych. Całość wywiera bardzo efektowne wrażenie, i jest zupełnie estetycznie wykończoną⁷⁴.

„Kartki pocztowe. P. Bronisław Wilkoszewski wykonał w zakładzie swoim dwadzieścia widoków m. Warszawy, które umieścił na kartach pocztowych. Pierwsza seryja tych kart, bardzo estetycznie wykonanych, znajduje się już w handlu⁷⁵.



Karta pocztowa z serii ukazującej widoki Warszawy z 1898 r.

Zapewne do ciekawego spotkania doszło w dniach 22 i 23 sierpnia 1898 r. na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Kielcach, gdzie Stanisław Rachalewski [który jak wiemy odkupił zakład w Kielcach od Wilkoszewskiego] otrzymał brązowy medal, z wizerunkiem cara Mikołaja II (który odtąd umieszcza na ozdobnych winietach swych fotografii), w „Dziale maszyn rolniczych – za fabrykację wyrobów ręcznych i przemysłu domowego”. W tej kategorii przyznano jeden list uznania, medal srebrny i 30 rubli nagrody oraz trzy medale brązowe: „Adamowi Kubickiemu z Kielc za wyroby ślusarskie (ze szczególnym uznaniem, Rachalewskiemu z Kielc za fotografię, Lebedzkiemu z Kielc za wyroby blacharskie. 4 Listy pochwalne”⁷⁶. W tych dniach na koncert do Kielc wraz z „Lutnią” przyjechali Wilkoszewscy. Nacieszywszy oczy cudną panoramą, która rozciągała się od samego wschodu słońca z okien naszego pociągu, stanęliśmy na dworcu kieleckim o godz. 8 i pół z rana. Powitała nas delegacja straży ogniowej ochotniczej z p. Koczanowiczem na czele, który całą naszą gromadę niezwłocznie poprowadził do lokalu, wybranego na obozowisko lutnistów. Pomimo wczesnej pory zastaliśmy w mieście ruch wielki, który sprawiali głównie osobniki o twarzach ogorzałych, pieszo lub pojazdami. Niejednokrotnie przemknął przed nami w barwnym stroju krakowiak, radując serce, gdyż wielu z nas ubiór ten znało tylko ze sceny. Wszelako srebrzyste i złociste kierezye, brzęczące pasy i czerwone rogatki widzieliśmy przeważnie na koźłach powozów i bryczek., nader

⁷⁴ R 1898, nr 43, s. 3

⁷⁵ GŁ 1898, nr 53, s. 2

⁷⁶ „Gazeta Kielecka”, 1898, nr 70, s. 2

⁷³ GŁ 1898, nr 25, s. 2

rzadko spotykając to wszystko u przechodniów. Dowiedzieliśmy się ze smutkiem, że lud w okolicy Kielc zrzuca strój sobie właściwy, przekładając nad tradycyjny krakowski – ubiór według mody francuskiej skrojony. Ziemiaństwo jedynie stara się ów piękny strój zachować, obowiązując furmanów swoich do noszenia go stale. A ślicznie wygląda ów ubiór krakowski, rozweselający oko, mieniący się w słońcu!

Dziwiąc się nad zmianą gustu wśród włościan, dotarliśmy do miejsca na wypoczynek dla nas przeznaczonego przy ulicy Leonarda. Był to lokal szkolny, z którego usunięto ławki, katedry i tablice, a natomiast zastawiono go stołami, umywalniami, pościelą walizkami itd. Herbata, wódka i przekąska czekały już na nas, to też po nocy nieprzespanej, jaka spędziliśmy w podróży, wszystkie prowianty zniknęły szybko. O wypoczynku nikt nie myślał, wszyscy, posiliwszy się, zapragnęliśmy zwiedzić miasto. Adwokat Koczanowicz, powiódł lutnistów na wystawę.

Ze specjalnej korespondencji „Gońca” czytelnicy wiedzą, jak się zaprezentowała pod względem ekonomicznym gubernia kielecka; my przyjrzeliliśmy się z bliska okazom wytwórstwa tej części bujnej ziemi krakowskiej, a jakkolwiek tylko lutniści z ciekawością oglądaliśmy dobór ziemioptodów, rezultaty hodowli bydła, kulturę przemysłu górniczego i wiele innych rzeczy, z czego powzięliśmy ogólny wniosek, że ziemia to bogata, z przyszłością wielką, a chleba nie powinno tam braknąć nikomu. Widać to po mieszkańcach, których oblicza wesote, rumiane, pełne i zdrowe – urągały naszym wybladłym, anemicznym twarzom. Na wystawie spotykaliśmy głównie przedstawicieli ziemiaństwa, które, zjehawszy licznie, od rana do wieczora spędzało czas na spacerach wśród pawilonów w cienistym parku kieleckim. Niebo zachmurzone budziło w nas obawę, czy nie zamało wetchniemy w siebie tego czystego, zdrowego powietrza, którego w Łodzi takniemy, a które w Kielcach nie stanowi nawet przedmiotu życzeń; świeże górskie powietrze, nasiąknięte ozonem lasów iglastych wokół, z każdym powiewem wiatru dezynfekuje dawny ogród biskupi, pozwalając pierśom oddychać całą pełnią płuc. Wszelako obawa nasza była płonna, niebo okazało się taskawe i przez cały dzień sobotni chwilę tylko po południu drobny deszczyk zrosił naszą gromadkę.

Przyjrawszy się wystawie, ładnym kielczankom, hożym krakowiakom, których przy pawilonach wystawowych dość licznie spotykaliśmy; wystuchawszy doskonałych popisów muzycznych orkiestr włościańskich w strojach ludowych, zwłaszcza kapeli ze Skatły, zgromadziliśmy się na hasło, oczywiście..., przed restauracją. Ztąd powiódł nas p. Koczanowicz, do hotelu Polskiego, gdzie miał czekać na nas obiad. Okazało się, że opóźnił posiłek, co spowodowało małe intermezzo, lecz wbrew naszej właściwości: polak, jak głodny to zły – wesote. Ależ bo jakie inne miało

być usposobienie po tylu przyjemnych wrażeniach, po serdeczności z jaką nas gospodarze – strażacy przyjmowali!

Kawa czarna w cukierni Viewiegera w Rynku i hajże na Karczówkę! Wybraliśmy się piechotą w gronie około 30 lutnistów, a dostawszy się na górę, której wierzchołek zdobi klasztor OO. Reformatów, już tylko z jednym zakonnikiem, obejrzeliśmy mury, korytarze klasztorne i świątynię, która wnętrzem swoim przypomina kościół Kamedułów na Bielanach pod Warszawą. Zarówno świątynia, jak wszystkie zabudowania utrzymane są w dobrym stanie, a tysiące nazwisk, na murach przez zwiedzających wyryte, budzą niejedno wspomnienie. Widok z Karczówki przepiękny: u stóp klasztoru las sosnowy ciągnie się długim pasmem z jednej strony, a z drugiej wije się szosa, ocienioną aleją ku Kielcom, które jak na dłoni widać tonące w ogrodach i różowiejące dachami z czerwonej blachy. Wieżycę świątyni rysują się na tle wzgórz i pagórków. Ztąd widać górę świętej Katarzyny i wierzchołek świętokrzyski, ale z powodu mgły dostrzec tylko mogliśmy ciemne, duże plamy trójkątne. Uroczą miejscowość, poezja natury, odwieczne mury nie mogły nas usposobić do czego innego, jak do marzeń, które zakończyliśmy pieśnią „Hej te góry”, a była ona treścią całkiem odpowiednia do chwili...

Wszystko jednak ma swój koniec – zeszliśmy z Karczówki, a poezja ustąpiła zupełnie prozie na widok... mleczarni. Czterdziestu nas wtargnęło do tego przybytku ku niemałej sensacji właścicieli, którzy nieprzygotowani ledwie mogli nadążyć za potrzebami naszych apetytów. Po posiłku znowu huknęła pieśń za pieśnią, a weseli wracaliśmy do miasta, gdzie niezmordowany p. Koczanowicz, pozwoliwszy zaledwie odetchnąć, zabrał nas na kolację do restauracji wystawowej. Tam na „górcę” spędziliśmy czas przy biesiadzie do godz. 11-ej, podejmowani gościnnie przez gospodarzy; oczywiście bez śpiewów się nie obyło, więc mazur, więc krakowiak, więc smutna lub tęskna piosenka rozbrzmiewały po Sali biesiadnej. P. Raubał, ze względu na zmęczenie lutnistów, spowodowane niewyspaniem, podróżą i wycieczkami, podziękowawszy za gościnę, wezwał do udania się na spoczynek, zapowiadając lutnistom na rano niedzielny nabożeństwo w kościele św. Wojciecha. Spaliśmy pokotem na stómie, którą zestano w przeznaczonym dla nas lokalu, a ze snu smacznego zbudzono nas o wpół do 7-ej nazajutrz. Lutniści udali się do kościoła, gdzie na chórze podczas uroczystej wotywy zanosiliśmy pienia do Pana Zastępów. Solo śpiewała p. Wilkoszewska i p. Dworzaczek.

Z kościoła udaliśmy się za przewodnikami na rynek, gdzie wsiadłszy do tuzina dorożek, podążyliśmy corso do kieleckiej fabryki wyrobów marmurowych. Obejrawszy fabrykację płyt, szlifiernie marmurów, udaliśmy się na b. zamek biskupi, obok katedry. Oprawdano nas po gmachu i szczegółowo objaśniano.

Na zawsze pozostanie nam w pamięci wspaniały ten gmach, ze wszystkimi jego ozdobami i ornamentami. Dawniej zamieszkały przez biskupów krakowskich, dziś przeznaczony na biura rządu gubernialnego. Wiele pamiątek, utrzymanych w dawnej postaci, budziło w nas żywe zajęcie. Zwłaszcza sala portretowa, w której al fresco znajdują się podobizny biskupów od założenia stolicy krakowskiej, aż do r. 1858 z objaśnieniami biograficznymi, co do każdej postaci sportretowanej, ze starożytnymi rzeźbami na suficie – czyni głębokie wrażenie. Zachowano też a bardzo dobrym stanie obraz olejny na suficie, w jednym z bocznych pokoi, wyobrażający sąd Zygmunta III na Arianami.

Ztamtąd udaliśmy się w dorożkach do Kadzielni, jednego z większych wapienników w gub. Kieleckiej, po którego zwiedzeniu podążyliśmy do Białogonu, o sześć wiorst oddalonego id miasta. Tu oglądaliśmy rządowy zakład odlewów żelaznych, poruszany motorem wodnym; miejscowość bardzo ładna, ze względu na położenie obok prześlicznej grupy pagórków.

Powróciliśmy po wybornej szosie i wygodnymi prokonkami o godz. 1-ej wszyscy zjechaliśmy przed park wystawowy. Przypuszczam, że przez pośpiech nasz musieliśmy kupić bilety wejściowe. Mieliśmy zaraz iść do obiadu, lecz do przygotowanych dla nas stołów na werandzie restauracyjnej wtargnęła publiczność, zwiedzająca wystawę i obiad nam... zjadła. Organizatorzy wszakże koncertu zarządzili biesiadę w salce na „górze”, co wywołało pewne opóźnienie. Wynagrodziliśmy to sobie oglądaniem... mniszki. Jest to owad, niszczący lasy w kieleckim, gorzej niż najbogatszy handlarz drzewny. Na pozór niewinny owad ten zniszczył całe poręby i niszczy dalej, bo mnoży się w niestęchanie szybki sposób. Całą historię powstawania mniszki i jej vegetacji poznaliśmy, dzięki objaśnieniom jednego ze specjalistów – agronomów.

– Czas na obiad! Prosimy! – usłyszeliśmy z kilku ust gospodarzy.

Z apetytem zjedliśmy barszcz, pieczone, kurczęta, kuropatwy i rozmaite specjały, obficie roznoszone, zakrapiając wybornym piwem i doskonałym winem. Posypały się toasty, wiwaty, pieśń znowu zabrzmiała, a p. Raubał wręczył p. Halikowi, prezesowi straży ogniowej, rub. 100, zebrane wśród lutnistów. Po dziękowaniu, mowom i objawom serdeczności nie byłoby końca, gdyby nie pora na przygotowanie się do występu na estradzie.

Punkt o 7-ej wieczorem zebraliśmy się w teatrze „Ludwika”. Publiczność zaczęta się też gromadzić, u wejścia dwie urodziwe panie zajęły się sprzedażą programów. Wkrótce całe audytorium wypełniło się słuchaczami od dołu do góry, ani jedno miejsce nie było pustem, a publiczność odświeżona i nastrojona, prawie cała przybrana galowo, z widocznym skupieniem czekała na koncert. Kurtyna uniosła się i z pięćdziesięciu piersi śpiewaków zagrzmiato: „Hej

bracia śpiewacy do pieśni do pracy”. Rozpoczął się koncert. „Lutnia” po odśpiewaniu trzech pierwszych numerów zdobyła sobie sympatię całej sali, oklaski zmusiły do nadprogramowych dodatków. Nie starczyło dwunastu numerów, trzeba było dorzucić jeszcze kilkanaście, a gdyby nie to, że lutniści musieli odjechać o godz. 10 i pół wieczorem, koncert przedłużyłby się znacznie.

Po odśpiewaniu „Barkaroli” spotkała dyrektora „Lutni” p. Dworzaczka owacya: wywołano go kilkakrotnie jako autora, a „Lutni” doręczono lirę z szarfami, prawdziwy majstersztyk sztuki ogrodniczej. Owacyjnie też dziękowano za współudział w koncercie dwom łódziankom: pani Wilkoszewskiej (śpiew) i pani Robowskiej (fortepian). Obu doręczono po pięknym bukietach.

Żegnano „Lutnię” życzeniem, ażeby nie raz jeszcze Kielce odwiedziła. Opuszczaliśmy miasto rozrzuconymi i rozmarzonymi, ale na dworcu kieleckim pierzchnęły wszystkie piękne wrażenia, zastaliśmy bowiem ścisk, tumult, prawdziwy chaos wśród pasażerów, oczekujących na pociąg i dobijających się do kasy po bilety.

Kto miał powrotny, mógł mieć nadzieję, że pojedzie, ale kto takiego biletu nie miał, kasa nie chciała sprzedawać. Więc pisk, hałas, awantury na podkładzie bezładu nosiło charakter jakiegoś przedpiekła, które zmieniło się w prawdziwe piekło, gdy pociąg nadjechał. Wagony były już pełne, a tu parę tysięcy pasażerów oczekuje na miejsca, dobija się o nie, pcha się, depcze, tratuje – słowem Sodom i Gomora. Zawiadowca kryje się przed nami, konduktorzy stoją bezradni, służba kolejowa oszołomiona. – Przyczepiono wagon! – ktoś krzyknął. Cała nawałnica głów potoczyła się w kierunku zbawczego wagonu. Wepchnięci siłą we drzwi wagonu, znaleźliśmy się wewnątrz stłoczeni, a przekonaliśmy się, że jesteśmy w wagonie aresztanckim.

Co było robić? Wyjść nie podobna, nawet wołać nie można, bo głos ginie w tłumie, wreszcie trzeci dzwonek, świst i pociąg ruszył! Jechaliśmy, jak śledzie w beczce do Skarżyska, gdzie zaznaczywszy swoje niezadowolenie z tego rodzaju lokomocyi w księdze zażaleń, wsiedliśmy do pociągu na odnodze koluszkowskiej. Zawiadowca w Skarżysku dodał nam wagon, dzięki czemu zmieściliśmy się choć niewygodnie, ale jako tako.

Do Łodzi dojechaliśmy o godz. 8-ej z rana, a zaznaczyć trzeba, że bardzo wygodnie, dano nam bowiem na kolei łódzkiej odpowiednią ilość miejsc w klasie drugiej. W każdym razie, po wypoczynku, wycieczkę do Kielc bardzo przyjemnie długi czas będziemy pamiętali. *Mrok*⁷⁷.

W latach 1899 i 1900 Wilkoszewski zamieszcza dość często krótką reklamę w „Gońcu Łódzkim”:

⁷⁷ Gł. 1898 r., nr 168, s. 1 i 2



Fotografia z fili zakładu Wilkoszewskiego – Zakładu Fotograficznego „Murillo”

„FOTOGRAFIA ARTYSTYCZNA B. Wilkoszewski, Pasaż Meyera Nr 6”⁷⁸.

Bardzo ciekawą inicjatywę podejmują w początkach 1900 r. członkowie „Lutni”: „Zachęceni niezwykłym powodzeniem przy wystawieniu pierwszego aktu „Halki” w ubiegłym roku, lutniści zamierzają doprowadzić w tym roku to dzieło do końca i wystawić „Halkę” w całości. Z początku był zamiar zaangażowania kogoś ze znanych artystów do roli Jontka, obecnie jednak zamiar ten upadł wobec tego, że wśród lutnistów znalazł się urzędnik jednej z tutejszych instytucji, p. Wasilewski, który według znawców w zupełności mógł podjąć tej roli. Mając więc wyborną Halkę w osobie p. Wilkoszewskiej, Janusza p. Jezierskiego i stolnika p. Zaborskiego, zupełnie dobre wystawienie arcydzieła jest możliwym, a w dziejach muzyki będzie to chyba jedyny wypadek wystawienia „Halki” przez siły amatorskie (...)”⁷⁹. Swoje śpiewacze uzdolnienia żona fotografa prezentuje 3 grudnia na raucie Stowarzyszenia Nauczycieli Wyznania Chrześcijańskiego polskie pieśni Zarzyckiego i Żeleńskiego⁸⁰.

Jednym z ostatnich pomysłów biznesowych Wilkoszewskiego był druk kalendarza na rok 1901: „Nakładem drukarni artystycznej K. Brzozowskiego i S-ki i B. Wilkoszewskiego wyszedł z druku i jest

do nabycia we wszystkich księgarniach i składach papieru Kalendarz do zdzierania p. t. Początek XX-go wieku z widokami Łodzi i Warszawy z dyspozycją obiadów na każdy dzień i nową taryfą stemplową. Skład główny drukarni K. Brzozowskiego i S-ki, Zawadzka Nr 12. Biorącym kalendarze w większej ilości odpowiedni rabat”⁸¹.

W 1901 r. Wilkoszewski zamieszcza krótką informację o swoim zakładzie filialnym: „Zakład Fotograficzny „MURILLO” Łódź, Nowy Rynek 2. Wykonywa wszelkiego rodzaju fotografie po cenach przystępnych”⁸².

W 1901 r. Wilkoszewski chciał otworzyć drukarnię, lecz władze odmówiły mu zezwolenia.

Paweł Bronisław Wilkoszewski zmarł nagle 11 czerwca 1901 r.: „Nagły zgon. Wczoraj wieczorem w miejscowej resursie zasiadło do gry w winta czterech panów, między którymi znajdował się p. Bronisław Wilkoszewski, znany w szerokich kołach właściciel fotografii. W czasie gry gdy p. Wilkoszewski poczuł, że robi mu się źle, wstał więc i usiadł na pobliskiej kanapce. Zanim obecny doktor Kohn zdążył podejść do tego miejsca, nieszczęśliwy już nie żył. Jak można było skonstatować przyczyną śmierci był aneurizm serca. Wypadek ten wywarł niezwykle wrażenie, z tego względu, że ś. p. Wilkoszewski ceniony był wielce dla swych zalet, jako człowiek i że pozostawił liczną rodzinę, którą ten cios tak niespodzianie spotkał”⁸³.

„Pogrzeb. Wczoraj (14 czerwca) o godz. 5 po poł. liczne grono osób i członkowie Lutni towarzyszyli konduktowi żałobnemu z ciałem ś.p. Bronisława Wilkoszewskiego. W mieszkaniu zmarłego Lutnia wykonała „Ave Maria” Troszla, poczem członkowie na swych barkach ponieśli trumnę aż do grobu. Na cmentarzu chór wykonał „Requiem” Dworzaczka. Na trumnie złożono cztery wieńce, z tych jeden od Lutni, drugi od cyklistów łódzkich”⁸⁴.

Znakomity fotograf pochowany został na Starym Cmentarzu Katolickim przy ul. Ogrodowej w Łodzi.

Pod koniec czerwca, na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Lutni, uczczono pamięć, Bronisława Wilkoszewskiego – członka założyciela, minutą ciszy⁸⁵. Po śmierci męża Maria Wilkoszewska kontynuowała jego działalność w zakresie fotografii studyjnej, początkowo w obu zakładach, a później w zakładzie „Murillo”. W 1903 r. przeniosiła pracownię na ulicę Dzielną 13 (obecnie Narutowicza), do lokalu zajmowanego poprzednio przez fotografa Edwarda Dietricha.

Ilustracje ze zbiorów: Jarosława Machnickiego, Jacka Szczepaniaka, Jana Lesiaka, Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego, Archiwum Państwowego w Kielcach

⁷⁸ GŁ 1899 r., nr 37, s. 1 oraz nr 40, 45, 46, 48, 52, 54, 59, 64, 66, 70, 75, 76, 79, 81, 82, 87, 89, 90, 93, 98, 99, 104, 105, 106, 109, 112, 114, 120, 121, 122, 123, 124, 127, 129, 131, 139, 141, 143, 145, 147, s. 1; 78, 138, s. 3; i 1900, nr. 3, 4, 10, 11, 15, 17, 31, 36, 42, 57, 76, 77, s. 1; 22, 56, s. 3

⁷⁹ GŁ 1900 r., nr 21, s. 2

⁸⁰ GŁ 1900 r., nr 288, s. 2

⁸¹ GŁ 1900 r., nr 237, 238, 239, 241, 243, 244, 246, 247, 248, s. 4; 1901 r., nr 1, s. 2;

⁸² GŁ 1901 r., nr 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 90, 92, s. 4

⁸³ GŁ 1901 r., nr 132, s. 2

⁸⁴ GŁ 1901 r., nr 135, s. 2

⁸⁵ GŁ 1901 r., nr 145, s. 2

Frank Furedi profesor socjologii Uniwersytetu w Kent w Wielkiej Brytanii jest autorem książki zatytułowanej „Gdzie są ci wszyscy intelektualiści?”. Zainspirowany sporem prowadzonym z kolegami naukowcami na temat potrzeby czytania napisał esej o tym, jak zmienia się nastawienie elity współczesnej inteligencji – pracowników naukowych do zjawiska nieczytania książek przez studentów. Zauważył, że podejmujący studia młodzi ludzie „mogą najwyżej przez cały rok nie przeczytać, żadnej książki”. Jest to tolerowane przez nauczycieli akademickich. W coraz większym stopniu nauki humanistyczne przestają być potrzebne. Wiedzę podporządkowuje się celom pragmatycznym. Wartość uczelni uzależnia się od tego, jak istotny jest jej wpływ na wzrost ekonomiczny i rozwój gospodarczy. „Po co nam dzisiaj uniwersytety?” – pyta F. Furedi, skoro przestają być ośrodkami wymiany myśli i życia intelektualnego.

Tolerancja dla nieczytania w środowisku studentów i ludzi z wyższym wykształceniem przestaje mieć postać ukrytą. Otwarcie przyznają to nie tylko studium, ale także naukowcy. Jakiś czas temu podczas radiowej dyskusji historyk literatury pełniący ważną funkcję uniwersytecką zastanawiał się, czy czytanie jest jeszcze konieczne? Pragmatyczne traktowanie uczelni i studiów uniwersyteckich niestety nie będzie bezkarne. Młoda inteligencja zachowa zdolność do oceny rzeczywistości wyłącznie w jej wymiarze pragmatycznym, doraźnych celów i potrzeb ekonomicznych, rozwoju gospodarczego i wzrostu poziomu życia materialnego. Zdolność do poszukiwania prawdy, rozumienia świata w jego złożoności będzie – niestety – się zmniejszać. Podobnie jak zdolność do głębszej analizy i rozumienia zjawisk politycznych i społecznych. W Polsce mamy już do czynienia ze zjawiskiem edukacji na poziomie wyższym w dużej mierze pozornej, rozbudzającej ambicje, ale bez zdolności absolwentów do pogłębionej refleksji. Profesor Paweł Śpiewak, z którym miałem okazję rozmawiać jakiś czas temu, powoływał się na wyniki badań prowadzonych wśród absolwentów polskich wyższych uczelni. Z badań wynika, że ponad 20% z nich to funkcjonalni analfabeci. Cytowany przeze mnie profesor F. Furedi pisze o obniżaniu się poziomu dyskusji politycznej, poziomu wypowiedzi polityków. Najbardziej wyrazisty charakter przybrało to zjawisko w Stanach Zjednoczonych, gdzie poziom retoryki politycznej został dopasowany do dorosłych, którym przypisuje się zdolności umysłowe dziecka.

W tradycji amerykańskiej były poważne publiczne dyskusje polityczne. Zbadano, że za czasów Lincolna ich rozumienie wymagało edukacji na poziomie dwunastu klas. Za czasów G. Busha politycy wymagali od wyborcy myślenia na poziomie klasy szóstej. Niestety nie badano jeszcze poziomu wypowiedzi z kampanii prezydenckiej D. Trumpa. Obniżanie się poziomu dyskursu politycznego powoduje – rzecz można – spadek jakości demokracji. Powoduje niedojrzałość, nieodpowiedzialność podejmowanych wyborów lub brak zainteresowania uczestnictwem w życiu politycznym funkcjonującym na tak niskim poziomie. Brak jakości w polityce nie jest wyłącznie doświadczeniem amerykańskim. Wybitny socjolog z Uniwersytetu w Kent nie napisał w swej książce o polskich doświadczeniach, polskim poziomie czytelnictwa i jego skutkach politycznych. Mogłoby to być interesujące. Zwłaszcza, że jeśli chodzi o liczbę czytających w krajach europejskich Polska jest na pozycji 23, zaś Wielka Brytania na 4.

Od kilku lat (7-8) poziom czytelnictwa w Polsce ustalony na podstawie badań prowadzonych przez Bibliotekę Narodową wynosi około dwie piąte populacji w wieku powyżej 15 lat. W roku 2015 do czytania przynajmniej jednej książki w roku przyznało się 37% Polaków. Wynika z tego, że pozostałe 63% nie czytało nic. W roku 2014 w innych krajach europejskich było takich osób znacznie mniej: W Szwecji 9%, w Holandii 14%, w Danii 18%, w Wielkiej Brytanii 20%, w Czechach 28%. Średnia w Unii Europejskiej była na poziomie 32%.

Jaka jest przyczyna tego, że my Polacy wypadamy tak słabo w konkurencji: „czytanie książek”. Myślę, że w dużej mierze decyduje o tym tradycja, budowana i utrwalana przez lata tradycja domowa, rodzinna. Nie musiała ona tworzyć się samoistnie, indywidualnie w każdej rodzinie. Mogła być zainicjowana z zewnątrz, niejako akcyjnie. Ważne, że została utrwalona, a to dokonuje się w „kręgach czytelniczych”. Najczęściej mają one wymiar rodzinny lub dotyczą grupy znajomych. Z badań Biblioteki Narodowej wynika, że osoby czytające mają w rodzinie czytających, a znajomości i przyjaźnie zawierają z czytającymi. I odwrotnie. Nieczytający utrzymują kontakty z nieczytającymi i potwierdzają, że w ich rodzinach nikt nie czyta. W ten sposób tworzy się tradycja czytania (nieczytania), a w konsekwencji dziedziczenie tak zwanego kapitału kulturowego.

Ciekawym przykładem tej tradycji jest Szwecja, gdzie tworzyła się ona z obowiązku czytania Biblii nałożonego przez luteranizm, który stał się oficjalnie przyjętym wyznaniem w 1592 roku. W drugiej połowie wieku XVII król Karol XI wprowadził obowiązek czytania Biblii, sprawdzany i odnotowywany w księgach parafialnych. Ten kto nie czytał, nie mógł przystępować do komunii, w konsekwencji nie mógł być konfirmowany i zawierać związku małżeńskiego. Rodzice mieli obowiązek dopilnowania, by ich dzieci umiały czytać. W taki oto sposób szwedzki protestantyzm wytworzył tradycję czytania, która jest wynikiem obowiązku. Obcokrajowcy odwiedzający Szwecję na początku XIX stulecia byli zaskoczeni, że umiejętność czytania jest w Szwecji powszechna. Już wtedy czytało ok. 80% Szwedów. W tym czasie umiejętność czytania posiadało 20% Polaków. Profesor Stanisław Bystroń w *Dziejach obyczajów w dawnej Polsce* pisze: „Umiejętność czytania nie była zbyt powszechna, już nie tylko wśród drobnej szlachty, która bardzo często była niepiśmienna, ale nawet wśród zamożnych ziemian, ba nawet wśród dygnitarzy jeszcze w osiemnastym wieku trafiały się przykłady zupełnych nieuków”. „Przeciętnie wykształcony ksiądz czy ziemianin ograniczał się do kilku książek, drobny szlachetka czy chłop w ogóle książki nie widział”.

W wieku XIX, który przyniósł nowe możliwości rozwoju wydawnictw, za sprawą taniego papieru sytuacja nie zmieniła się radykalnie. W 1876 roku

Józef Grajner – autor i wydawca pisał: „wydawnictwa [...] u nas nie cieszą się powodzeniem, tu i ówdzie włościanin skupuje książki dla siebie ponętne lub prenumeruje pismo periodyczne, lecz wszystkie te przykłady wyjątkowe tylko, epizodyczne mają znaczenie”.

W tradycję czytelniczą wpisuje się biblioteka. W krajach o silnej tradycji czytania książek biblioteki są częściej odwiedzane. Tak jest na przykład w Finlandii czy w Danii, gdzie z bibliotek korzysta odpowiednio 67% i 57% mieszkańców. W Polsce – 20%. Prawdą jest również, że biblioteki skandynawskie mają więcej możliwości stworzenia interesującej oferty dla czytelników. Roczne wydatki na biblioteki w Danii i Finlandii wynoszą powyżej 30 euro *per capita*. W Polsce jest to poniżej 10 euro *per capita*. W regionie świętokrzyskim wydatki jednostek samorządu jako organizatorów bibliotek wynoszą od 7 do 50 zł, średnio około 28 złotych na mieszkańca.

Wśród spraw ważnych dla przyszłości krajów Europy wymienia się rozwój tzw. kapitału społecznego: kreatywność ludzi, ich zdolność do społecznej mobilizacji i wykorzystania indywidualnych możliwości. Ponadto dynamiczne zmiany gospodarcze i technologiczne sprawiają, że powinniśmy kształtować się przez całe życie. Nie sądzę, by niechęć Polaków do czytania była okolicznością sprzyjającą indywidualnemu rozwojowi oraz przyszłym sukcesom Polski w wymiarze społecznym i gospodarczym.



Centrum Edukacyjne Szklany Dom, Dworek Stefana Żeromskiego w Ciekotach.
Fot. ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. W. Gombrowicza w Kielcach

Po zakończeniu działań wojennych i przejściu armii na organizację pokojową, jej sprzęt i uzbrojenie było w dużym stopniu zużyte oraz bardzo niejednolite (porosyjskie, poaustriackie, poniemieckie, z demobilu państw zachodnioeuropejskich). Zaistniała konieczność zbudowania od podstaw polskiego przemysłu zbrojeniowego, który produkowałby broń i sprzęt dla Wojska Polskiego zarówno w okresie pokoju, jak i na wypadek wojny.

W dniu 29 kwietnia 1922 roku Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął uchwałę o budowie sześciu fabryk przemysłu zbrojeniowego finansowanych przez państwo. Powołano Centralny Zarząd Wytwórni Wojskowych, którego zadaniem była eksploatacja istniejących, zbudowanie i eksploatacja nowych wytwórni wojskowych.

Ważną kwestią było rozmieszczenie powstającego przemysłu zbrojeniowego. Początkowo władze wojskowe zamierzały budować fabryki zbrojeniowe w widłach Wisły i Sanu (trójkąt Rzeszów – Sandomierz – Rozwadów). Był to obszar położony centralnie w stosunku do przewidywanych frontów wojny. Ujemną stroną tego rejonu była słabo rozbudowana sieć komunikacyjna, oddalenie od zagłębia węglowego oraz brak odpowiednich fachowców. Czynniki te spowodowały, że budowa nowych fabryk zbrojeniowych została skoncentrowana głównie w okręgu kielecko – radomskim i w Warszawie.

O lokalizacji przemysłu zbrojeniowego w centralnej i północnej części województwa kieleckiego zadecydowały względy ekonomiczne, strategiczne, geograficzne, komunikacyjne i demograficzne (głównie oddalenie zakładów od granic Niemiec i ZSRR, zwartość etniczna – około 90% ludności polskiej, postawy patriotyczne ludności). W rejonie kielecko-radomskim wybudowano Państwową Fabrykę Broni w Radomiu oraz Państwową Fabrykę Amunicji i Wojskową Wytwórnię Rakiet w Skarżysku oraz Państwową Wytwórnię Prochów i Materiałów Kruszących w Pionkach. Dla potrzeb wojska w województwie kieleckim produkcję podjęły również zakłady prywatne i państwowo – prywatne, w tym Towarzystwo Starachowickich Zakładów Górniczo – Hutniczych Spółka Akcyjna, Spółka Akcyjna Wielkich Pieców i Zakładów Ostrowieckich, Fabryka Masek Gazowych, „Protekta” w Radomiu, Fabryka „Granat” Spółka Akcyjna Kielce, Huta, „Ludwików” Spółka Akcyjna Kielce, Wytwórnia Świec Lotniczych w Kielcach.

Istotną rolę w produkcji zbrojeniowej w okresie Drugiej Rzeczypospolitej odegrały Zakłady Ostrowieckie, które należały do czołowych fabryk przemysłu wojennego.

Zakłady Ostrowieckie powstały w 1813 roku. Był to duży zakład hutniczo-mechaniczny. W wyniku pierwszej wojny światowej zakłady zostały zniszczone przez zaborców: Rosjanie wywieźli najważniejsze urządzenia fabryczne i wysadzili w powietrze dwa wielkie piece oraz cztery piece martenowskie, a wojska austriackie i niemieckie wywiozły pozostałe maszyny, rudę i węgiel. Po odzyskaniu niepodległości władze Spółki Akcyjnej przystąpiły do odbudowy zakładów. Już w 1919 roku w stalowni martenowskiej uruchomiono pierwszy z pieców. W lutym 1921 roku Zakłady Ostrowieckie podpisały umowę z Ministerstwem Kolei Żelaznych na dostawę 20 tys. sztuk wagonów kolejowych. Do lutego 1923 roku wybudowano wydział montowni, a w grudniu 1922 roku uruchomiono pierwszy wielki piec. W maju 1923 roku uruchomiono elektrownię, odbudowano stalownię i walcownię blach. W 1929 roku zakłady posiadały już 22 wydziały, w tym: wydział wielkich pieców, stalownię martenowską, odlewnię żeliwa, odlewnię rur, odlewnię staliwa, walcownię, młotownię, kuźnię haków, prasownię, resorownię, montownię wagonów, elektrownię, warsztat remontowy, modelarnię i laboratorium. Ponadto spółka posiadała kopalnię i lasy w Niektaniu, Wytwórnię Parowozów w Warszawie oraz kopalnię na południu Rosji.

W skład zarządu Spółki w 1930 roku wchodził: przewodniczący Andrzej Wierzbicki, Wacław Dąbrowski, Tadeusz Karszo – Siedlewski, Andrzej Zalewski. W dziesięcioosobowej Radzie Nadzorczej Spółki znajdowali się przemysłowcy polscy oraz reprezentujący kapitał zagraniczny, w tym Karol Wilhelm Scheiber (prezes), Ferdynand du Roy de Blicuy, Ludwik Frere, Ferdynand Germanes, Antoni Wieniawski.

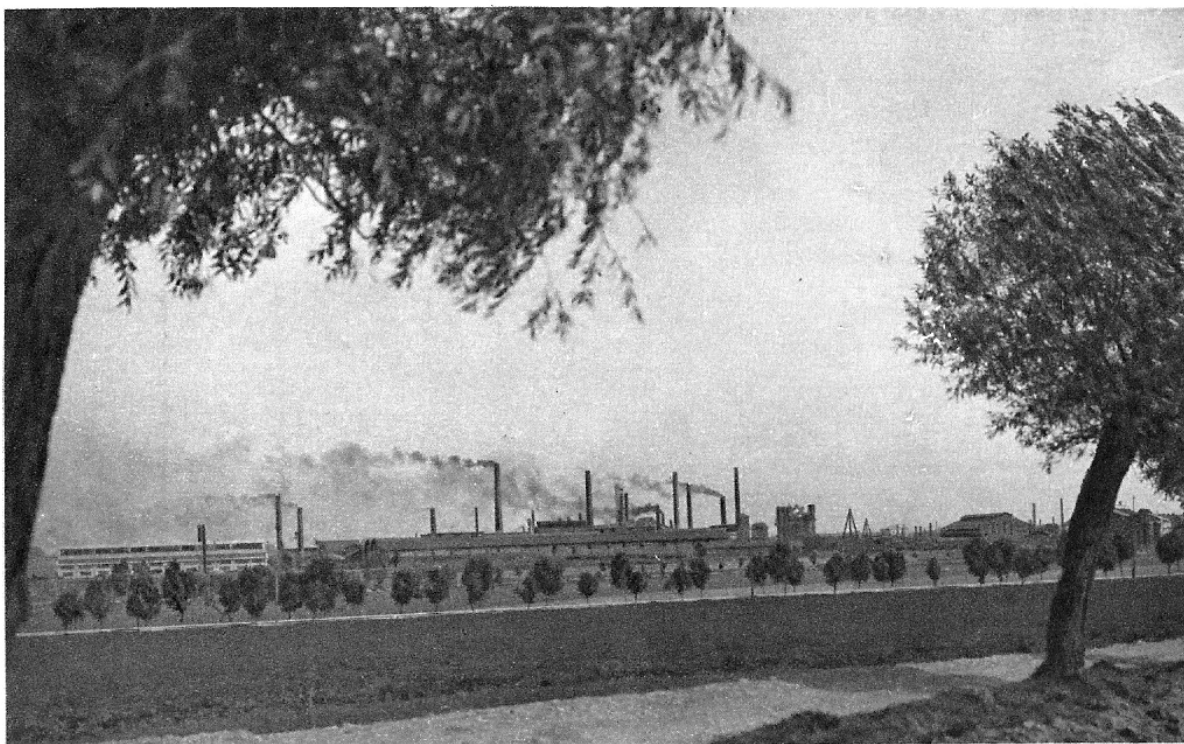
Zakłady Ostrowieckie w latach 1936–1939 zostały rozbudowane i poszerzono zakres produkcji. W marcu 1938 roku uruchomiono wielki piec, którego zdolność produkcyjna wynosiła 5 800 ton surowki rocznie. Jednak możliwości produkcyjne tego pieca nie były w pełni wykorzystane z powodu braku zamówień na stal stopową specjalną o bardzo małym stopniu zanieczyszczenia. W tym roku rozpoczęto również rozbudowę walcowni. W 1939 roku miał być uru-

chomiony odrębny warsztat kół samochodowych, w którym zamierzano produkować rocznie 100 tys. kół do samochodów osobowych i ciężarowych. Miano także przebudować resorownię i wyposażać ją w nowoczesne maszyny. Ogółem suma nakładów inwestycyjnych w Zakładach Ostrowieckich od lipca 1923 roku do 31 grudnia 1938 roku przekroczyła kwotę 40 mln złotych.

Udział Zakładów Ostrowieckich w ogólnej produkcji surówki i stali w Polsce nie przekraczał 7%. Na 24 istniejące huty żelaza (spośród nich 11 znajdowało się na Śląsku, 8 w Zagłębiu Staropolskim, 4 w okręgu częstochowskim i 1 w województwie krakowskim) przodowały zakłady śląskie, których łączny udział w krajowej produkcji wielkich pieców i stalowni wynosił 88,9% surówki oraz 84,9% stali.

Już w lutym 1926 roku wykonano pierwsze 25 odlewów granatów żeliwnych o kalibrze 105 i 155 mm. Pierwsze zamówienie jako produkcja próbna wyniosła 14 375 surowych kielichów prasowanych i 6250 żeliwnych do amunicji artyleryjskiej, które przekazano do Starachowic do dalszej obróbki mechanicznej. Od czerwca 1927 roku miesięczna zdolność produkcyjna prasowni wynosiła 30 000 kielichów do pocisków 75 mm, 20 000 kielichów 100 lub 105 mm, 15 500 kielichów 155 mm. Ponadto w odlewni można było miesięcznie produkować 3000 skorup do pocisków 75 mm, 2000 do pocisków 105 mm, a także 5000 skorup do granatów ręcznych.

Zakłady Ostrowieckie produkowały: kielichy do pocisków artyleryjskich kaliber 75, 100, 105 i 155 mm, płyty pancerne do schronów bojowych, stal



Zakłady Ostrowieckie na pocztówce z okresu międzywojennego. Zbiory autora.

W 1925 roku Ministerstwo Spraw Wojskowych zainteresowało się możliwością udziału zakładów w produkcji dla wojska jako uzupełnienia wyrobów zbrojeniowych fabryk w Skarżysku i Starachowicach. W dniu 16 października 1926 roku została podpisana umowa pomiędzy szefem Departamentu X Przemysłu Wojennego gen. bryg. Aleksandrem Litwinowiczem a Spółką Akcyjną Wielkich Pieców i Zakładów Ostrowieckich, dotycząca produkcji Zakładów Ostrowieckich na potrzeby armii. Na wniosek władz wojskowych w latach 1925–1926 zakłady zainstalowały specjalne prasy hydrauliczne, przeznaczone do szanowania kielichów do pocisków 75, 100 i 155 mm oraz przystosowały odlewnię do wytwarzania skorup żeliwnych 75 i 105 mm, a także granatów ręcznych.

pociskową i bagnetową, stalowe lufy do karabinów, „Mauser” i maszynowych, 100 kg bomby głębinowe dla marynarki wojennej, skorupy bomb cylindrycznych (lotniczych) 100 i 200 kg.

Od 1931 roku rozpoczęto produkcję płyt pancernych do schronów bojowych, które wykorzystano w fortyfikacjach obronnych na Śląsku (około 50 sztuk), Twierdzy Modlin i Osowiec, odcinka, „Sarny” i „Baranowicze” oraz na Polesiu. W fortyfikacjach Śląska zamontowano około 50 kopuł pancernych dostarczonych przez Zakłady Ostrowieckie. Dla fortyfikacji odcinka, „Sarny” wyprodukowano 60 kopuł dla ciężkich karabinów maszynowych (ckm) oraz 64 kopuły obserwacyjne. Ponadto dla fortyfikacji na Polesiu wykonano 82 pancerze pionowe i 550 płyt

„stalopancernych ze stożkiem uszczelniającym dla strzelnic ckm”. Zakłady do 1936 roku były jedynym w Polsce producentem kopuł pancernych do obiektów fortecznych. Tylko w pierwszym kwartale 1932 roku zakłady otrzymały zamówienie na produkcję dla wojska stali pociskowej na kwotę 73 500 zł.

Zgodnie z programem inwestycyjnym Departamentu Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych na lata 1930–1936 Zakłady Ostrowieckie otrzymały zaliczkę w wysokości 2 mln złotych na zainstalowanie pieca elektrycznego wysokiej częstotliwości do wytopu stali. Zobowiązały się również do tłoczenia pocisków artyleryjskich, kucia łuf karabinowych i armatnich oraz osi do jaszczy. Zakłady, jako huta o pełnym cyklu przetwórczym, spełniać miały rolę głównego kooperanta – dostawcy półfabrykatów dla Zakładów Starachowickich oraz fabryk broni Państwowych Wytwórni Uzbrojenia w Warszawie i Radomiu.

Należy zaznaczyć, że inwestycje zbrojeniowe w zakładach realizowano niezgodnie z ustalonym w 1929 roku przez Ministerstwo Spraw Wojskowych harmonogramem. Przykładowo planowany na 1930 rok piec elektryczny, uruchomiono dopiero w grudniu 1935 roku, a odbiór trzech pras hydraulicznych (zakupionych w Szwajcarii za 2 mln złotych na koszt wojska) przeprowadzono dopiero w październiku 1937 roku. Również z własnych funduszy zakłady wydatkowały duże kwoty na przebudowę pieców hutniczych, powiększenie warsztatów mechanicznych oraz zakup maszyn specjalistycznych. Ogólna suma inwestycji od dnia 1 lipca 1923 roku do 31 grudnia 1937 roku wyniosła ponad 30 mln złotych. Przeprowadzona modernizacja pozwoliła zakładom wzbogacenie asortymentu wyrobów.

Władze wojskowe planowały przekształcić Zakłady Ostrowieckie w drugą, obok Zakładów Starachowickich wytwórnię amunicji artyleryjskiej. Na posiedzeniu Komitetu dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu w dniu 31 lipca 1936 roku zgłoszony został projekt wybudowania przy ostrowieckiej hucie wytwórni artyleryjskiej. Jednak we wrześniu 1936 roku władze wojskowe zrezygnowały z tego zamiaru. Pozostawiono zakładom rolę głównego dostawcy półfabrykatów hutniczych dla przemysłu zbrojeniowego. Plan rozbudowy zakładów przemysłu zbrojeniowego na lata 1936–1942 przewidywał poszerzenie produkcji Zakładów Ostrowieckich w dziale amunicji artyleryjskiej i obróbki mechanicznej. Przypuszczalny koszt inwestycji wynosił około 15 mln zł, rozpoczęcie produkcji przewidywano w czerwcu 1941 roku.

Władze wojskowe przewidywały, że w 1929 roku miesięczna produkcja amunicji artyleryjskiej w istniejących zakładach zbrojeniowych („Pocisk” w Warszawie, Państwowej Wytwórni Amunicji w Skarżysku, Zakładach Starachowickich, hucie Modrzejów i Zakładach Ostrowieckich) wyniesie: 84 000 pocisków do 75 mm dział połowych lekkich, 11 000 pocisków do 105 mm dział połowych ciężkich, 50 000 pocisków

do 100 mm haubic oraz 16 000 pocisków do 155 mm dział artylerii ciężkiej. Zakłady Ostrowieckie miały dostarczyć ogółem miesięcznie w czasie pokoju 19 450 pocisków, co stanowiło 12% ogólnej zakładanej produkcji zakładów zbrojeniowych.

Tabela. Planowana miesięczna produkcja pocisków artyleryjskich Zakładów Ostrowieckich w 1929 roku

Rodzaj pocisków	Produkcja pokojowa (sztuk)	Produkcja wojenna(sztuk)
Prasowane 75 mm granaty i szrapnele	7 500	7 500
Prasowane 100 mm	5 000	5 000
Prasowane 155 mm	2 500	4 000
Żeliwne 75 mm	1 200	3 000
Żeliwne 105 mm	750	1 800
Ogółem	19 450	21 300

Źródło: Centralne Archiwum Wojskowe w Warszawie, Departament Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. I. 300.35.21.1.

Biuro Studiów zakładów opracowało wiele projektów lotniczych bomb cylindrycznych, w tym 50, 100 i 200 kg serii BS. Pod koniec lat trzydziestych Zakłady Ostrowieckie produkowały również części kute i prasowane do czołgów i samochodów dla Państwowych Zakładów Inżynieryjnych w Warszawie.

Odbiorcami produkcji Zakładów Ostrowieckich ze strony wojska były w 1937 roku: Kierownictwo Zaopatrzenia Uzbrojenia, Kierownictwo Zaopatrzenia Saperów, Szefostwo Fortyfikacji Modlin, Szefostwo Fortyfikacji 23 Dywizji Piechoty w Katowicach, Warsztaty Portowe Marynarki Wojennej w Gdyni, Warsztaty Amunicyjne Nr 1, nr 2 w Rembertowie, Okręgowy Urząd Budownictwa Nr I w Warszawie, Kierownictwo Marynarki Wojennej, Kierownictwo Zaopatrzenia Lotnictwa, Departament Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz Fundusz Kwaterunku Wojskowego. Ponadto odbiorcami ze strony zakładów przemysłu zbrojeniowego były: Państwowe Wytwórnie Uzbrojenia – Fabryka Amunicji w Skarżysku, Fabryki Broni w Radomiu i Warszawie, Fabryka Sprawdzianów, Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach, Zakłady Amunicyjne, „Pocisk” w Warszawie, Państwowe Zakłady Inżynieryjne w Ursusie, Zakłady Potudniowe w Nisku (Stalowa Wola).



Pancerna kopuła obserwacyjna produkcji Zakładów Ostrowieckich, wmontowana w 1935 r. w jednym z fortów Twierdzy Modlin. Zbiory autora.

W dniu 10 stycznia 1931 roku szef Biura Ogólno – Administracyjnego Ministerstwa Spraw Wojskowych ptk Władysław Langner skierował pismo do zarządu Zakładów Ostrowieckich, w którym informował, że zakłady ze względu na charakter produkcji i położenie zostały zaliczone do obiektów przemysłu wojennego. Wobec powyższego, jak podkreślił pułkownik, władzom wojskowym nie mogą być obojętne nastroje zatrudnionych pracowników i wpływy organizacji politycznych i zawodowych. Aby uniknąć, „aktów wrogiego sabotażu” sugerował, aby władze zakładów podjęły zdecydowane środki, m. in. przyjmowanie do pracy w pierwszej kolejności żołnierzy rezerwy i osób po zasięgnięciu o nich opinii u władz administracyjnych oraz umożliwienie utrzymania w fabryce informatorów.

W 1932 roku po wizytacji zakładów przez dowódcę Okręgu Korpusu Nr X w Przemyśle gen. bryg. Stanisława Tessaro uznano je za obiekt o dużym znaczeniu dla systemu obronnego państwa. W związku z tym nakazano zorganizować trzydziestoosobową straż bezpieczeństwa, system obrony przeciwgazowej i przeciwlotniczej zakładu i osiedla fabrycznego oraz ograniczyć zatrudnienie cudzoziemców. Dla pracowników wprowadzono obowiązek podpisywania deklaracji o obowiązku zachowania tajemnicy służbowej.

Władze wojskowe przykładały dużą wagę do zabezpieczenia kontrywywiadowczego przedsiębiorstw przemysłu zbrojeniowego. Jego celem była ochrona produkcji na potrzeby wojska, personelu, mocy produkcyjnych, kooperantów oraz pomieszczeń i wyposażenia zakładów przemysłowych. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, każdy z pracowników zobowiązany był do zachowania

w tajemnicy informacji dotyczących produkcji wojskowej. Za informacje niejawne uważano wówczas: terminy dostaw, ilość, typ sprzętu i specyfikację zamówień otrzymanych z Ministerstwa Spraw Wojskowych, dane dotyczące położenia zakładów, struktury organizacyjnej, parku maszynowego, liczby pracowników, rozmiarów produkcji, możliwości

Tabela. Zestawienie zatrudnienia robotników w zakładach przemysłu zbrojeniowego w Zagłębiu Staropolskim w dniu 2 kwietnia 1936 roku.

Nazwa zakładu	Liczba zatrudnionych robotników
Państwowa Fabryka Broni w Radomiu	2 200
Huta„ Ludwików” w Kielcach	970
Zakłady„ Granat” w Kielcach	300
Zakłady Starachowickie	3 159
Zakłady Ostrowieckie	1 580
Wytwórnia Węgla Aktywnego w Skarżysku	300
Państwowa Fabryka Amunicji w Skarżysku	3 270
Ogółem robotników	11 779

Źródło: J. Naumiuk, Klasowy ruch zawodowy metalowców w Zagłębiu Staropolskim w latach1918- 1939, Łódź 1975, s. 145.

produkcyjnych i rozwojowych, spraw personalnych pracowników (w tym przede wszystkim kierownictwa i kadry technicznej), kondycji finansowej, prac badawczych. W kluczowych zakładach przemysłu zbrojeniowego powstały komórki bezpieczeństwa, które zajmowały się rozpoznawaniem środowiska pracowników. Organ bezpieczeństwa zakładu przemysłowego podporządkowany był bezpośrednio dowódcy Okręgu Korpusu nr X w Przemyśle, a merytorycznie podlegał kierownikowi Ekspozytury Samodzielnego Referatu Informacyjnego Dowództwa Okręgu Korpusu nr X w Kielcach. Urzędnik bezpieczeństwa odpowiadał za zabezpieczenie techniczne ochranianego zakładu, przestrzeganie zasad tajemnicy przez personel, zabezpieczenie zakładu przed działalnością szpiegowską, wywrotową, dywersyjną i sabotażową. Na wniosek władz wojskowych zwalniano z pracy w Zakładach Ostrowieckich niektórych pracowników, podejrzanych o sympatyzowanie z komunistami. Przykładowo w 1937 roku wydano z tego powodu jednego inżyniera, a jednego technika i jednego urzędnika objęto obserwacją.

Zamówienia ze strony wojska wpłynęły bardzo korzystnie na rozwój Zakładów Ostrowieckich, w tym na polepszenie sytuacji finansowej oraz wzrost zatrudnienia.

Zatrudnienie w Zakładach Ostrowieckich wiązało się także z produkcją na rzecz wojska. Po uruchomieniu huty w 1920 roku pracowało w niej zaledwie 200 pracowników, z czego większość zatrudniono przy odbudowie i rozbudowie zakładów. Po otrzymaniu zamówień ze strony Ministerstwa Spraw Wojskowych w drugiej połowie lat dwudziestych XX wieku liczebność załogi wzrosła do 4 500 osób.

Liczba zatrudnionych robotników w Zakładach Ostrowieckich w kwietniu 1936 roku wynosiła 1580, co stawiało je na czwartej pozycji wśród zakładów zbrojeniowych w województwie kieleckim, po fabrykach w Radomiu, Kielcach, Skarżysku i Starachowicach.

Na dzień 31 grudnia 1937 roku zakłady zatrudniały 501 pracowników umysłowych i 5349 robotników, dzięki czemu stały się największymi po Zakładach Starachowickich zakładami w Centralnym Okręgu Przemysłowym.

W województwie kieleckim według stanu z 1938 roku funkcjonowało 27 zakładów należących do ścisłego przemysłu wojennego, na ogólną liczbę 255 w Polsce. Wśród nich znalazły się Zakłady Ostrowieckie, dla których instytucją mobilizującą był Departament Uzbrojenia Ministerstwa Spraw Wojskowych. Władze zakładów zobowiązane były do opracowania legendy do „Elaboratu wytwórczości wojennej jednostki przemysłowej i rzemieślniczej”, zwanego „Raportem pogotowia”. Raport ten dotyczył stopnia przygotowania zakładów do realizacji zadań wojennych, w którym określono m.in. możliwości

wytwórcze zakładów w poszczególnych asortymentach, plan zabezpieczenia personelu, wykaz zapotrzebowania na surowce i półfabrykaty.

Ostrowiec w okresie międzywojennym, szczególnie od połowy lat trzydziestych XX wieku zaliczany był do ważnych obiektów dla obrony przeciwlotniczej (opl) kraju ze względu na produkcję zbrojeniową Zakładów Ostrowieckich. Miasto Ostrowiec zgodnie z „Ordre de Bataille obrony przeciwlotniczej państwa” opracowanego przez Inspektorat Obrony Powietrznej Państwa z dnia 6 maja 1938 roku zostało zaliczone do ośrodków biernej obrony przeciwlotniczej. W województwie kieleckim do takich ośrodków zaliczono również miasta: Radom, Kielce, Pionki, Skarżysko, Częstochowę, Zawiercie, Będzin, Sosnowiec, Dąbrowę Górniczą, Sandomierz i Starachowice. W celu sprawnego kierowania obroną przeciwlotniczą i przeciwigazową wyznaczono komendantów biernej obrony przeciwlotniczej i przeciwigazowej. Komendantem opl rejonu Zakładów Ostrowieckim był por. rezerwy inż. Wacław Gierdziejewski, a jego zastępcą por. rezerwy Jerzy Bobiński. Przygotowanie zakładów w zakresie opl obejmowało: wydzielenie i dostosowanie pomieszczeń na schrony, budowę rowów przeciwlotniczych, opracowanie systemu alarmowania i sieci łączności alarmowej, określenie zadań dla służb (opl, przeciwpożarowej, ratownictwa sanitarnego i odkażania, bezpieczeństwa i pogotowia technicznego), zaciemnienie obiektów oraz maskowanie oświetlenia zakładowego. Ponadto uwzględniono Zakłady Ostrowieckie jako ośrodek czynnej opl.

Do drugiej dekady marca 1939 roku zorganizowano w Ostrowcu dwa plutony artylerii przeciwlotniczej nr 211 i 212, z zadaniem zapewnienia czynnej obrony przeciwlotniczej Zakładom Ostrowieckim. Pododdziały te były uzbrojone w cztery działa przeciwlotnicze kaliber 40 mm, „Bofors” produkcji starachowickiej i cztery ciężkie karabiny maszynowe, wyposażone w 1600 naboju do dział i 16 000 naboju do karabinów maszynowych. Koszt wystawienia jednego plutonu kształtował się według cen z 1938 roku na poziomie około 260 tys. zł. Podobne plutony fabryczne zorganizowano przy zakładach przemysłu zbrojeniowego w Kielcach, Radomiu, Pionkach, Starachowicach i Skarżysku. Po agresji niemieckiej na Polskę, Zakłady Ostrowieckie były bronione przez plutony przeciwlotnicze. W dniu 8 września 1939 roku Ostrowiec został zajęty przez wojska niemieckie.

Po rozpoczęciu okupacji niemieckiej zakłady przemysłu zbrojeniowego przekazane zostały do eksploatacji wielkim koncernom niemieckim i austriackim. Zakłady Starachowickie i Zakłady Ostrowieckie przejął niemiecki koncern Reichswerke AG für Berg- und Huttenbetriebe, „Hermann Göring Werke”.

Wertując któregoś dnia materiały, zgromadzone w trakcie opracowywania dziejów 22 DPG w wojnie obronnej 1939 roku, zwróciłem uwagę na niektóre relacje opisujące drobne, ale jakże dramatyczne wydarzenia, związane z działaniami wojennymi we wrześniu 1939 roku w rejonie Buska. Zdałem sobie sprawę, że owe drobne epizody, czasami tylko strzępy informacji, zasługują na ocalenie od zapomnienia, bowiem rzucają promień światła na dramatyczne losy ludzi. Dlatego też przedstawiam je, trzymając się możliwie najwierniej treści relacji i dodając własny komentarz tylko w zakresie niezbędnym do ich właściwego zrozumienia.

7 września 1939 roku, wczesnym popołudniem, na przykopie rowu obok zabudowań Józefa Czyżyńskiego, położonych w Busku-Zdroju przy ul. Pińczowskiej (obecnie ul. Bohaterów Warszawy), usiadł zmęczony żołnierz Wojska Polskiego. Oparty plecami o pień wiśni, pociągnął kilka tyków z manierki. Obok, na trawie, leżał karabin i zdjęta z głowy polowa rogatywka. Wyciągniętą z kieszeni chusteczką przetarł spoconą i zakurzoną twarz, dzień był bowiem upalny. Uśmiechnął się, gdy któraś z dziewcząt – córek gospodarza – przyniosła mu mleko i pomidory.

Nagle od strony Pińczowa dał się słyszeć narastający warkot silników. W tumanach kurzu zbliżała się do Buska niemiecka kolumna zmotoryzowana, poprzedzana przez kilkanaście motocykli. Żołnierz przez chwilę wpatrywał się w szosę pińczowską, gdzie pomiędzy drzewami wiśni, rosnącymi po jej obu stronach, widoczne były nadjeżdżające pojazdy. Nagle zerwał się, chwycił karabin i wbiegł na podwórze Czyżyńskiego. Rozejrzał się wokół i przykłęknął za narożnikiem obory. Powoli wycelował karabin i strzelił kilkakrotnie w kierunku nadjeżdżającej kolumny. Wśród Niemców nastąpiło nagłe zamieszanie, po czym odezwały się serie karabinu maszynowego. Żołnierz nagle przestał strzelać, przebiegł w poprzek drogę, przeskoczył rów po jej drugiej stronie i zwałił się, ścięty serią karabinu maszynowego.

Niemieccy motocykliści błyskawicznie opanowali domy w tej części ulicy i wypędzili wszystkich mieszkańców, ustawiając ich z rękami podniesionymi do góry nad rowem po południowej stronie drogi. Wycelowane w nich karabiny maszynowe potęgowały grozę sytuacji. Niemcy przeszukali wszystkie zabudowania, poszukując

zapewne ukrytych tam żołnierzy polskich. Najwidoczniej nie znaleźli niczego podejrzanego, bowiem po pewnym czasie zwolnili kobiety z małymi dziećmi, pozostawiając mężczyzn jako zakładników. Przetrzęsnęli także bryczkę przejeżdżającego księdza, który stał błądy jak ściana z rękami podniesionymi do góry. Należy dodać, że była to ta sama jednostka zmotoryzowana niemieckiej 5 DPanc., która przed południem tego dnia dokonała masakry mieszkańców Pińczowa.

Ciało poległego żołnierza polskiego leżało na przykopie rowu przez kilka dni. 11 września pracownicy buskiego magistratu – Józef Śledzik i Feliks Błaszkievicz – przewieźli poległego furmanką na cmentarz parafialny w Busku-Zdroju, gdzie został pochowany obok innych żołnierzy poległych w okolicach Buska. Po długich poszukiwaniach i rozmowach z wieloma ludźmi udało mi się ustalić personalia zabitego. Nazywał się Władysław Ciapała, miał 33 lata i pochodził z Będzina. Prawdopodobnie był rezerwistą zmobilizowanym do jednej z dywizji śląskich.

*Wg relacji Mariana Wojnakowskiego
i Lucyny Gach z Buska-Zdroju.*



Jeńcy polscy w rejonie Broniny

Na pograniczu Buska i wsi Łagiewniki znajduje się pasmo wzniesień z wystającymi tu i ówdzie gipsowymi skałami, nazywane przez mieszkańców Zimnymi Wodami. Teren ten od dawna użytkowany był jako publiczne pastwisko. 8 września 1939 roku chłopcy z Nadola, pasący krowy na Zimnych Wodach,

zauważyli kawalerzystę na siwym koniu. Jeździec zatrzymał się u podnóża skały przy źródle, napoił konia, nabrał wody do manierki, a następnie obmył w wodzie zakurzoną twarz. Poluzował popręg u siodła i pozwolił koniowi paść się na pobliskiej trawie. Sam wyciągnął z juków prowiant i zaczął jeść positek. Zaciekawieni chłopcy podeszli bliżej, poznając mundur żołnierza Wojska Polskiego. Widać było, że zarówno jeździec, jak i jego wierzchowiec są bardzo zmęczeni.

Po pewnym czasie na bezchmurnym niebie pojawił się niemiecki samolot rozpoznawczy typu „Storch”. Żołnierz, nie przerywając posiłku, śledził wzrokiem przelatującą maszynę. Po kilku minutach samolot pojawił się ponownie. Tym razem leciał znacznie niżej. Zatoczył koło i nagle zaczął pikować w dół. Być może niemiecki pilot zauważył pasącego się siwego konia? Pierwsza seria karabinu maszynowego okazała się niecelna i przestraszone zwierzę poderwało się do gwałtownego galopu. Wówczas kawalerzysta zerwał się i zaczął biec za uciekającym koniem. Wtedy niemiecki pilot zmienił cel ataku. Kolejne serie karabinu maszynowego układały się tuż przed biegnącym, albo bezpośrednio za nim. Teren był otwarty, w pobliżu żadnych drzew czy zabudowań, tak więc niemiecki pilot urządził sobie „zabawę” w polowanie. Kawalerzysta, nie zważając na niemiecki samolot, ciągle biegł za galopującym koniem. Wreszcie Niemca najwyraźniej znudziła „zabawa” i postanowił ją zakończyć. Zniżył lot jeszcze bardziej i długą serią zwałił z nóg biegnącego.

Zastrzelony kawalerzysta został pochowany na cmentarzu parafialnym w Busku-Zdroju w dniu 12 września 1939 roku. Nie udało się ustalić jego tożsamości.

Wg relacji Stefana Kuzy z Buska-Zdroju.

Mieszkańcy Żernik Górnych, pamiętający czasy ostatniej wojny, wspominają żołnierza Wojska Polskiego, celowniczego ckm, poległego na wzgórzach na zachód od wsi w dniu 9 września 1939 roku. Okoliczności jego śmierci były niecodzienne i może właśnie dlatego zdarzenie to utkwіło w pamięci wielu ludziom.

Wczesnym popołudniem 9 września 1939 roku stało się oczywiste, że batalionom 6 psp, próbującym przeciwstawić się zdecydowanemu natarciu niemieckiej 27 DP na tyły walczącej pod Broniną 22 DPG, grozi całkowite zniszczenie. Dowódca pułku – ppłk. dypl. Mieczysław Dobrzański – zarządził odwrót na północ, wyznaczając wieś Skrobaczów na miejsce zebrania się pułku. Odwrót miały osłaniać grupy ostonowe, głównie z III batalionu mjr. Stanisława Amirowicza. Jedną z takich grup zajęła stanowiska na linii wzgórz na zachód od wsi Żerniki Górne, frontem na południe i południowy-zachód. Trzonem

obrony było stanowisko ckm, który obsługiwał młody, energiczny celowniczy. Celne serie jego cekaemu przez długi czas powstrzymywały atakujących Niemców. Po pewnym czasie okazało się, że walczy samotnie, gdyż jego koledzy wycofali się na północ. Może otrzymał taki rozkaz, a może sam postanowił wypełnić do końca żołnierski obowiązek? Faktem jest, że pozostał na stanowisku i walczył samotnie dalej. Zaczynało powoli zmierzchać, a jeszcze słychać było serie polskiego cekaemu. W pewnej chwili nastąpiło kilka eksplozji granatów, po czym wszystko ucichło.

11 września przed południem dwaj rolnicy z Żernik Górnych znaleźli przy rozbitym cekaemie poszarpane zwłoki dzielnego celowniczego. Teren wokół zaścilały łuski wystrzelonych pocisków, których podobno zebrano dwie furmanki. Poległy pochowany został w prowizorycznej mogile na pobliskim polu. Nazywał się Bruno Stein, co ustalono na podstawie znalezionych przy nim dokumentów. W kwietniu 1940 roku ciało jego zostało ekshumowane i przeniesione na cmentarz parafialny w Szczaworyżu.

Historia ta przypomniata mi relację ppor. Józefa Piekarsza, dowódcy 9 kompanii 6 psp. Jako instruktor szkoły podoficerskiej 6 psp w Samborze szkolił między innymi obsługę ckm. Zapamiętał wyjątkowego celowniczego ckm, który serią z cekaemu potrafił wypisać swoje nazwisko na ścianie. Był młodym Żydem z Sambora. Czyżby chodziło o tę samą osobę?

Wg relacji Czesława Owczarczyka z Żernik Górnych.



Obelisk w rejonie bitwy w Broninie



Zniszczone w wyniku bitwy zabudowania Broniny

Działania wojenne we wrześniu 1939 roku nie oszczędziły mieszkańców wsi Bronina. W czasie bitwy w dniu 9 września spłonęło 27 zabudowań, głównie w południowej części wsi, co stanowiło około 40% ogółu zabudowań. Spore straty poniesiono w inwentarzu, m.in. u Władysława Cieplińskiego spłonęło 11 krów, a u Lzydora Majchra 6 krów. Najbardziej bolesne okazały się jednak straty wśród ludzi. Na początku bitwy większość mieszkańców schroniła się w piwnicach. Trzydziestoletni Stanisław Kumor koniecznie chciał zobaczyć bitwę i o świcie zginął rozszarpany pociskiem artyleryjskim. Około 8⁰⁰ śmierć od postrzału w brzuch poniósł siedemdziesięciosiedmioletnia wdowa Magdalena Maj, powracająca do swoich zabudowań z bochnem chleba.

Największa tragedia miała jednak miejsce 10 września. Około południa Niemcy przypędzili do wsi grupę około 20 cywilów, głównie uciekinierów ze Śląska. Gdy kolumna przechodziła obok zabudowań Jana Wójcika, Niemcy wyprowadzili z podwórza czterech mężczyzn (Jana Wójcika, jego młodszego brata Józefa, Pindrala z Broniny i Karcza ze Smogorzowa) i ustawili ich na czele kolumny, w pierwszej czwórce. Wkrótce kolumna wyruszyła w stronę Szczaworyża. Na skraju wsi, w pobliżu głębokiego rowu melioracyjnego, w kolumnie nastąpiło jakieś zamieszanie, które wykorzystał jeden ze Ślązaków i uciekł. Wówczas rozwścieczeni Niemcy pognali mężczyzn z pierwszej czwórki do najbliższego budynku – domu Władysława Cieplińskiego – zamknęli ich w mieszkaniu, a przez okno wrzucili granaty. Wkrótce budynek stanął

w ogniu. Ciężko ranny Pindral, z rozerwanym brzuchem, zdołał się wyczołgać z płonącego budynku, ale został zastrzelony w chwili, gdy próbował przejść przez drewniany płot.

Następnego dnia w spalonym domu znaleziono zwęglone szczątki zamordowanych mężczyzn, uniemożliwiające jakąkolwiek identyfikację. Akt zgonu Jana Wójcika został sporządzony dopiero w 1958 roku, na podstawie orzeczenia Sadu Powiatowego w Busku-Zdroju.

Wg relacji Władysława Cieplińskiego z Broniny.



Jeńcy polscy na rynku w Busku

W kilku relacjach mieszkańców wsi Bronina, dotyczących bitwy z Niemcami w dniu 9 września 1939 roku, powtarza się epizod, dotyczący psa – owczarka podhalańskiego. Po bitwie, 11 września, rozpoczęło się grzebanie poległych żołnierzy

Wojska Polskiego. Chowani byli w prowizorycznych mogiłach polowych zlokalizowanych na polach rolników wsi Bronina. Na polu Jana Pawłowskiego, przy szosie stopnickiej, obok głębokiego rowu melioracyjnego, znajdowała się zbiorowa mogiła, w której pochowano 28 żołnierzy Wojska Polskiego, poległych w tym rejonie. W czasie zbierania ciał poległych znaleziono psa – owczarka podhalańskiego – leżącego przy trupie oficera WP, prawdopodobnie majora. Pies był poraniony i mocno wygłodzony, ale żył. Kiedy poległego oficera przeniesiono do zbiorowej mogiły, pies powłókł się tam i położył obok. Wielokrotnie odpędzany, uparcie wracał, skomlał żałośnie. Ostatecznie psem zaopiekował się sottys – Józef Śledź. Pies wyleczył się, ale jakby stracił ochotę do życia. Jadł niewiele, przeważnie leżał obok stodoły, nie reagował nawet na zaczepki dzieciaków. Często, zwłaszcza nocą, wymykał się z zabudowań, a rano znajdowano go leżącego na mogile. Czasami słychać było jego żałosne wycie. W kwietniu 1940 roku poległych ekshumowano i przeniesiono na cmentarz parafialny w Szczaworyżu. Po ekshumacji pies przestał odwiedzać miejsce, gdzie wcześniej była mogiła. Marniał jednak coraz bardziej i ostatecznie zdechł po kilku miesiącach. Pochowany został w tym samym miejscu, gdzie wcześniej leżał jego pan.

Swego czasu próbowałem ustalić, do kogo z oficerów 22 DPG mógł należeć pies, opisany w niniejszej relacji. Pytałem o to kilkunastu byłych oficerów i żołnierzy dywizji, ale bezskutecznie. Jest niemal pewne, że właścicielem psa nie był nikt z oficerów liniowych. W którejś relacji trafiłem na wzmiankę, iż w orkiestrze pułkowej jednego z pułków podhalańskich występował pies, owczarek podhalański, który ciągnął drewniany wózek z ogromnym bębniem. W 22 DPG własne orkiestry pułkowe miały wszystkie trzy pułki strzelców podhalańskich, a więc 2, 5 i 6. Pewnym jest, że członkowie orkiestr pułkowych zostali zmobilizowani i wzięli udział w walkach wrześniowych. W jednym z wozów taborowych, pozostawionych w lesie chochołskim 8 września 1939 roku, znalezione zostały instrumenty mu-

zyczne, które do dnia dzisiejszego służą orkiestrze Ochotniczej Straży Pożarnej w Wiślicy. Być może bohater niniejszej relacji – owczarek podhalański – to weteran jednej z orkiestr pułkowych pułku strzelców podhalańskich.

Wg relacji Jana Pawłowskiego z Broniny.

Rankiem 10 września 1939 roku na podwórze gospodarstwa Stanisława Sagana, położonego na skraju Buska w rejonie obecnej ul. Widuchowskiej, zjawili się czterech żołnierzy Wojska Polskiego: kapral i trzech strzelców. Żołnierze byli zmęczeni, prosili o wodę i coś do zjedzenia. Wiedzieli, że w Busku są już Niemcy. W czasie, gdy żona Stanisława Sagana przygotowywała posiłek, on sam rozmawiał z przybyszami. Dowiedział się, że są z 6 psp z Sambora, i że ich pułk poprzedniego dnia poniósł duże straty w walkach pod Broniną. Dowódca ich kompanii – ppor. Jan Buszta – prawdopodobnie poległ. Żołnierze spędzili noc w pobliskim lesie widuchowskim. Rankiem postanowili znaleźć coś do jedzenia i ruszyć za dywizją w stronę Wisły. Kapral wypytywał Sagana o drogę w kierunku Stopnicy, mało uczęszczaną, najlepiej w terenie zadrzewionym.

Nagle od strony Buska zaczął narastać warkot silników motocyklowych. Po chwili na drodze ukazał się patrol niemieckich motocyklistów. Jeden z żołnierzy chwycił karabin i ostrzelał nadjeżdżających Niemców. Gdy odezwał się niemiecki karabin maszynowy żołnierze przeskoczyli drewniany płotek i zaczęli uciekać w kierunku lasu. Kapral z jednym strzelcem zdążyli dobiec do lasu i prawdopodobnie uratowali się. Dwaj pozostali strzelcy, uciekający bardziej na prawo, w stronę Broniny, zostali zastrzeleni na polach w rejonie lasu widuchowskiego. Według innej relacji, zostali złapani przez Niemców i następnie rozstrzelani na skraju lasu. Osobiście uważam, że zginęli w walce, bowiem ich ciała znaleziono w znacznej odległości od siebie, a przy zabitych leżały karabiny.

Zupełnie przypadkowo udało mi się ustalić nazwiska poległych. Obydwaj należeli do 7 kompanii 6 psp, co stwierdzono na podstawie znalezionych przy nich dokumentów. Poległymi byli: Piotr Chomkowicz, lat 24, pochodzący ze wsi Bortno powiat Gorlice, oraz Franciszek Mazurkiewicz, lat 23, pochodzący ze wsi Grochocice powiat Opatów. Ciała ich zostały pochowane 12 września 1939 roku w prowizorycznych mogiłach polowych na polach rolników z Broniny: Stanisława Żugaja i Lzydora Majchra. 25 kwietnia 1940 roku ciała poległych ekshumowano i przeniesiono na cmentarz parafialny w Busku-Zdroju.

Wg relacji Stanisława Sagana z Buska-Zdroju.



Kwatery żołnierzy 22 DPG na cmentarzu w Szczaworyżu

Jednym ze specjalistów, który stał się ważną postacią tworzącego się w XIX wieku ośrodka przemysłowego w stolicy Gór Świętokrzyskich, był Wilhelm Gottlieb Ernst Becker, znawca technik górniczych, wydobywania kruszców, konstruktor maszyn, mineralog. Urodził się w latach siedemdziesiątych XVIII stulecia w małym saksońskim miasteczku Adorf¹. Miejscowość znana była już w średniowieczu z wydobywania rud żelaza i srebra oraz ich przetwarzania. Wydobywano tutaj również rudy cyny.

Becker w 1791 r. rozpoczął studia w Akademii Górniczej we Freibergu skąd pochodzili sprowadzeni przez Stanisława Staszica do Kielc w roku 1816 specjaliści zatrudnieni w Główniej Dyrekcji Górniczej oraz wykładowcy kieleckiej Szkoły Akademiczno-Górniczej².

Był uczniem ówczesnej europejskiej znakomitości w dziedzinie geologii, profesora Akademii Górniczej we Freibergu, Abrahama Gottloba Wernera, który wychował także Aleksandra von Humboldta (światowej sławy przyrodnik i podróżnik) oraz osoby związane z rozwojem górnictwa w Królestwie Polskim. To właśnie Wernerowi swoją pozycję zawdzięczali (poza Beckerem) Johann Erenhold Ullman (dyrektor Główniej Dyrekcji Górniczej i Akademii w Kielcach), Georg Gottlieb Pusch (profesor Akademii zastępcy dla rozwoju geologii w Polsce), Fryderyk Krumpel (wykładowca Akademii, inżynier górniczy), Marcei Królikiewicz i Józef Tomaszewski (wykładowcy Akademii, także absolwenci uczelni we Freibergu).

Becker w 1805 r. odbył podróż do Siedmiogrodu, odwiedził kopalnie metali szlachetnych w miejscowościach Cavnic, Sugatag, Baia Spire, Baia Mare, Zlatna, Nojag, kopalnię złota w Roșia Montană. Interesował się procesem wydobywania, organizacją produkcji, zasobami minerałów. Zwracał uwagę na warunki pracy górników, poziom życia, bogactwo zasobów i biedę ludności. Po powrocie z wyprawy napisał dwutomową pracę wydaną we Freibergu w latach 1815–1816, w której opisując najważniejsze kopalnie, umieścił swoje spostrzeżenia z wyprawy na Węgry: „Journal einer bergmännischen Reise durch Ungarn und Siebenbürgen”³.

¹ Das gelehrte Teutschland oder Lexikon der jetzt lebenden teutschen Schriftsteller, Lemgo 1820, Tom 17, s. 118.

² Festschrift zum hundertjährigen Jubiläum der Königl. Sächs. Bergakademie zu Freiberg, am 30. Juli 1866, Drezno 1866, poz. 352, s. 234.

³ Journal einer bergmännischen Reise durch Ungarn und Siebenbürgen, T.1, T.2, Freiberg 1815, 1816; Calatori straini despre tarile Romane in secolul al XIX-Lea, serie noua, vol. 1, red. Paul Ceronovodeanu, Bucuresti 2004, s. 203.

Był osobą znaną i poważaną w świecie nauki i techniki górniczej, jego nazwisko pojawiało się wielokrotnie w urzędowych spisach, wykazach i kalendarzach: wymieniany jest m.in. jako „Bergmeister” w „Königlich-Sächsischer Hof- und Staats-Kalender”, wydanym w Lipsku w roku 1807.

Związany był przede wszystkim z Główną Dyrekcją Górniczą w Kielcach, utworzoną 1 czerwca 1816 r. na mocy postanowienia namiestnika Królestwa Polskiego z 20 lutego 1816 r. Ścisłe z nią powiązana była „szkoła górnicza praktyczna w celu kształcenia zdolnych do kopalni urzędników i oficjalistów założona”. Organizacją szkoły, którą otwarto w grudniu 1816 r. zajęły się Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policji oraz Komisja Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego⁴.

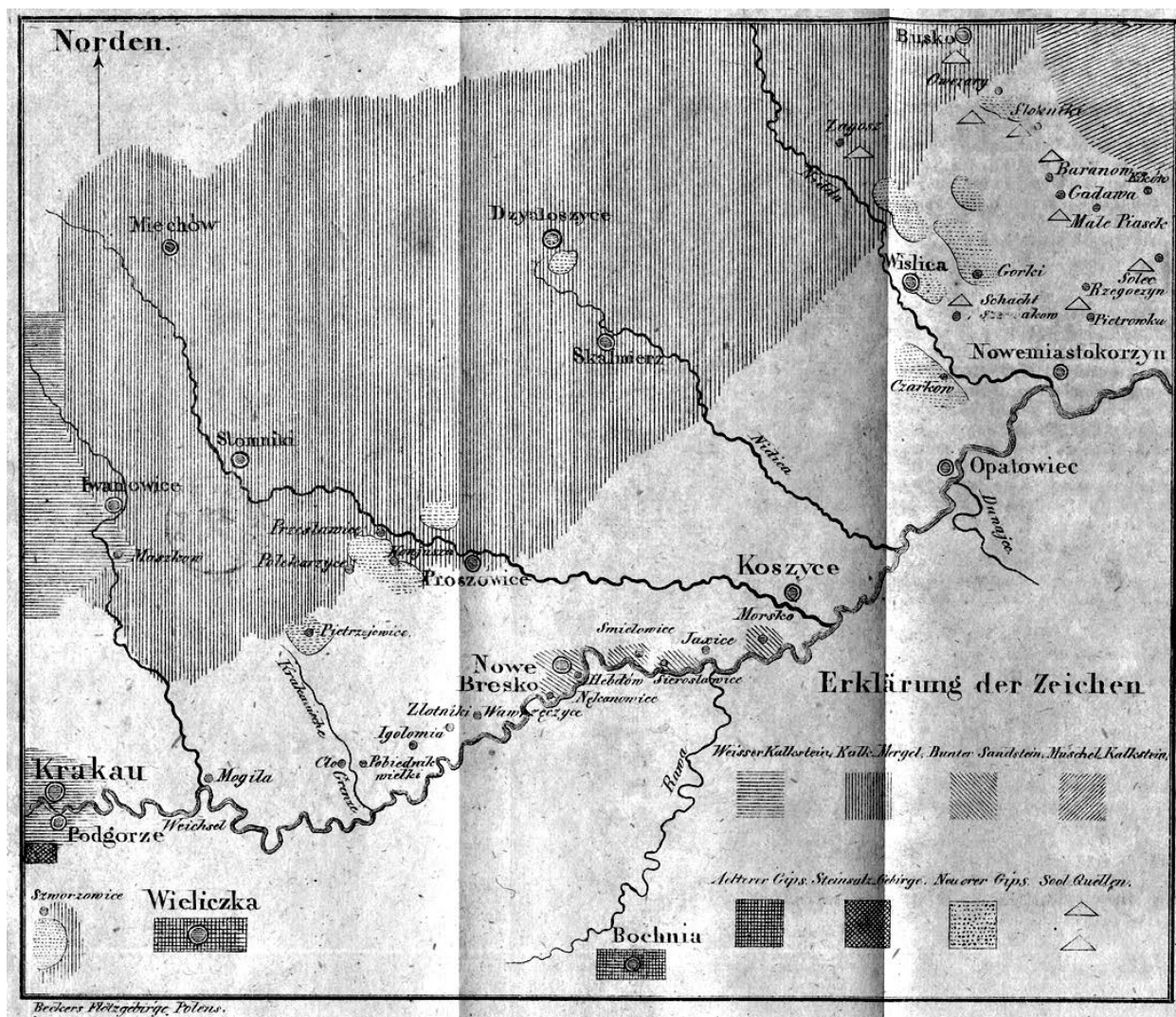
W latach 1819–1827 r. Becker był nadzorcą okręgów górniczych w Główniej Dyrekcji Górniczej w Kielcach. Sprawował kontrolę w tzw. Dozorstwach podległych Dyrekcji: Miedzanogórskim, Olkusko-Siewierskim, Samsonowskim, Pankowskim, Bzińskim, Starachowicko-Brodzkim, Białogonskim i Radoszyckim. Zajmował stanowisko głównego radcy górniczego⁵.

Becker w latach 1817–1818 wykonał projekty „względem utworzenia dawnych kopalń olkuskich”. Zamierzano bowiem powrócić do tradycyjnego, rozwijającego się szczególnie w XV–XVII w. wydobywania rudy otowiu i produkcji srebra na tym terenie. Zaplanował wykonanie kilku nowych sztolni, poprzez które można byłoby się dostać do eksploatowanych niegdyś złóż. Jak pisał Hieronim Łabęcki w „Górnictwie w Polsce” wydanym w roku 1841, Becker proponował też „...wejście w dawne kopalnie przez nową jaką sztolnię, prowadzić się mającą od południa poczynając roboty jej stoku w okręgu miasta Krakowa, od Czerny lub Krzeszowic, następnie na Witeradów, Olelin i Sienniczo w długości 7000 tatrów – albo też od północy od Białej Przemszy we wsi Klucze o 1 ½ mili od Olkusza, przez Pomorzany, Parcze i Rabsztyn”⁶.

⁴ J. Szczepański, s. Modernizacja górnictwa i hutnictwa w Królestwie Polskim w I połowie XIX w., Rola specjalistów niemieckich i brytyjskich, Kielce 1997, s. 77; Z. J. Wójcik, Stanisława Staszica koncepcja ulokowania szkoły akademicko-górniczej w Kielcach, w: Stanisław Staszic. Twórca Polskiego Wyższego szkolnictwa technicznego. Sympozjum, Kielce 28 czerwca 2010, Kielce 2010, s. 27.

⁵ A. J. Wójcik, Zachodni Okręg Górniczy. Studia z dziejów geologii i górnictwa w Królestwie Polskim, Warszawa 2008, s. 56–77.

⁶ H. Łabęcki, Górnictwo w Polsce. Opis kopalnictwa i hutnictwa polskiego pod względem technicznym, historyczno-statystycznym i prawnym, t. 1, Warszawa 1841, s. 285.



Mapa z oprac. Beckera, Über die Flötzgebirge im Südlichen Polen, besonders im Hinsicht auf Steinsaltz und Soole

Po powstaniu Głównej Dyrekcji Górniczej oddano w ręce Beckera projekt poszukiwania złóż soli, czym właściwie zajmował się on aż do końca swojego życia. W 1818 roku odbył podróż rekonesansową, w celu oznaczenia miejsc, w których należało sól poszukiwać. Zaproponował aby poszukiwania prowadzić w dolinie Nidy od Pińczowa i Buska ku Wiślicy i Nowemu Korczynowi oraz nad Wisłą naprzeciw Wieliczki.

W roku 1819 nadzorował wykonanie szybu w Szczerbakowie między Wiślicą a Nowym Korczynem. W roku 1824 nadzorował prace w Solcu, we wsiach Gadawa i Owczary, w Nękanowicach pod Nowym Brzeskiem we wsi Złotnik koło Igotomii oraz w Pobiedniku. Szyb w Solcu dał początek uzdrowisku, na miejscu szybu w Szczerbakowie ustanowiono użytek ekologiczny, teren szybu w Owczarach uznano jako rezerwat stonoroślowy, a do dnia dzisiejszego istnieje szyb w Gadawie⁷.

Po przejściu górnictwa pod zarząd Banku Polskiego w 1833 r. poszukiwał nadal złóż soli koło Igotomii, w Wązowie, Goszycach, Smarzowicach, Zalesiu,

w Biurkowie i Wielkim Biurkowie. gdzie prace zakończono w 1836 r. wraz ze zgonem Beckera. Swoim poszukiwaniom poświęcił opracowanie wydane w 1830 r. we Freibergu pt. „Über die Flötzgebirge im Südlichen Polen, besonders im Hinsicht auf Steinsaltz und Soole”.

Ciekawostką jest organizacja prac wiertniczych, do których angażowano miejscową ludność. Becker, można powiedzieć, był jednym z prekursorów, czy inicjatorów ubezpieczeń społecznych. Posługiwał się bowiem instrukcją mającą na celu zakładanie kas górniczych w miejscowościach objętych poszukiwaniami⁸.

W roku 1820 sprzedał za sumę 3000 dukatów zbiór okazów mineralogicznych liczący 5594 okazy z przeznaczeniem dla gabinetu mineralogicznego Akademii Górniczej w Kielcach.

W Kielcach mieszkał przynajmniej do końca lat dwudziestych. Wstęp do jego opracowania na temat poszukiwań soli jest datowany właśnie tutaj 7 stycznia 1829 roku. Na jego losach, podobnie jak i innych

⁷ J. Gagol, G. Herman, *Od szybu w Gadawie do odwiertu Dobrowoda G-1 koło Buska Zdroju*, <http://geoportal.pgi.gov.pl/portal/page/portal/pgi-os/wiedza/Gadawa>, dostęp 17 marca 2016 r.

⁸ M. J. Mazurkiewicz, *Stan badań nad historią prawa ubezpieczeń społecznych w okresie II Rzeczypospolitej (1918-1939)*, „Studia Iuridica Toruniensia” T. XVII, s. 156.

specjalistów narodowości niemieckiej, którzy pełnili ważne funkcje w Dyrekcji Górniczej, Akademii, w Hucie Aleksandra w Białogonie, zaważyła zmiana koncepcji rozwoju przemysłu w tej części Królestwa Polskiego.

Zamknięcie Akademii Górniczej w 1826 r., zastąpienie Sasów przez kadrę pochodzącą z Wielkiej Brytanii, na pewien czas zachwiało stabilnym obrazem kieleckich inicjatyw gospodarczych i edukacyjnych. Wiązało się to m.in. z nowymi koncepcjami ministra skarbu Ksawerego Druckiego-Lubeckiego przeniesienia Głównej Dyrekcji Górniczej z Kielc do Warszawy, po to aby zarządzanie przemysłem było pod jego bezpośrednią opieką. Dyrekcja do czasu dymisji Stanisława Staszica w 1824 r. pozostająca w pionie Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, dostała się pod bezpośrednie zarządzanie przez Komisję Rządową Przychodów i Skarbu i podległa ministrowi skarbu.

Kolejnym powodem, który pośrednio mógł zadecydować o losach industrializacji Zagłębia Staropolskiego, były obawy księcia Ksawerego Druckiego-Lubeckiego przed dominacją specjalistów narodowości niemieckiej zarówno w Głównej Dyrekcji jak i w Akademii. To miało swoje uzasadnienie w stosunkach gospodarczych z Prusami, a także wiązało się z niechęcią K. Druckiego-Lubeckiego do rosyjskiego ministra finansów Jegora Kankrina promującego specjalistów niemieckich⁹.

Szkoda, że nastąpiły tak znaczące zmiany, bowiem chociażby w kieleckiej Szkole Akademiczno-Górniczej z powodzeniem stosowano najlepsze, jak na owe czasy, wzorce organizacyjne i nowatorskie metody edukacji młodego pokolenia, będące zauważalnym osiągnięciem w dziejach szkolnictwa politechnicznego. Kielecka uczelnia zakończyła swą działalność po niespełna dziesięciu latach egzystencji i wykształciła prawie 50 inżynierów spośród setki studiujących elewów. Warto podkreślić, że absolwenci Akademii pełnili istotne funkcje w polskim przemyśle aż do końca XIX wieku.

Pokłosiem decyzji zmieniających obraz organizacji przemysłu były kontakty Wilhelma Beckera z ks. Druckim-Lubeckim, z którym był związany i dla którego w 1824 r. wykonał m.in. opinię na temat stanu górnictwa rządowego – „Gutachten über das Königliche Bergbau”. Po zmianach we władzach górniczych w roku 1828 pełnił funkcję nadradcy górniczego w Wydziale Górnictwa Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, a w latach 1829 i 1830 był nadradcą górniczym w Wydziale Górnictwa Krajowego.



Rosia Montana, Károly Cserna, ok.1910

W latach 1834-1835 w dalszym ciągu pełnił funkcję nadzorcy górniczego w strukturach Banku Polskiego, w Oddziale Górnictwa Rządowego, wymieniany wśród „urzędników mających specjalne poruczenia” razem z inspektorem Heinrichem Georgiem Schumannem (budowniczy Dozorstwa w Białogonie). Ernest Wilhelm Gottlieb Ernst Becker zmarł w roku 1836 w trakcie prac wiertniczych w Wielkim Biurkowie.

Śladami Wilhelma Beckera można udać się na interesującą wyprawę w góry Apuseni, w pasmie Gór Zachodniorumuńskich położonych pomiędzy Wielką Niziną Węgierską a Wyżyną Siedmiogrodzką, gdzie przebywał w początku XIX wieku. Od wielu lat trwają spory dotyczące budowy największej odkrywkowej kopalni złota w Europie w Roșia Montană. Kontrowersje dotyczą użycia ryzykownych dla środowiska technologii wydobywania złota z użyciem cyjanku potasu. Wyptukiwanie kruszcu przez kanadyjską firmę Gabriel Resources stanowi duże zagrożenie ekologiczne w terenie, gdzie złoża oszacowano na ponad 300 ton złota oraz 1500 ton srebra. Poza tym może dojść do zniszczenia zabytków i pozostałości starożytnych rzymskich kopalń. W związku z tym trwa kampania mająca na celu wpisanie Roșia Montană na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Życie i działalność Wilhelma Beckera świadczy o trwałości dziedzictwa przemysłowego, jest jednocześnie świadectwem przenikania myśli inżynierskiej, postępu technologii i źródłem wartości, do których odwołujemy się odtwarzając przeszłość naszej, europejskiej kultury technicznej.

⁹ J. Szczepański, *Szkoła Akademiczno-Górnicza w Kielcach na tle staszycowskich koncepcji szkolnictwa wyższego*, w: *Stanisław Staszic twórca polskiego szkolnictwa technicznego*. Sympozjum. Kielce, 28 czerwca 2010 r., red. S. Meducki, Kielce 2010, s. 41-42.

Stron 704 plus XXXII, na oko formatu nieco większego od A4, okładka z szarego cienkiego kartonu (dawniej raczej niebieskiego lub zielonego – ten męski kłopot z rozróżnianiem kolorów). Ciężka, ale wiotka. No i coś jeszcze: w sztuce nazywa się to *horror vacui* – strach przed pustką. Na widok tych wąziutkich marginesów, czcionki mniej więcej 8 punktów, i tysięcy (dostownie) reklam i anonsów w każdym wolnym miejscu, redaktor szanującego się wydawnictwa zapłonąłby z oburzenia.

Spis Abonentów Państwowych i Koncesjonowanych Sieci Telefonicznych w Polsce (z wyjątkiem m. st. Warszawy) 1931/32 r. Niżej szczególny copyright: „Prawa przedruku części urzędowej zastrzeżone”. Jeszcze nie dotarłem do połowy okładki, a już reklama firmy Oświęcim – Praga – Auto z przedstawicielstwami w 10 miastach: w Kielcach inż. J. Pilipczak na ulicy Staszica 2. Obok limuzyna z kierowcą, domyślamy się, że znanej dawniej czeskiej firmy automobilowej „Praga”. Niżej taka trochę artdekovska reklama Związku Spółek Zarobkowych, z centralą w Poznaniu, ale odziały także w Sosnowcu tel. 225, Radomiu tel. 151 i Kielcach tel. 101. Na samym dole niedużą czcionką: *Wydawnictwo Ministerstwa Poczt i Telegrafów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego Informatory Ekonomiczne Sp. z o. o. Warszawa.* No nie! Na dolnej krawędzi, to zdaje się nazywa się blok, także nadrukowana reklama: *B. Sommerfeld. Największa w Polsce FABRYKA*, ale czego...? nie widać.

Papier żółtawy, lichej, trochę gazetowy, do tego żółtki i kruchy – jak niemal we wszystkich tanich wydawnictwach XX wiecznych – kwasowy.

O, to nam się przyda wykaz skrótów, strona 6:

„L” Służba ograniczona dzienna trwa w dni powszednie od godz. 8 do 12 i od 15 do 18, a w dni świąteczne od godz. 9 do 11 i od 15 do 16.

„C” Służba całodzienna – w dni powszednie: od 1 kwietnia do końca września od godz. 7 do 21, od 1 października

do końca marca od godz. 8 do 21, w dni świąteczne: od godz. 8 do 12 i od 15 do 18.

Są jeszcze: „N/2” Służba całodzienna przedłużona do północy, trwa od godz. 7 do 24.

„N” Służba ciągła w dzień i w nocy.

„L/BC” Służba podczas sezonu kąpielowego od godz. 8 do 21, w innych porach roku od godz. 8 do 12 i od 15 do 18.

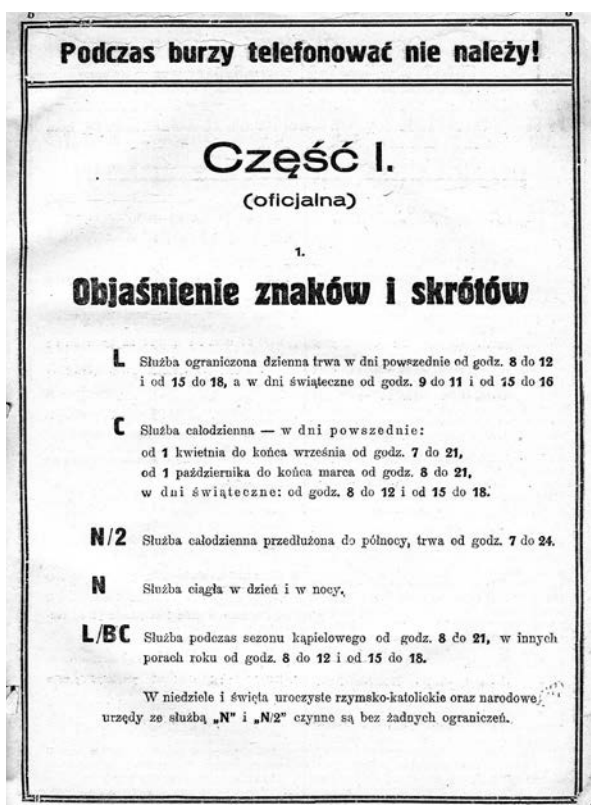
W niedzielę i święta uroczyste rzymsko-katolickie oraz narodowe urzędy ze służbą „N” i „N/2” czynne są bez żadnych ograniczeń. Ówczesna wersja równouprawnienia wyznań.

Aha: „Podczas burzy telefonować nie należy!” Pouczenia, instrukcje, regulaminy, taryfy krajowe i zagraniczne, znowu o ostrożności w czasie burzy, reklamy.

Wreszcie strona 35: *Część II (Oficjalna)*. Symbole poszczególnych ośmiu Dyrekcji pocztowych i do tego Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej, czyli PAST-y. No to poszukajmy literek Kr. i Lb. – kieleckie podlegało Dyrekcjom w Krakowie i w Lublinie. Pierwszy jest Będzin. I niespodzianka: zamiast LB jest PAST (Należy do Sosnowieckiej sieci P.A.S.T.) – prawie jedenaście kolumn. Wiadomo, Zagłębie, ludne miasta (zaraz dalej Bielsko, 30 kolumn samych numerów). Jest: Bodzentyn Kr./L. (patrz przydatne skróty z początku tekstu): nr tel. 1 Bank Spółdzielczy, 4 Nadleśnictwo św. Katarzyna, 2 Posterunek Policji Państwowej, 5 Szachter Nusyn Rynek 230 i 3 Urząd Gminy Bodzentyn. I cała książka telefoniczna sławnego miasta Bodzentyna – łatwo zapamiętać (telefon o numerze 5 stał w domu o numerze 230, ale to nie dzisiejszy numer porządkowy, czy jak też się mówi policyjny, lecz numer hipoteczny – tak wielki rynek w Bodzentynie nie był). Kolejne miasta i miasteczka z Zagłębia Dąbrowskiego (w II Rzeczypospolitej województwo kieleckie było ogromne – z Zagłębiem, Częstochową, Radomiem). Szukam jednak czegoś



Reklama B. Sommerfeld na krawędzi książki telefonicznej (tzw. edge painting)



Część pierwsza książki

blіszszego Kielc. Strona 79: Busko – Zdrój, Kr/C, 52 numery: 1 Starostwo, za to nr 52 tajemniczy „Nadzorca Technicz. T. i T., m.”. Pomiędzy nimi panorama abonentów godnych słynnego uzdrowiska i młodego powiatowego miasta. Urzędy powiatowe i miejskie, liczne urzędy gmin sąsiadujących z miastem, nawet *Sędzia Śledczy* i *Stacja samochodowa magistratu miasta Buska*, zapachniało wielkim światem. Nie bez powodu: w uzdrowisku telefony działały już w willi „Krystyna”, Sezonowym Sanatorium Wojskowym, w „Sanato” – popularnym domu sanatoryjnym doktora Eugeniusza Budzyńskiego przy ul. Zakładowej (o ile pamiętam, to i budynek był prawie modernistyczny), willa „Urocz” i oczywiście Zakład Zdrojowy i Kolonia Dziecięca „Górka”. Ta ostatnia to największe dzieło dra Starkiewicza, nowoczesny specjalistyczny szpital i sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę kostno-stawową. Działa do dzisiaj. I jeszcze dwaj abonenci: *Artemski Antoni*, ks. kanonik, *plebania* – nr 4 (jeden z pierwszych numerów w Busku), numer 48, jeden z ostatnich, *Zarząd Gminy Żydowskiej w Busku*.

Idźmy dalej. Na stronie 96 niespodzianka: są Chęciny 1 (12 abonentów) i Chęciny 2 (trzech abonentów), oba Kr./L. Popatrzmy: trzy Urzędy Gminy, bo jeszcze Brzegi i Korzecko, dwa banki Kupiecki i Spółdzielczy, dwa posterunki Policji Państwowej: miejscowy i w Brzegach, magistrat, standard. Są też ciekawsze: 12 *Borensztein M*, rabin, *Stary Rynek 124 (p. kolektura)*, więc szukam: 12 *Kolektura Loterii Państw.*, *M. Borensztein*, Chęciny. No, to już jest jakaś wiedza, i smaczek. 11 Szkoła Rolnicza Ludowa w Podzamczu – a, to już cała historia. Dawny dwór starościński, przebudowany

na początku lat dwudziestych na powiatową szkołę rolniczą, przy tym historycznie „upiększony”, i to nie przez byle kogo – w Archiwum Państwowym w Kielcach zachowały się plany remontu i rozbudowy sporządzone przez znanego architekta Karola Sicińskiego (niezłą willę wystawił sobie w Kazimierzu nad Wisłą). Obok szkoły powstały domy dla nauczycieli (stoją do dzisiaj u podnóża Góry Zamkowej) i zabudowania gospodarcze, czyli warsztaty szkolne. Tak, to jest obecny kompleks Regionalnego Centrum Naukowo-Technologicznego. Dzisiejszy numer telefonu (41) 343-40-50, czynny całą dobę. A numer 6? – *Zakłady wapienne i kamieniołomy „Tokarnia-Zamczysko”*. Wiem! Kiedy wjeżdża się do Tokarni od strony Kielc, zaraz na początku wsi po lewej w kępie drzew jakieś ruiny, po prawej, na górze, dziwny wąski i długi budynek mieszkalny i małe kamieniołomy. To tu: ruina po lewej jeszcze dwadzieścia lat temu była całkiem miłym domem-dworkiem, należącym do właściciela wapienników, „kamienica” na górze po prawej, to po prostu dom dla robotników.

A Chęciny 2: Chęcińskie Zakłady dla przemysłu drzewnego „Arbor” tel. 1, młyn Borken-Hagena w Wolicy tel. 4 i kamieniołomy Joska Knobela w Książce Górnej (trzeba sprawdzić, gdzie jest taka miejscowość, a może to błąd drukarski?).

Chmielnik, Kr/C, 26 abonentów, ale numery do 33. Jedyńka – Urząd Gminy, ostatni Bank Spółdzielczy, ul. Sienkiewicza 18. Zresztą banki aż trzy, chociaż Chmielnik nieduży. Z ciekawszych abonentów: numer 8 Ignacy Dłużewski, drogomistrz na ul. Furmańskiej 27, numer 25 *Szkoła Zawodowo-Przemysłowa im. Królowej Jadwigi* (tak mi się przypomina, że w Archiwum w Kielcach widziałem ciekawy projekt budynku dla tej szkoły, niezrealizowany), rzecz jasna pod 29 Gmina Wyznaniowa Żydowska – jesteśmy w Chmielniku.

Strona 98 Chroberz, Kr/L, siedem numerów, z ciekawszych: czwórka nietypowa, pod literą a) *Administracja ordynacji Margrabstwa Chroberz*, b) *Pałac margabiego Aleksandra Wielopolskiego*, c) brak, d) *nadleśnictwo w Teresowie*, pod siódmym Biuro cukrowni „Łubna” w Złotej.

Strona 110 Daleszyce, to będzie ciekawe. Nie będzie: tylko pięć numerów, za to pierwszy musiał mieć własną centralkę (?), podobnie jak w Chrobrzu: *Dobra Szczecno*, *Karol Mauve*, b) *oficyna*, c) *Leśnictwo Wojciechów*, d) *Leśnictwo Trzemosna*, e. *Leśnictwo Murawin*.

Trochę dalej Działoszyce, Kr/C, 28 abonentów. Urząd Gminy w Czarnocinie ma 1, numer 29 (!) otrzymał Gustaw Osuchowski w Pierocicach. Trzy banki, biuro cukrowni „Łubna”, numer 15 miał *Gertler Salomon*, *dom spedycyjno-handlowy*. A pod czwartym *Deskur Andrzej*, b) *zarząd dóbr Sancygniów*. Dobra, jak dobra, ale Sancygniów i Deskurowie to osobna historia. Dwór jak z bajki: stara kamienica, czyli murowana renesansowa wieża mieszkalna, obok pałacyk Deskurów z końca XIX wieku, ale boski,

Kr.	CHĘCINY 1.	L
2	Bank Kupiecki w Chęcinach, Kielecka.	
8	Bank Spółdzielczy, Bolechowska 159.	
12	Borensztajn M., rabin, Stary Rynek 124 (p. Kolektura).	
4	Gotlib M., Garbarnia, Kielecka 171.	
12	Kolektura Loterji Państw., M. Borenstein. Chęciny.	
3	Magistrat miasta Chęciny.	
1	Posterunek Pol. Państw., Rynek.	
11	Szkoła Rolnicza Ludowa w Podzamczu.	
14	Tenenbaum Lejbuś, Kielecka 169.	
10	Urząd gminy Brzegi. — Post. Pol. Państw., Brzegi.	
5	Urząd gminy, Korzecko.	
6	Zakłady wapienne i kamieniołomy, „Tokarnia-Zameczysko“, S. Richtera.	
Kr.	CHĘCINY 2.	L
1	„Arbor“ Chęcińskie Zakłady dla przemysłu drzewnego, Zarząd fabryki, Chęciny 2.	
4	Borken-Hagen M., Wolica, b) młyn.	
3	Knobel Josek, kamieniołomy, Książka Górna.	

Spis abonentów w Chęcinach

i stara-nowa brama. Wokół park, tuż obok kościół równie imponujący na zewnątrz i wewnątrz, a wszystko poprzedzone stawem. No i Deskurowie – warto poszukać i poczytać.

Wróćmy do książki. O, pod 11 znana *Fabryka Cykorii „Kąbędź” B. Moszkowskiego*. W muzeum w Pińczowie widziałem rulony z pigułkami cykorii i malownicze, kolorowe owijki z nadrukami firmowymi. W Fatkowie koło Końskich, strona 120, telefony mieli: Proboszcz Jan Dąbrowski, Bolesław, Tadeusz i Mieczysław Jakubowscy w pobliskich majątkach i Stefan Kotarski w majątku Skórnice. Ten ostatni to raczej zarządca, bo w 1888 roku dobra, wcześniej także należące do Jakubowskich, kupił inżynier Henryk Cichowski. Jakubowscy w 1851 r. przebudowali starszy dworek na prawie-pałac: niesymetryczny z wieżą w narożu, i na wzór warszawskich Łazienek otoczyli go wodą, fosą czy raczej stawem. Do dworu, stojącego na wyspie, dostać można się tylko przez mostki. W 1945 roku to cudo podpadło pod reformę rolną.

Na stronie 143 jest Grzymałów koło Lwowa, Grzymałkowa nie ma. Nieco dalej jest za to Itża, dawna rywalka biskupich Kielc, Lb./C, 15 numerów. Tego najważniejszego nie ma: podobno rejent Bolesław Leśmian przyjeżdżał do Itży na wakacje tylko dla

Dory Lebenthal, w której kochał się *W malinowym chruśniaku*. Rejent owszem i był, numer 29, ale nazywał się *Stefan Kaleński, ulica Radomska*. Był także Bank Ludowy na ulicy Przeskok (numer 11), Sąd Grodzki (10), Szpital św. Ducha (6), a Jan Grajewski prowadził sklep winno-kolonialny w Rynku (19). Do Telegrafu można było się dodzwonić wybierając, a może raczej prosząc telefonistkę, o numer 12, do pałacu w Pakostawiu i sąsiedniego folwarku w Michałowie należało poprosić o 27.

Jędrzejów, Kr./N, strona 156, zajmuje całą kolumnę, 77 abonentów. Jedynka to Powiatowa Komenda Policji przy pl. Kościuszki 12, trójką dysponował Zarząd Drogowy, ósemką Wydział Powiatowy Sejmiku Jędrzejowskiego. Już wiadomo, co to tajemniczy „Nadzorca Technicz. T. i T., m.” z Buska; w Jędrzejowie są to aż dwa numery: *60 Nadzór techniczny Telefonów i Telegrafów*, a „4 Nadzór techniczny T. i T., mieszk. technika, czyli „m.” w Busku, to mieszkanie technika. Z książki telefonicznej wyłania się obraz miasta z ambicjami, pełnego przedsiębiorczych mieszkańców. Abonentem o numerze 40 było *Gimnazjum koedukacyjne Magistratu miasta Jędrzejowa*, 23 miało powiatowe Seminarium Nauczycielskie przy ul. Klasztornej, dzisiaj 11 Listopada. Szkoła

byłą dumą miasta, miejscem kształcenia nauczycieli dla tragicznie zaniedbanego szkolnictwa powszechnego. A nowoczesny budynek, wzniesiony z dotacji rządowych i zaprojektowany przez znanego później krakowskiego architekta Wacława Nowakowskiego, do dzisiaj mieści prestiżowe Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Reja. Banków było aż pięć, w tym Bank Kupiecki Borucha Maneli przy Rynku 4 (numer telefonu 30). Telefon miała też rzeźnia miejska (82), Powiatowa Kasa Chorych przy Starym Targowisku (67) i Powiatowy Urząd Ziemski (64, ulica 11 Listopada), Naczelnik Urzędu Pocztowego (39), był też *Weterynarz Tadeusz Majewski, ulica Klasztorna 60* (22), Komenda Garnizonu Jędrzejów korzystała z telefonu o numerze 21. Lekarzem Powiatowym (numer 17) był oczywiście *dr Przykowski, Rynek 6*, w Jędrzejowie imię nie było mu potrzebne, ale dodajmy, że brzmiało ono Feliks. Lekarz, astronom-amator, kolekcjoner; twórca jednej z największych na świecie kolekcji zegarów słonecznych. Ale to się wie. Na Łysakowskiej 4 mieścił się jędrzejowski oddział Związku Ziemian, telefon numer 80.

A z adresów bardziej powszednich: dwa domu handlowe (*Dom Handlowy „Orient”, ul. Klasztorna 9*, telefon 31), dwie fabryki gipsu „Lubicha” (5) i „Renesans” (33), obie też przy Klasztornej, 25 to *J. Halprin, fabr. świec i mydła, 11-go Listopada 107*, *Fabryka wyrobów Żelaznych „Metalpol” Ickowicza i Dykermana*, bez adresu, za to z telefonem o szczęśliwym numerze 13. Pod 34 ciekawa firma: *Młyn i tartak parowy, elektrownia Renoma, Pińczowska 26, właściciele Werdygier i Szpilberg*. Syndykat Zjednoczenia Rolników w Kielcach miał dwa numery: 14 w siedzibie przy dworcu kolejowym i 42 w sklepie przy Klasztornej 6. Mojżesz Wargoń przy Klasztornej 11 importował i eksportował ziemnioty, posługując się telefonem numer 7, pod 58 dzwoniło się do Abrama Żylberszaca, właściciela składu szkła przy Rynku 9. Jędrzejowa dosyć. Dziwne tylko, że na stację kolejową dodzwonić się nie było sposobu.

Teraz powinna być Kamienna. Nie ma. A przecież od 1923 roku Kamienna była miastem. Nikt tutaj nie miał telefonu...? Trzeba to wyjaśnić.

Są za to Kielce Kr./N, 1000 numerów. Mogą poczekać.

Strona 193: Klimontów, Lb./L, 9 abonentów. Nie ma Jasieńskich (tych od Brunona: ...

*...Chcesz będziemy dziś przy gwiazdach tańczyć nago,
Dasz mi dotknąć swoich miękkich ust atlasów
Polecimy na Bleriocie do Chicago
Jeść o zmierzchu słodki kompot z ananasów...*

(tak to zapamiętałem, być może pisał ten wiersz już po swoim, awangardowo i futurystycznie, odrzucając ortografię i interpunkcję). Tuż obok Kłobuck. To ciężko dzisiaj sobie wyobrazić, ale Kłobuck Kr./L, (abonentów tylko 10, ale część urzędów łączona

przez Częstochowę) leżał w granicach województwa kieleckiego. Numer 5 *Budowa kolei państwowych Herby – Inowrocław*. O, to ciekawe – dwadzieścia lat wcześniej budowano kolej Herby – Kielce. Czy *Budowa* miała wówczas telefon?

Strona 197, coś znacznie bliższego – Koniecpol, KR./L, 18 abonentów. Numer 19: *Borowiecki Ks. Stanisław, Plebanja, Chrzęstów. 13 Dembczyk, ks. Sylman, Plebanja, Koniecpol*.

O, jest i dworzec kolejowy – nr 2. Abonentem numer 17 był Pytlewski Jan, przemysłowiec, Sieradzka 49. Końskie, Lb./N, abonentów nie ma. Popatrzmy. 31 Administracja Dóbr sukcesorów hr. Tarnowskiego, Tarnowskich 23. Byli Małachowscy, byli też Tarnowscy. Został po nich park z oryginalnymi pawilonami, oficyny pałacowe, glorieta, tylko pałacu naprawdę nigdy nie wybudowano. Ważne, że powstał ważny ośrodek przemysłu metalowego. No i od razu potwierdza się, pod numerem 75 *Albert Mendel, handel żelaza, 3 Maja 12*. Nomen omen. Bo 11 to *Kronenblum Sz, Fabryka odlewów żelaznych i zakłady mechaniczne, niklarnia* – wstyd nie znać. Ciekawe: 45 to Ławacz Synowie, fabryka drzwiczek hermetycznych, Pocztowa 7, ta hermetryka to do pieców kaflowych. Do dzisiaj można je spotkać w domach, gdzie zachowały się stare piece. I jeszcze: 21 *„Neptun” fabryka odlewów żelaznych i zakład mechaniczny, właściciel I. Mintz*, jest jeszcze odlewnia „Słowianin”, nr 12. Nie do wiary – numer 121 to, naprawdę, *Automat telefoniczny na dworcu kolejowym*. Trzy banki, ponadto *Komunalna Kasa Oszczędności, Zamkowa 6* (numer 97) i *Baron et Flieger, fabryka farb*. 42 to *Elektrownia miejska, spółka akcyjna, Małachowskich 31*. Inżynier Ruśkiewicz pochodził z Końskich (a elektrownia to jego dziecko), więc najpierw w Końskich, a zaraz potem w Kielcach założył pierwsze miejskie elektrownie. Zresztą była to postać znacząca i znana w środowisku polskich przemysłowców, wynalazców i elektrotechników na początku XX wieku. Z abonentów poruszających wyobraźnię 69 *Obóz ćwiczebny „Barycz”* (to dla miłośników wojskowości), 68 *Ochronka „Sierociniec”, Browary* (słowo, tak jest napisane), 77 *Pałac hr. Tarnowskich, Tarnowskich* (to drugie, to nazwa ulicy) – w Końskich naprawdę nie ma prawdziwego pałacu i chyba nigdy nie było. Pod 38 coś arystokratycznego *Plac ekspedycyjny hr. Tarnowskich*. A pod numerem 101 *Seminarium nauczycielskie koedukacyjne*.

Strona 260, a na niej kilkanaście numerów w Księżu Wielki k. Miechowa, Kr./L. Okolice znanych rodzin ziemiańskich: Dzianott, Heller, Fortunat Zdziechowski, a numer 12 to Pałac w Mirowie: *Wielopolski Aleksander, margrabia, Leśnictwo Książ Wielki, Zamek*. Samego margrabiego łatwiej było spotkać w pałacu w Chrobrzu.

Na dzisiaj wystarczy. Lektura książki telefonicznej jest jednak męcząca.

Oda do karty pocztowej czyli o pewnym wynalazku Henryka Sienkiewicza

Jarosław Machnicki

Rwowadiska, Oblęgorka czy Pocztówka – czyli jak to się stało, że Henryk Sienkiewicz został autorem polskiego określenia karty pocztowej.

Oda do kartki pocztowej

*W poszanowaniu ma cię dziś świat,
W albumach ozdobnych chowa,
O wynalazku niedawnych lat,
Karto pocztowa!*

*Na krańce świata roznośisz wieść,
Pozdrowień i życzeń kwiaty,
Nie dbają ludzie o twoją treść,
Tylko o szaty.*

*Na twoim grzbiecie, na tonie twem
Nieraz się Amor ukrywa.
Ty malowanym jednoczysz tłem
Dwóch serc ogniwa.*

*Do słodkich słówek dostarczasz ram,
W czułości bywasz zasobna;
Jesteś stworzona dla pięknych dam,
Wytworna, drobna.*

*O śledzienników nie dbasz ty świst,
Co się nie radzi z twych lotów;
Największy leniuch na karcie list
Napisać gotów.*

*O nowych szatach dla cię wciąż śni
Wydawców przeróżnych głowa, –
Floreat, crescat na dalsze dni.
Karto pocztowa!*

KROGULEC¹

Rok 1900 był jubileuszowy w twórczości wielkiego Polaka, pisarza i wkrótce noblisty Henryka Sienkiewicza. Kiedy rodacy szykowali się do ważnej chwili uczczenia 25-ciu lat twórczości Pisarza (22 grudnia) w Warszawie doszło do otwarcia wystawy kart pocztowych w czasie której ogłoszony został werdykt konkursu na nazwę pocztowego kartoniku nazywanego dotychczas „odkrytką” lub „korespondentką”.

¹ „Sport”, nr 48, s. 3



Pocztówka z 1900 r. wydana dla upamiętnienia jubileuszu 25-lecia pracy twórczej Henryka Sienkiewicza

Przełom XIX i XX w. był złotym okresem w dziejach karty pocztowej. Na ziemiach polskich błyskawicznie rozkwitała ona pod względem ilustracyjnym, edytorskim i ilościowym. Podobnie jak w całej Europie, na ziemiach polskich, zbieranie kart pocztowych stało się pod koniec XIX w. szeroko rozpowszechnioną modą.

Tak o nowym zjawisku – karcie pocztowej, pisała w 1900 r. Zofia Reledis na łamach tygodnika „Sport”:

„W świecie mody

(...) Karty stały się „modnemi” nie tylko jako przedmiot kolekcjonowania, jak to się działo przed niedawnym czasem z markami pocztowymi, lecz stały się „modnemi” – albowiem noszą na sobie znamię mody w ozdobach, coraz to bardziej pomysłowych, niekiedy artystycznie pięknych, pełnych dowcipu i humoru, niekiedy szkaradnych i dziwaczych. Nie mówię tu już o kartach, zdobnych w kwiaty i widoki, takich nie braknie chyba w żadnym ucywilizowanym zakątku, ale jakież nieprzebrane bogactwo widzimy kart stylowych, na przepysznym papier de Hollande z artystycznymi

aguafortami, z alegorycznymi postaciami, z reprodukcjami posągów i rzeźb znakomitych, z fotografiami ludzi sławnych i znanych, z emblematami rozmaitych sportów, z dowcipnymi rysunkami, zastępującymi często okolicznościowe słowa i t. d., i t. d.

Rozumie się, że ostatnim wyrazem karty „modnej”, – jest karta – ozdobiona modernistycznym, czy też secesjonistycznym rysunkiem, albo malowidłem. A więc pokręcone linje petzają wzdłuż i w szerz, z tych wyłaniają się płasko malowane główki, przeróżne potworne dziwolażki, – z rzadka coś istotnie „nowego” i pięknego w pomysle.

Lecz nie tylko sam rysunek tworzy modną na kartkach secesję. Na podobieństwo mody w strojach, która obecnie miesza wszystko razem, sukna, tiule, koronki, gazy, najcieńsze, z najłżejszemi, iluzje z futrami, z zuchwałą też odwagą zestawiając najmniej zgodne z sobą na pozór kolory, – tak samo na kartach ozdobnych spotykamy często dziwne zestawienie. Zestawienie rysunku z wypisaną pod nim treścią. W wyrobie kart pocztowych daleko jeszcze stoimy za innymi. Dopiero od niedawnego czasu obudził się u nas przemysł w tym kierunku; przedtem wszystkie ozdobne karty sprowadzaliśmy z zagranicy. Dziś mamy już u nas wyrabiane karty z widokami swojskimi, z podobiznami naszych znakomitości, – ba, nawet zupełnie odrębne, jak na przykład z rysunkami Kostrzewskiego, lecz są jeszcze pomysły nieliczne i, aczkolwiek – uznajemy sami, że nabywać należy przedewszystkiem rzeczy swojskie, szczególnie zaś takie, które coś o nas powiedzą na świecie, to jednak mimowiednie chwytamy nieraz za rzeczy obce dlatego, że od naszych są piękniejsze. (...)”²

Zbieracze – kolekcjonerzy zaczęli zrzeszać się w kluby. Pierwszy powstał w roku 1889 w Krakowie jako „Kółko Kartofilów” działające przy „Związku Polskich Zbieraczy Znaczków Pocztowych”. Kółko to, wspólnie z kolekcjonerami z Czech zorganizowało w Krakowie, w sierpniu i wrześniu 1899 r., I Słowiańską Wystawę

Kart Ilustrowanych. Udział w niej wzięło ponad 180 wystawców (kolekcjonerów i wydawców), którzy zaprezentowali publiczności około 30 tys. kart pocztowych. Wystawie towarzyszył konkurs na najpiękniejszą kartę pocztową, w którym 26 sierpnia – złoty medal zdobył Salon Malarzy Polskich z Krakowa za serię kart autorstwa Stanisława Tondosa. Był to zestaw 10 akwareli z widokami Krakowa. W skład jury konkursu wchodził m.in.: Jacek Malczewski i Leon Wyczółkowski.

Wystawa krakowska zrobiła ogromne wrażenie na mieszkańcach Królestwa. Już we wrześniu niektóre pisma w Królestwie nawoływały do zorganizowania, w najbliższym czasie, podobnej wystawy w Warszawie. Głównym orędownikiem był wydawca „Kraju w obrazach” Konstanty Woźniak – nagrodzony srebrnym medalem na wystawie krakowskiej”. „Biesiada Literacka” pisała: „(...) p. K. Woźniak, zapoczątkował myśl urządzenia w Warszawie wystawy ilustrowanych kart pocztowych na wzór wystawy krakowskiej (...)”

Gorący zapał i pomysł na realizację czekał jednak ponad rok. Tak dochodzenie do wystawy opisuje w 1900 r. tygodnik „Sport”:

„Pierwsza w Warszawie WYSTAWA KART POCZTOWYCH

(...) Pierwsze posiedzenie komitetu, wydelegowanego z ramienia Towarzystwa Dobroczynności odbyło się dnia... Mniejsza o datę, – nie mamy zamiaru pisać ściślej historii pierwszej w Warszawie wystawy „korespondentek”; w ogóle historią interesuje się tak mało ludzi, a nasz numer wystawowy czytać mają tysiące... Wspomnimy więc tylko, że pierwsze posiedzenie, jak zresztą i następne, odbyło się spokojnie, – między członkami harmonia panowała niczem niezmacona. (Rzadki to objaw na naszych posiedzeniach komitetowych.) P. Władysław Hulewicz zaproponował na wystawę salę ratuszową, afisze ładne i dużych rozmiarów, bilety wejścia jak najtańsze.



Awers i rewers medalu I Słowiańskiej Wystawy Kart Ilustrowanych w Krakowie

² „Sport”, nr 48, s. 11

Wnioski przyjęto jednogłośnie.

Artysta rzeźbiarz p. Jan Woydyga dał pomysł urządzenia „żywych kart pocztowych”.

Rezolucja: uprosić p. Woydygę, aby nie żałował swego wykwinnego gustu w urządzeniu tej przynęty wystawy.

P. Leon Papieski proponuje dla uniknięcia szablonu tego rodzaju wystaw zagranicznych:

1) urządzić konkurs artystyczny na projekty najpiękniejszych kart pocztowych, z uwzględnieniem w rysunku motywów swoich

i 2) rozesłać zaproszenia do wybitnych przedstawicieli nauki, literatury i sztuki ojczystej o nadesłanie na wystawę „pocztówek” [słowo pocztówka padło więc już 18 listopada – czyli na blisko dwa tygodnie przed startem konkursu na nazwę polską karty pocztowej – spostrzeżenie Jarostawa Machnickiego] z aforyzmami, rysunkami lub podpisami (co kto będzie łaskaw), następnie sprzedać te cenne dokumenty na wagę złota, za które kupić biedakom chleba i... węgla.

I tej propozycji nikt nie oponuje.

– A któż się podejmie kłopotliwej misji zbierania i segregowania zbiorów prywatnych? – zapytano.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę członka komitetu – p. Tadeusza Zaleskiego, który zrozumiał wymowne spojrzenia i sprawa załatwiona była od razu.

Nazajutrz pisma ogłosiły adres p. Zaleskiego do wiadomości zbieraczy „pocztówek”. Miły Boże, któż ich teraz nie zbiera!...Na trzeci dzień p. Zaleski w godzinach popołudniowych, między 4 i 6-tą miał w gabinecie swoim więcej klientów, niż niejeden wzięty adwokat, lub lekarz chorób nerwowych.

Tak było przez miesiąc cały. Nie jestem pewien, czy pp. Chodowiecki i Winiarski sprzedali razem tyle „kart”, ile się ich wkrótce znalazło w mieszkaniu p. Zaleskiego. Nie jestem i tego pewien, czy p. Zaleski nie myślał na serjo o zamianie mieszkania na większe... A tymczasem p. Hulewicz jeździł do władz, miewał konferencje z p. Hornem w sprawie stalug wystawowych... Pan Woydyga wyszukiwał kandydatek i matych kandydatów do żywych obrazów, a p. Papieski od rana do wieczora pisał odezwy na wsze strony świata, dopóki nie wyczerpał wszystkich adresów naszych znanych, wielkich i największych.

Nie długo też czekał na odpowiedzi. Z lekkiej ręki czcigodnej Orzeszkowej posypały się złote i brylantowe myśli, natchnione wiersze, piękne rysunki. P. Papieski niewątpliwie przez czas jakiś był posiadaczem największego zbioru autografów wielkich ludzi... Żał mi go serdecznie, że 30. listopada musiał się rozstać z temi skarbami. (...) *Sekret*³.

Pierwsza oficjalna informacja została podana 26 października 1900 r. w „Kurjerze Warszawskim”:

„Wystawa kart pocztowych. Wydział dochodów niestających Towarzystwa dobroczynności doprowadza

do skutku projektowaną na rzecz tej instytucji wystawę kart pocztowych ilustrowanych.

Komitet urządzając wystawę, zawiadamia nas:

1). że wystawa otwarta będzie w wielkiej Sali ratuszowej w połowie listopada b. r.;

2). że dopuszczone będą na nią zbiory prywatne, jak również karty, wydane przez wydawców krajowych;

3). że komitet przeznacza trzy nagrody za najlepsze zbiory prywatne, nagrody przyznane będą na zasadzie głosowania zwiedzającej wystawę publiczności;

4). że ogłoszony będzie konkurs na najlepszy projekt karty pocztowej z uwzględnieniem motywów swoich; konkurs rozstrzygnie grono zaproszonych artystów;

5). że bliższych informacji interesowanym udzielać będzie członek komisji wystawowej, p. Tadeusz Zaleski (ul. Marszałkowska Nr 60) od godz. 1-ej do 3-ej po poł. do d. 5-go listopada.⁴

Początkowo Komitet planował otwarcie wystaw w połowie listopada lecz wielość obowiązków, zadań, liczba wystawców i obiektów wystawowych przerasta wszelkie oczekiwania. Podczas prac pojawiały się też nowe interesujące pomysły. Jeden z nich został opublikowany w „Kurjerze Warszawskim” 26 listopada:

„Konkurs na dobrą nazwę. Komitet wystawy kart pocztowych prosi nas o podanie do wiadomości publicznej następującej wzmianki:

Dotychczas nie mamy jeszcze właściwego wyrazu czysto swojskiego dla określenia w jednym słowie „karty korespondencyjnej”. „Odkrytka” jest słowem źle zbudowanym, ponieważ mówi się „list otwarty”, nie „odkryty”, nazwa ta więc nie licuje z duchem języka naszego. „Korespondentka” brzmi bardzo z cudzoziemska.

Otóż komitet ogłasza nagrodę w postaci pięknego albumu do kart pocztowych temu, kto do d. 7-ego grudnia br. utworzy wyraz jednolity, czysto polski dla określenia pojęcia karty pocztowej. (...) Konkurs rozstrzygnięty będzie w ostatnim dniu wystawy.”⁵

28 listopada przystąpiono do przygotowania ekspozycji wystawowej, którą uroczystie otwarto w sobotę 1 grudnia 1900 r. o godz. 17.00. Uroczystego otwarcia dokonał prezes Towarzystwa Dobroczynności książę Maciej Radziwiłł. Oberpolicmajstra warszawskiego reprezentował rotmistrz Lewicki. Wystawa była otwarta codziennie od godz. 11 do 9 wieczorem. Od godz. 18.00 przygrywała orkiestra Fabryki Garbarskiej Temlera i Szwedego. Tak ekspozycję opisuje „Kurjer Warszawski” z 2 grudnia:

„Wystawa kart pocztowych.

Organizatorowie wystawy kart pocztowych mają widocznie wiele pomysłowości i smaku, skoro umieli 60,000 kart pocztowych rozstasować bądź symetrycznie, bądź w nieładzie artystycznym w dwóch salach ratusza, aby z ciekawości ludzkiej do oglądania tych różnych postanek, z krańca na kraniec świata wieści niosących, wyciągnąć korzyść dla ubóstwa i nędzy, pod płaszcem

³ „Sport”, nr 48, s. 1-3

⁴ „Kurjer Warszawski” 1900, nr 296, s. 4

⁵ „Kurjer Warszawski” 1900, nr 327, s. 9

Towarzystwa dobroczynności garnącej się po pomoc do możniejszych.

Po raz to pierwszy drobna karta pocztowa przyjęta na siebie rolę postanki dobroczynnej i w różnych swych formach, rodzajach i stylach przyznać trzeba, że odgrywa rolę tę szczęśliwie. Od publiczności zaś zależy poprzeć nowe, niebywałe dotąd u nas widowisko i uwieńczyć je najważniejszym w tym razie powodzeniem – materialnem, aby wydziałowi dochodów niestatych W. T. D., oprócz zadowolenia moralnego, dać możność zadowolenia biedaków.

Pomimo wydanego na otwarcie wystawy katalogu, który pomieszcza wystawie tej poświęcony numer *Sportu*, nie możemy się w przeglądzie doraźnym trzymać się kolei katalogowej. Obejrzymy więc wystawę kolejną nasuwających się ekranów dwustronnych, ustawionych w Sali ratuszowej ukośnie dwoma rzędami do okien i poprzecznie pod ścianą od Sali portretowej.

Przedewszystkiem nieopodal drzwi wchodowych przegląda się w jednym z wielkich luster sali ekran w stylu „secesji”, zielonym z brązowym szparowaniem stylizowanym. Jest to najgustowniejszy całej wystawie postument, zastłonięty kartkami również w arabeskach z pewnym pomysłowym smakiem artystycznym, widocznie piękną narysowaną rączką. A i w samym doborze kartek barwami, formami ich, rodzajami i grupami znać gust wytworny niewieści o subtelny smaku. Nic dziwnego, bo wszakże to ekran panny Romany Święckiej, córki naszej znakomitej »Popielki«.

Panna Romana Święcka z wielkiem snadź zamiłowaniem traktuje sport „kartkowy”, skoro na jej ekranie znajduje się wiele unikatów, jak akwaforty oryginalne, beljograwiury z papierów listowych na karty przerobione, kolekcję ślicznych główek malarza czeskiego Muchy, cykl najnowszych kart sportowych wiedeńskich i *haute nouveoute* w tej dziedzinie: kolekcję liljową wiedeńską, wielce modernistyczną a harmonijną. Jest tu tych kartek 1,600 przeszło, a wszystkie stemplowane i zapisane, co podnosi ich wartość kolekcjonistyczną.

Rozpoczyna szereg ekranów po prawej stronie Sali barwna kolekcja 250 kart p. J. Zaleskiego. Po drugiej stronie mieszczą swe okazy p. S. M. i p. Wacław Brun. Na dalszych ekranach: zbiór p. Haliny Hochedlinger w okazałej również liczbie 1,500 sztuk, wśród których wyróżniają się kopje ze znanych obrazów; zbiory p. M. Piotrowskiego i bardzo liczny p. Czarneckiej z ciekawymi formatem i rodzajem kartkami amerykańskimi w sporej grupie.

Na ekranie p. Janiny Łasińskiej widzimy wiele rzadkich okazów, a piękny jest zwłaszcza cykl ilustracji z reprodukcjami Andriollego do „Pana Tadeusza”, cykl „Altdeutsch” i scen humorystycznych. Po kolekcji p. Zielińskiej idzie duży zbiór p. Glücksmann, na tle atlasowem, gdzie znajdujemy ciekawe cykle kart egipskich, paryskich oraz reprodukcji klasycznych arcydzieł rzeźby włoskiej i starogreckiej.

Na ekranach, ustawionych w poprzek sali widnieją zbiory: p. Jadwigi Idzikowskiej, p. Piotrowskiego, który

dał pięknie dobrany cykl obrazów mistrzów szkół holenderskiej i flamandzkiej p. Samuelshona, przeważnie widoki. Panie Rudlickie zapytują w zdaniu z liter kartkami ułożonych: „Czy moje kartki?” Odpowie na to wyrok najwyższego trybunału „jury” – publiczności.

Zajmującą jest tutaj kolekcja kart p. Lucjana Rzecznika z wyklejoną z nich samych dużemi literami dewizą: „Lećmy i nigdy nie zniżajmy lotu!” P. Aleksander Chrzanowski wypisał kartkami nad rzymską cyfrą „XXV” jako godło jedno, ale wiele mówiące nazwisko: „Sienkiewicz”; wystawił on kilka dużych widoków miast i wiele kartek kolorowych. Pp. L. S. Kapłanowie pokazali między innymi cykl obrzędów i zwyczajów izraelskich.

Ekran p. Marii Balińskiej i panny Jadwigi Chomętowskiej nader gustownie ułożono na tle żółtem w konturach secesjonistycznych; na ekranie zaś p. Katarzyny Rudnickiej znajdujemy ciekawą i rzadką kolekcję, zwaną „*Lotus bleu*” wśród estetycznie ułożonych kartek wielokrotnie powtarzające się na różnych głośnie: „*Quo vadis*”. P. Eustachy Goldfeber pomieścił w tym samym szeregu kolekcję na własnym ekranie.

Przechodzimy na lewą stronę sali, gdzie aż trzy ekrany podwójne zajął imponujący ilościowo zbiór kart, przeważnie z widokami p. Aleksandra Henry’ego, nadesłany aż z Petersburga; widzimy tu ładne pejzaże egzotyczne. Inne ekrany w tej grupie zajmują zbiory: p. Karoliny Klopfert, Adolfa Pańskiego Friede i Loli Awiczówny, która ułożyła z kart w konturach obrysowaną gondolę w kształcie tabędzia, dalej Filipa Lipca, Leona Rundo, Izydora Katza i Maksymilianowej Baruchowej.

Na ekranie p. Heleny Lewentalówny i p. Stefana Lewentala oprócz wielu zreprodukowanych na kartach obrazów Rembrandta i innych dawnej szkoły, zaciekawiają figury z humoreszczynami twarzami, w jakie zamieniono różne szczyty górskie, tudzież pośrodku odtworzone z akwareli ilustracje do „*Quo vadis*” i piękne klasyczne motywy pompejańskie.

Zanim opuścimy salę Aleksandryjską, najdłużej zatrzymujemy się przy ekranie środkowym, gdzie trzeba nie tylko patrzeć, ale i czytać. Tutaj bowiem przeszło 300 utalentowanych, znanych i znakomych ludzi pióra, otówka i pędzla złożyło „swych uczuć kwiaty i swych myśli przędzę” w ofierze miłosierdziu publicznemu na skromnych kartkach bądź z własnymi portretami, bądź z własnoręcznymi rysunkami czy obrazkami. Pośrodku tych gwiazd naszej literatury i sztuki złotista cyfra XXV z laurem oznacza honorowo miejsce, gdzie na 4-ech kartkach z portretami Sienkiewicza – jubilata, pilny czytelnik znajdzie cztery aforyzmy autora „*Krzyżaków*”.

Przytoczymy je gwoli upamiętnieniu daru Sienkiewicza dla wystawy:

„Nie wolno dopasowywać kobiety do jakichś z góry powziętych pojęć o miłości, bo to pojęcia, jak dzieci, dopiero z kobiety mogą się rodzić.”

A obok:

„Śmierć jest bezczelna wobec kochania, które idzie za grób i męża drogą duszę zabrać, ale nie może

zabronić nam jej kochać i nie może jej skazać, owszem przebóstwiała ją i czyni nie tylko kochaną, zle i świętą.”

Dalej:

„Nieszczęście ma to do siebie, że stoi, a człowiek czy chce, czy nie chce, musi iść w przyszłość, więc odchodzi od niego coraz dalej. Wlecz się wprawdzie za człowiekiem nic bólu i pamięci, ale coraz cieńszą, bo siła rzeczy jest taka, że żyje się jutrem.”

Wreszcie ostatni aforyzm:

„Głupoty ludzkiej nie można brać w rachubę, albowiem jest nieskończona.”

Ostatnią ciekawością dużej sali jest ekran „konkursowy”, umieszczony pod galerią orkiestry, zamienioną na scenę z błękitną zastawą, z po za której p. Jan Woydyga nakazywać będzie oczom wieczornych gości wystawowych „żywe karty pocztowe” w obrazach, oświetlonych sztucznie przez „Promień”.

Na ekranie konkursowym zawieszono projekty winiet do kart pocztowych, które zgłosili artyści: Pp. Tadeusz Rybkowski ze Lwowa, „Vox” z Krakowa, Jerzy Warchałowski z Krakowa, Edmund Perle z Warszawy, Paweł Rosen z Warszawy, Adam Chromiński z Warszawy, A. Kozakiewicz z Warszawy, panna H. R. z Warszawy, „Janina” z Krakowa, „Niewiadomy” z Krakowa, Feliks Cichocki z Warszawy, „T” z Warszawy, „Pobóg” z Warszawy, „Marja Tysza” z Warszawy, Kazimierz Wejtko z Odessy i Jan Perdziński z Warszawy.

W tym samym dziale wydawnictwo »Kraju w obrazach« dało utwory pędzla i ołówka: Juljana Holzmüllera,

Ludwika Stasiaka, J. Kruszewskiego, znakomitego humorysty krakowskiego i Weina („Jojna Firutkes”), wszystkich z Galicji.

Zbiory w sali uzupełniają: cztery albumy p. ze Stefani ze Śliwińskich Redowej z kolekcjami kart secesjonistycznych i szklana witryna p. Romana Barabasza z autografami wielu artystów muzyki, opery i dramatu oraz sportsmenów. Jest tu też interesująca filatelistów kartka ze stemplem pocztowym chińskim.

Salę Sztandarową zajęto siedmiu naszych nakładców i wystawców kart ozdobnych pocztowych.

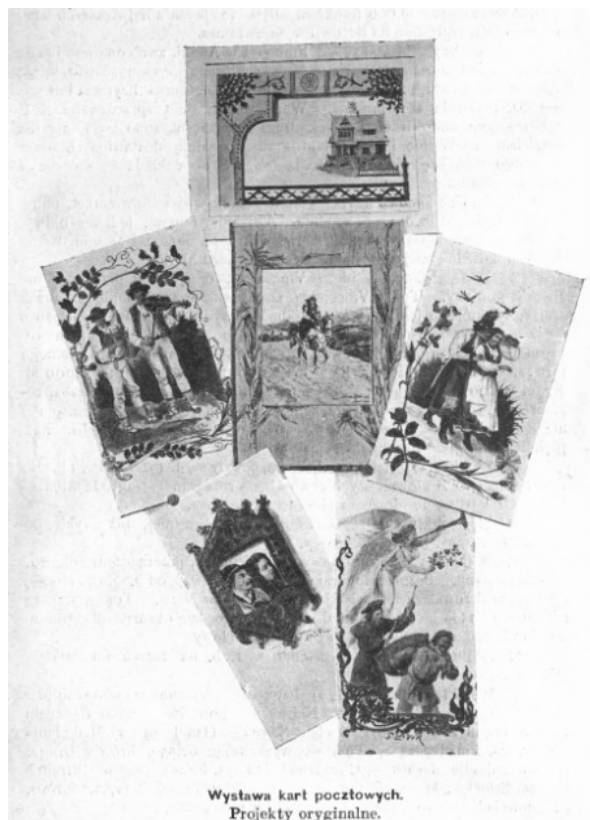
P. Semadeni z Lublina wystawił karty lubelskie, p. M. Arct wydawnictwa lwowskie Altenberga z typami góralskimi i galicyjskimi, rzeźbami z nowego teatru we Lwowie i nowym cyklem 12 kart humorystycznych kolorowanych Fr. Kostrzewskiego.

P. Bronisław Mieszkowski pokazał ostatnią u nas nowość w zakresie reprodukcji: karty haftowane kolorowane i »nasypywane«, błyszczące wszystkimi barwami drogich kamieni, bardzo ładne zdjęcia typów, odtwarzanych przez jednego z monogolistów i portret Sienkiewicza w obwódce z emblematów rycerskich.

Najlichniesze są tu karty, wydane nakładem firm St. Winiarskiego i A. Chodowieckiego. Pierwsza wystawiła 400 rodzajów kart swojskich, przeważnie warszawskich, ogólnie znanych, na panoramicznym ruchomym ekranie i w gablocie. P. A. Chodowiecki zaś zgromadził w gustownym układzie własnego nakładu 50 widoków Warszawy, 20 portretów znakomości literackich i artystycznych, podobizny pomnika Mickiewicza w modnym rodzaju



Ekran p. Marii Tryska „Sport”, 1900, nr 48, s. 2



Warszawska Wystawa kart pocztowych, „Sport”, 1900, nr 48, s. 14



Warszawska Wystawa kart pocztowych – prezentacja kart wydanych przez St. Winiarskiego w Warszawie, „Sport”, 1900, nr 48, s. 22, oraz jego reklama zamieszczona w tym samym numerze „Sportu” na s. 29

»Wedgwood«, cykl »Życia warszawskiego«; nakłady p. L. W. Niemojewskiego; śliczne wzory fotograficzne do reprodukcji na kartkach p. Łukasza Dobrzańskiego typów wschodnich angielskich i widoków Dalmacji; 12 heljograwiur ze scenami z życia galicyjskiego oraz wiele widoków, oddanych w fototypji.

Na ekranie p. Chodowieckiego wydawnictwo »Kraju w obrazach« przedstawiło widoki Galicji i Królestwa Polskiego, grupy aktorów teatrów lwowskiego i krakowskiego, cykle kartonów: Batowskiego, Kossaka i Tetmajera, ilustrujących *Trylogię* i *Krzyżaków* oraz nową kurtynę lwowską Siemiradzkiego. Tutaj również firma lubelska p. L. Kiesewettera reprezentuje skromnie prowincję w widokach Lublina, Nowej Aleksandrii, Kazimierza, Sandomierza, Natęczowa itd.

Wreszcie w sali tej wystawiły swoje karty dwie formy handlowe.

Zagranicę reprezentuje na wystawie kart pocztowych Ligue patriotique contre l'alcolisme a Bruxelles, której sekretarzem jest rodak nasz p. Henryk Merzbach, podpisany na *pasie parioout* witryny wraz z pp. Le Jenne'm i drem de Vaucleroy.

To, czego w pobieżnym tym przeglądzie czytelnik nie znajdzie, uzupełni mu okolicznościowy wystawowy numer *Sportu*, w którym znajdująca treść kojarzy się udatnie z reprodukcjami ciekawszych grup kartek pocztowych, zwłaszcza z zakresu autografów ze świata pióra, pędzla i i kulis. Z.J.N.⁶

Podczas wystawy przyznano następujące nagrody:

„Jury pierwszej w Warszawie kart pocztowych, złożone z artysty malarza p. M. Wywiórskiego, artysty rzeźbiarza p. J. Woydygi i członków komitetu wystawy pp. W. Hulewicz, L. Papińskiego o T. Zaleskiego, po dokładnem obejrzeniu 1) wystawionych prac konkursowych na projekty kart pocztowych; 2) zdjęć fotograficznych na kartach pocztowych i 3) zbiorów nakładców polskich, zdecydowało przyznać następujące nagrody wystawcom:

I. W dziale projektów artystycznych:

1) Dyplom honorowy i wielki medal złoty: artyście malarzowi, p. Tondosowi z Krakowa, za ogólną działalność jego w odtwarzaniu na kartach pocztowych wysoce artystycznych widoków akwarelowych Warszawy, Krakowa i Lwowa.

2) Wielkie medale złote: pp. Ludwikowi Stasiakowi z Bochni, za artystycznie wykonane oryginalne pomysły i p. Jerzemu Warchałowskiemu z Krakowa, za bardzo oryginalny, subtelnie wykonany pomysł p.t. »Styl zakopiański«, w którym artysta potączył z wielkim smakiem w jedną harmonijną całość różne motywy stylu swojskiego.

3) Medale złote: p. Tadeuszowi Rybkowskiemu ze Lwowa, za prześliczną akwarelkę, przedstawiającą „Hucutkę” na koniu, ujętą z gustowną winietką o motywach swojskich. P. Janowi Perdzynskiemu (Pobóg) z Warszawy, za dwa piękne projekty akwarelowe o tematach swojskich, szczególnie za jeden z nich, przedstawiający ułana z dziewczyną, i p. Kazimierzowi Wejtce z Odesy, za odtworzenie w subtelnie malowanych akwarelach wioski litewskiej z wielkim poczuciem jej przyrody.

4) Duży medal srebrny: p. Cieślowskiemu, za ładne widoki akwarelowe Gdańska i inne.

5) Medale srebrne: p. Edmundowi Perlemu, za szereg akwarel o tematach swojskich i p. Karolowi Millerowi, za dwie akwarelki, przedstawiające typy ludowe.

6) Medal brązowy: p. Helenie Rakowieckiej, za oryginalny pomysł odtworzenia na karcie pocztowej ułana.

7) Listy pochwalne: p. Marji Tyszka, za obrazek akwarelowy, odtwarzający część starego grodu z uwzględnieniem strojów historycznych. P. St. Prad-Kiśniewskiej (6), za trzy akwarelki o motywach swojskich i Niewiadomemu z Krakowa, za typy ludowe na projektach p. t. »U źródeł Wisty«, z „Tatr” i inne.

II. W dziale zdjęć fotograficznych:

1). Wielki medal złoty: p. Br. Mieszkowskiemu z Warszawy, za artystyczne odtworzenie na kartach pocztowych, przedewszystkiem, typów ludowych, a także widoków Warszawy i różnych osobistości krajowych.

2). Medal złoty: p. Łukaszowi Dobrzańskiemu, za piękne odtworzenie na kartach pocztowych wybranych z wielkim poczuciem artystycznym krajobrazów swojskich.

3). List pochwalny: p. Dembno -Krzyżanowskiemu z Serpuchowa (gub. Moskiewska), za bardzo udatne zdjęcia fotograficzne na karcie pocztowej krajobrazu.

III. W dziale nakładców kart pocztowych ilustrowanych:

⁶ „Kurjer Warszawski” 1900, nr 333, s. 3 i 4

1). Wielki medal złoty: p. Altenbergowi ze Lwowa, za wybitną działalność w rozpowszechnianiu kart pocztowych ze scenami z Trylogii sienkiewiczowskiej;

2) p. Niemojewskiemu za także popularyzowanie arcydzieł Grottgerowskich i p. R. Barabaszowi (firma St. Winiarski), przede wszystkim za także popularyzowanie rysunków Andriollego, Kostrzewskiego i innych artystów swojskich, tudzież za rozpowszechnienie kart pocztowych z widokami Warszawy i różnych znakomitości.

3). Wielki medal srebrny: p. Edwardowi Chodowieckiemu z Warszawy, za karty pocztowe z pięknymi zdjęciami fototypicznymi Warszawy i różnych znakomitości.

4). Medale srebrne: p. Kamilowi Braunowi z Tarnowa, za wydanie pięknych kart z widokami Zakopanego i p. Arctowi, za karty z akwarel Kostrzewskiego.

5). Listy pochwalne: pp. Kiesewetterowi i Semadeniemu z Lublina, za wydawnictwo kart pocztowych z widokami Lublina i J. Godlewskiemu, za karty z widokami Nowego Sącza.

6). Wzmianka pochwalna; p. Poznańskiemu z Rawy, za wydanie kart pocztowych z widokami Rawy.⁷

Równie ciekawy był przebieg i wynik konkursu na polską nazwę karty pocztowej. Wystawa zbudziła powszechne zainteresowanie na ziemiach polskich i zagranicą. M.in. informacje dotyczące wystawy zamieszczał „Goniec Łódzki”⁸: „Na konkurs ogłoszony przez komitet wystawy kart pocztowych na wynalezienie nazwy jednolitej a czysto polskiej dla „karty pocztowej” nadesłano aż 400 listów z projektami nazwy. Pomiędzy nimi są niektóre bardzo oryginalne nazwy, jak np.: „Naguska”, „Bazgrota”, „Zdonmokart”, „Donośnica”, lub „Bezkonwernik”, „Gonka”, „Donoska”, a nawet ktoś zaprojektował nazwać kartę pocztową: „Oblęgorka”.

7 grudnia „Kurjer Warszawski” przedstawia następujący protokół: „Wynik konkursu.

Komitet wystawy kart pocztowych nadesłał nam następujący protokół, spisany d. 6-go grudnia:

Członkowie redakcji „Słownika polskiego”: Jan Kartowicz, Ludwik Korotyński, Adam Antoni Kryński, Władysław Niedźwiedzki i Wacław Taczanowski, wskutek prośby komitetu pierwszej w Warszawie wystawy ilustrowanych kart pocztowych o wybranie z pośród nadesłanych temuż komitetowi wyrazów dla określenia karty pocztowej nazwą jednolitą – wyrazu, mogącego zastąpić niezgodny z duchem języka polskiego, a często używany wyraz: „odkrytka”, jak również wyraz, brzmiący z cudzoziemska: „korespondentka”, w obecności projektodawcy konkursu, członka komitetu wystawowego Leona Papieskiego, odczytali wszystkie nadesłane komitetowi na konkurs wyrazy w ilości 296-ciu i uznali, że najbardziej udatnemi z wyrazów owych i najlepiej brzmiącemi są: „Listówka”, „Liścik”, „Otwartka”, „Pisanka”, i „Pocztówka”, i że te poddać należy pod ogólne głosowanie zwiedzających wystawę publiczności.

⁷ „Sport”, 1900, nr 49, s. 1-2

⁸ „Goniec Łódzki”, 1900 r., nr 280, s. 2

Jan Kartowicz, Ludwik Korotyński, Adam Antoni Kryński, Władysław Niedźwiedzki i Wacław Taczanowski.

Sądząc z nadesłanych członkowi komitetu, p. Papieskiemu, 796 listów, wybrane przez członków redakcji „Słownika polskiego” wyrazy mają najwięcej zwolenników wśród projektodawców; niektóre z nich zalecało po kilkadziesiąt osób. Wyraz „Listówka” pierwszy zaproponował komitetowi p. Andrzej R., „Liścik” p. J. K., „Otwartkę” p. Anna L., „Pisankę pani Urb. I „Pocztówkę” pani Marja z B.

Komitet nadsyłając nam to sprawozdanie, prosi o zaznaczenie, że jest on odpowiedzią na umieszczony we wczorajszym numerze *Kurjera Warszawskiego* list „kobiety”, która widocznie celu konkursu nie zrozumiała.

Już po odbytej sesji członków redakcji „Słownika polskiego” p. Papieski otrzymał z Konstantynopola od pani Eg. List z propozycją następującą, którą ze względu na oryginalność przytaczamy:

„Quo vadis” znaczy przecie: „Gdzie idziesz?” Alboż t.zw. „Kartka korespondencyjna” inne rodzi pytanie? To samo: „Quo vadis”. Niech więc „Quo-vadiska”, albo „Kwovadiska” raznosi chwałę Henryka Wielkiego po wszystkie czasy i po wszystkich krajach, gdzie tylko wystana być może. Niech „Quo-vadisa” będzie jednym więcej listkiem w Jego jubileuszowym wieńcu, skoro nie jesteśmy w stanie uwić go należycie po tym...”⁹

Wśród określeń karty pocztowej znalazły się m.in. następujące słowa: „Bezkopertka, Czytanka, Dopisanka, Dopisnica, Głośna, Głośnica, Jawka, Jawna, Jawnik, Jawniczek, Jawnica, Jawnostka, Jawnolist, Jawnopis, jawnoskrypt, Jawnomysłnik, Jednolitka, Jednomarkówka, Kartówka, Kartocha, Kartopis, Kartolist, Kartelus, Kilkostówka, Krajówka, Kurjer, Kurjerka, Latawiec, Listek, Listka, Listówka, Liścik, Liścianka, Listeczka, Listotwór, Listowstręt, Listkartka, Lotka, Nagopism, Nalistek, Nalistka, Nibylis, Nieskładanka, Niezalepka, Niezalepianka, Nieklejanka, Nowiniarka, Ościeżna, Otwartka, Otwartnik, Otwartnica, Otwartolist, Otwartomysłnik, Pisemka, Pisemko, Pismówka, Pisanka, Pocztówka, Pocziarka, Poczkarta, Pocztakarta, Pocztarka, Pośpieszła, Pośpieszna, Postanka, Polanka, Pótliszek, Pótlisówka, Pośrednik, Pozdrowek, Pozdrowka, Przelotka, Przestanka, Przesyłanka, Rozwartka, Stanka, Smieciucha, Szybówka, Ujawniona, Wiadomostka, Wieść, Wszechlist, Wyczytka, Wystanka, Zapiska, Zawiadek, Zawiadomka, Zawiadówka i Zwiastunka.”¹⁰

Podczas głosowania publiczności, na zalecane przez członków redakcji „Słownika polskiego” wyrazy-określenia karty pocztowej, przy pomocy oddawania głosów na kartach pocztowych – wygrała „pocztówkę” (141 głosów). Dalsze miejsca zajęły „otwartka” (76), „liścik” (50), „listówka” (23) i „pisanka” (19). Autor zwycięskiej nazwy ukrywał się pod pseudonimem Marja z B. lub M. z B. Był nim sam Henryk Sienkiewicz, który otrzymaną nagrodę w postaci albumu na pocztówki przekazał na cele dobroczynne.

⁹ „Kurjer Warszawski”, 1900, nr 338, s. 4

¹⁰ „Sport”, nr 48, s. 9 i 10

Wystawa odniosła niebywały sukces, zwiedziło ją przeszło 16 000 osób. „Tylko 8 grudnia było ich 3 tys. Poczta czynna na wystawie wystąpiła 30 tys. kart pocztowych. Pamiątkowej karty wystawowej wystano 5 tys.”¹¹ Ostatniego dnia w niedzielę, by zapobiec tłokowi podczas licytacji autografów podniesiono cenę biletu na 40 kop. Wpływ z licytacji kart z autografami osiągnęły 300 rb. Najwyższą cenę – 32 ruble – osiągnęła pocztówka z autografem Salomei Kruszelnickiej dalej Sienkiewicza 15 rb. Inne autografy osiągały ceny od 5 kopiejek do 10 rubli. Dużym powodzeniem cieszyły się karty z aforyzmami Sienkiewicza, St. hr. Tarnowskiego, Z. Sarneckiego oraz własnoręcznymi rysunkami malarzy Kossaka i Siemiradzkiego.

Wystawę zamknięto 9 grudnia. Organizatorom czyli Warszawskiemu Towarzystwu Dobroczynnemu przyniosła 2 500 rb. Dochodu. Trzy dni później w „Kurjerze Warszawskim” ukazało się podziękowanie komitetu, w którym czytamy: „... tak moralne, jak i materialne powodzenie wystawa zawdzięcza przedewszystkiem ludziom znanym na polu nauki, literatury i sztuki, którzy nie odmówili prośbie komitetu uświetnić wystawę nadestaniem swoich cennych autografów, lub rysunków własnoręcznych, będących główną siłą przyciągającą dla publiczności, (...), zwraca się z podziękowaniem do wszystkich wystawców prywatnych, którzy nie bacząc na przewidywane z góry uszkodzenie zbiorów, udzielili takowych komitetowi, (...), pp. nakładom pocztówek za odstąpienie prawie po cenie kosztu kilkunastu tysięcy pocztówek ilustrowanych dla sprzedaży na rzecz biednych; wreszcie tym z pp. studentów którzy tak czynnie i skutecznie dopomogli członkom komitetu w rozmieszczeniu zbiorów i zachowaniu porządku w salach podczas trwania wystawy.”¹²

Bolesław Prus wykipił konkurs na nazwę karty pocztowej w szyderczym wierszyku:

*Nalistek, Oszczędnica,
Kartocha, Dopisnica,
Niedyskretna, Odstonka,
Naguska, Ogląda,
Wyczytki przy Zawiadkach,
Wreszcie – Łatki przy Gadkach...*

Także inni autorzy skreślili kilka strof do i o karcie pocztowej:

*Do karty pocztowej. (Sonet)
List by trzeba napisać... List! Ale czy warto
Drgnienie jaźni oblekać w zdań wyblakłych wióry?
List – to forma przeżyta; strzęp literatury;
Hańba duszom w rozłące słowa mierzyć kwartę.*

*Kilka wyrazów starczy; – choćby je zatarto,
Nic nie szkodzi: winieta, sam adres u góry
Będą symbolem myśli mej... Bożek Merkury
Podstuchał te zwierzenia i – stałaś się karto!*

I zwyciężasz! Przed tobą koperta i ćwiartka

*Występują; – jak liście, tak spadają listy;
A ty już się w dzieł sztuki wkręcasz towarzystwo.*

*Lecz gdy j tak w lśniącej łusce mkniesz, by rzeka wartka,
Czy wiesz, jaki przed tobą kroczy w dali mglistej
Sojusznik? – Wielkie, ciężkie, potworne lenistwo!
Ignacy Baliński¹³*

Zbieracze kart

*On karciarzem był pocztowym,
Tkwiał w nim taki duch uparty,
Że gdzie tylko się poruszył,
Wciąż pocztowe zbierał karty.*

*Miał ich ładną już kolekcję,
Różnitych typów, wzorów;
Z widokami, bez widoków,
Z rysunkami bóstw, amorów.*

*Ona również pono miała
Zbiór pocztowych kart bogaty,
Moc piękności na nich było,
Wszelkie style, wszelkie kwiaty.*

*Kiedy ujrzał jej kolekcję,
Stanął słupem młodzian dziarski
I rzekł: „Takich zbiorów nie ma
Chodowiecki, ni Winiarski!*

*„Widzę w tobie bratnią duszę,
Czuję miłość od tej pory,
Więc pójdziemy do kościoła
I... potączmy nasze zbiory!”*

*Niezaadługo świat zdumiony
Ujrzał nową parę czułą:
Potączyli swoje zbiory,
No, i przy tem ręce stulą.*

*Mknęły chwile jaknajpiękniej
Wśród uroczych dni miodowych,
Tak że brak im było czasu
Na zbieranie kart pocztowych.*

*Zwolna werwa ich znikata
I traciła wciąż na sile;
Dziś zbiór jego w kurz porasta.
Jej kolekcja tonie w pyle.*

*Nie tknęli się kart pocztowych,
Żyjąc z sobą już rok czwarty,
A natomiast w wspólnych zbiorach
Przechowują... żywe karty.
K-c.¹⁴*

¹¹ „Kurjer Warszawski” 1900, nr 340, s. 5

¹² „Kurjer Warszawski” 1900, nr 343, s. 6

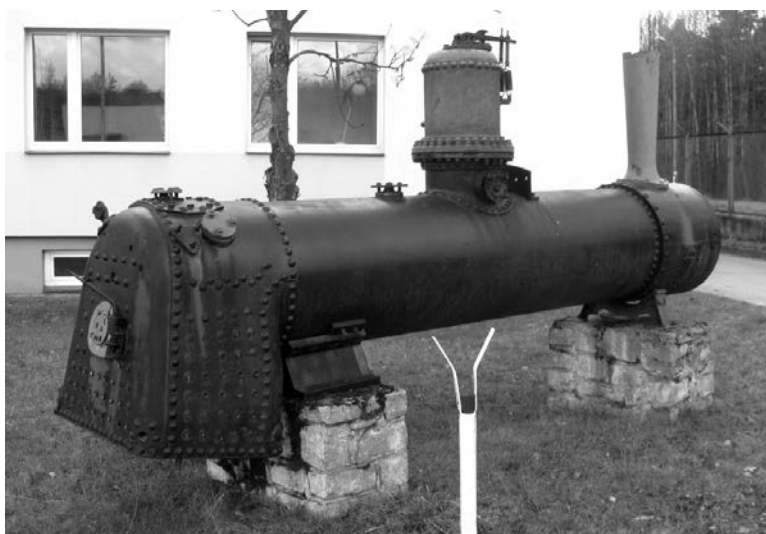
¹³ „Sport”, nr 48, s. 1

¹⁴ „Sport”, 1900, nr 49, s. 8

Skrzetlami zwykło określać się północno-zachodnią część Kielc, położoną między ul. Łódzką i Hubalczyków a linią kolejową Warszawa – Kraków. Jest to obszar przemysłowy. W zachodniej jego części, u podnóża zalesionej góry Buk znajdują się zabudowania kieleckiej elektrociepłowni, wyróżnionej w krajobrazie miasta wysokim na 213 metrów, biało-czerwonym kominem. Idąc ulicą Hubalczyków w kierunku Gruchawki mijamy bramę wjazdową na teren zakładu, w pobliżu której wyeksponowano ciekawy, acz mało znany zabytek techniki – kocioł parowozu wąskotorowego.

Długi na blisko cztery i pół metra obiekt spoczywa na dwóch murowanych podstawach. Jego przednią część stanowi cylindryczna dymnica¹ (średnicy 79 cm – nieco większej od znajdującego się za nią walczaka), od frontu zamknięta przez osadzone zawiasowo i zabezpieczone ryglami (z czterech zachowały się dwa) okrągłe drzwi. Na jej bokach widoczne są prostokątne otwory po rurach paroodlotowych (obecnie zaślepione), w górnej części znajduje się wysoki na ok. 90 cm stożkowaty komin otworami po iskrochronie u wylotu (górna część uszkodzona, obecne ślady naprawy). Na płaszczu dymnicznym z lewej strony komina zachował się fragment rury dmuchawki parowej. Dalszą część obiektu stanowi walczak z wydatnym zbieralnikiem pary (wys. ok. 80 cm), za którym znajduje się zaślepiony otwór zasilania wodnego kotła. Przed zbieralnikiem widoczny masywny, poprzeczny płaskownik. Sam zbieralnik pary złożony jest z dwóch części, połączonych śrubami za pośrednictwem grubych kotnierzy. Na nim widzimy kompletnie zachowany mechanizm dwóch sprężynowych zaworów bezpieczeństwa. Po prawej stronie, poniżej wspomnianych kotnierzy – widoczny zaślepiony otwór do zewnętrznej przepustnicy pary, po stronie przeciwnej, powyżej – również zamknięty otwór od zaworu eżektora parowego Körtinga². Za walczakiem znajduje się pionowy stojak³, z licznie wystającymi zeń zakończeniami zespórek. W części

stropowej obecny jest zakryty otwór po centralnej odbiornicy pary oraz rozmieszczone po bokach duże otwory wyczystkowe⁴. Z prawej dodatkowy element zabezpiecza miejsce, w którym osadzona była podstawa dźwigni przepustnicy. W dolnych częściach narożników ściany drzwiczkowej i podgardlanej widoczne cztery małe otwory wyczystkowe. Zachowały się drzwiczki paleniskowe wraz z dźwignią. Nad nimi znajduje się kolejny mały otwór wyczystkowy, zaś powyżej – słabo czytelny ślad po okrągłej tabliczce producenta (średnica 75 mm). W górnej części ściany drzwiczkowej, po prawej stronie – dwa otwory po kurkach probierczych, zaś po lewej – fragment przewodu z kotnierzem oraz otwór po płaskim wodowskazie Klingera⁵.



Kocioł parowozu HF na terenie kieleckiej elektrociepłowni. Fot. autor

Jak udało się ustalić autorowi⁶ jest to kocioł parowozu wąskotorowego Tx-1125 typu HF. Maszynę tę skonstruowano w 1904 roku w firmie *Henschel & Sohn* z Kassel na zamówienie niemieckiej armii. Pierwsze 8 egzemplarzy wyprodukowano w roku następnym. Pozytywne doświadczenia z nowymi lokomotywami skłoniły władze wojskowe do dalszych

⁴ Otwory zapewniające dostęp do wnętrza kotła podczas jego czyszczenia.

⁵ Fleszar S. 1954. *Parowóz*. Wydawnictwa Komunikacyjne, Warszawa. Passim; Pokropiński B. 2000. *Muzealne parowozy wąskotorowe w Polsce (dla toru szerokości 600 i 630 mm)*. Muzeum Ziemi Pałuckiej, Żnin, s. 28–30.

⁶ Typ lokomotywy rozpoznano na podstawie wyglądu i wymiarów kotła, natomiast konkretny egzemplarz maszyny (Tx-1125) zidentyfikowano dzięki charakterystycznemu uszkodzeniu komina, które porównano ze zdjęciem parowozu z 1971 r.

¹ Przednia część kotła służąca odprowadzaniu spalin.

² Urządzenie parowe służące do nabierania wody.

³ Część kotła, w której zlokalizowana jest skrzynia ogniowa z paleniskiem.

zamówień, których realizacją zajęty się także inne przedsiębiorstwa. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej rozpoczęto ich produkcję na skalę masową⁷. Pierwotnym odbiorcą maszyn tego typu były oddziały wojsk kolejowych (*Eisenbahnpionieren*), których zadaniem był transport żołnierzy i zaopatrzenia w warunkach wojennych⁸. Parowozy te określano jako *Brigadelokomotiven* (niem. lokomotywy brygadowe), w skrócie *Brigadelok*, a ponieważ wykorzystywano je na wojskowych kolejach polowych (*Heeresfeldbahn*) pełna ich nazwa brzmiała *Brigadenlokomotiven für Heeresfeldbahn* (w skrócie *BHF* lub *HF*). Podczas wojny maszyny te eksploatowano na wszystkich kierunkach działań niemieckiej armii, także w koloniach⁹. Po zakończeniu działań wojennych na terytorium Polski znalazło się ponad 180 lokomotyw HF, w następnych latach zakupiono dalsze 50 egzemplarzy (wyprodukowanych po 1918 r.). W okresie międzywojennym Polskie Koleje Państwowe eksploatowały je pod oznaczeniem *D* i numerem danej dysekcji, po roku 1945 oznaczenie zmieniono na *Tx1* z dodaniem numeru (od 291 do 359). W 1961 r. dokonano kolejnej zmiany oznaczenia typu na *Tx2*. Ich służba w PKP trwała do 1970 roku. Parowozy *HF* pracowały również na kolejkach leśnych, budowlanych, cukrowniczych i przemysłowych. Ich eksploatację zakończono tam około 1980 roku.

Lokomotywa *HF* była maszyną czteroosiową, przeznaczoną dla toru o rozstawie szyn 600 mm. Kółka osadzone w zewnętrznej ostoi, co ułatwiało obsłudze dostęp do łożysk osiowych. Bliźniacze silniki parowe o płaskich suwakach pracowały na parze nasyczonej. Zastosowano mechanizm parorozdzielczy Stephensona. W sylwetce parowozu wyróżniał się często stosowany iskrochron bębnowy na kominie, dwie piasecznice na walcu (wokół jednej z nich zwiniano wąż do pobierania wody) oraz mieszczące zapas wody i węgla dwie skrzynie po bokach kotła (z reguły stosowano dodatkowy tender doczepny). Widoczność zapewniały owalne okna w przedniej



Parowóz Tx 1125 ze składem wycieczkowym.
Fot. ze zb. Marcina Rogozińskiego

⁷ Pokropiński B. *op. cit.*, s. 28.

⁸ enkol.pl/Heeresfeldbahn

⁹ Pokropiński B. *op. cit.*, s. 28; enkol.pl/Brigadelokomotive

i tylnej ścianie budki. Maszyny typu *HF* oryginalnie wyposażano w oświetlenie naftowe oraz dzwon sygnalizacyjny. Parowóz posiadał moc 70 KM, co zapewniało osiągnięcie prędkości jazdy do 20 km/h. Masa lokomotywy (bez wody i węgla) wynosiła 9,6 t; masa służbowa wzrastała do 12,6 t. Powierzchnia ogrzewalna kotła mierzyła 16,16 m², powierzchnia rusztu – 0,42 m². Ciśnienie pary kotłowej wynosiło 15 atmosfer¹⁰.

Łącznie w latach 1905 – 1919¹¹ w piętnastu niemieckich fabrykach wyprodukowano aż 2573 maszyny tego typu¹²; przez wiele lat była to najliczniejsza seria parowozów wąskotorowych na świecie¹³. Do czasów nam współczesnych zachowało się około stu lokomotyw *HF*. Najwięcej egzemplarzy posiadają: Francja (21), Polska (17), Niemcy (13) i Wielka Brytania (12), w dalszej kolejności są inne kraje: Brazylia (8), Łotwa (6), Szwecja (5), Kongo (4), Bułgaria (3), Macedonia, Serbia, Stany Zjednoczone (po 2), Afryka środkowa, Austria, Holandia, Republika Południowej Afryki, Szwajcaria (po 1). W Polsce lokomotywy te możemy oglądać m.in. w Białostoku (woj. wielkopolskie), Białymstoku, Czarnej Białostockiej, Czernicach Borowych (mazowieckie), Hajnówce, Kościerzynie (pomorskie), Płocicznie (podlaskie), Poznaniu – Janikowie, Skierniewicach, Sochaczewie oraz Wenecji (kujawsko-pomorskie).

Parowozy *HF* pracowały również na Kielecczyźnie. Aż 15 maszyn tego typu figurowało na stanie przedsiębiorstwa w Zagnańsku (*Zarząd Kolejki Leśnej*; późniejszy *Ośrodek Transportu Leśnego*) obsługującego linie do Świętego Krzyża oraz Siekierni, któremu w różnych okresach czasu podlegały także kolejki w Kielcach, Pionkach, Starachowicach, Lipie (k/Stalowej Woli) oraz Lubieniu (k/Piotrkowa Trybunalskiego). Do dnia dzisiejszego zachowało się siedem z nich; są to lokomotywy noszące oznaczenia: Tx-242 (Poznań – Janikowo), Tx-1112 (Hajnówka), Tx-1113 (Płociczno), Tx-1114 (Czarna Białostocka), Tx-1116 (Wenecja k/Żnina), Tx-1117 (Rillé, Francja) oraz Tx-1123 (Warszawa). Warto wspomnieć, że parowóz *HF* Tx-1112 w latach 50. pracował na kolejce kieleckiej (linia z Kielc do Złotej Wody k/Łagowa wraz z odgałęzieniem do Rakowa) i nadal jest sprawny technicznie, choć od pewnego czasu – już nie eksploatowany¹⁴. Najprawdopodobniej lokomotywa typu *HF* pracowała także na terenie Kamieniołomów Państwowych w Zagnańsku (zakład w Barczy), gdzie przestano ją z Brześcia w 1924 roku (maszyna o numerze fabrycznym 4296 wyprodukowana w Chemnitz w 1919 r.).

Znajdujący się obecnie w kieleckiej elektrociepłowni kocioł zbudowany został w 1919 roku przez niemiecką firmę *Krauss & Comp.* (numer

¹⁰ Pokropiński B. *op. cit.*, s. 28–30,32.

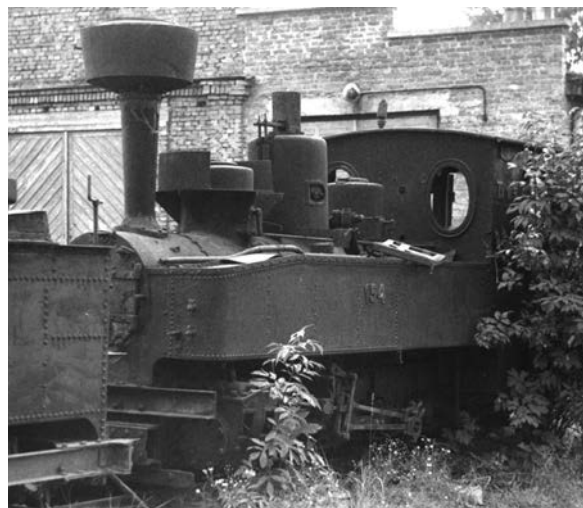
¹¹ Pokropiński B. *op. cit.*, s. 28; pl.wikipedia.org; artykuł: *HF* (parowóz).

¹² enkol.pl/Brigadelokomotive

¹³ Pokropiński B. *op. cit.*, s. 28.

¹⁴ enkol.pl/Brigadelokomotive

fabryczny: 7666). Początkowo zamontowany był w parowozie typu *HF* o wojskowym numerze 2808. W okresie międzywojennym lokomotywa ta została zakupiona przez Polskie Koleje Państwowe, gdzie nadano jej oznaczenie D1-359 i skierowano do pracy na kolejce wąskotorowej w Krośniewicach (woj. łódzkie). Po 1939 roku parowóz nie otrzymał numeru *DR* (*Deutsche Reichsbahn* – niemieckich kolei państwowych), w związku z czym przypuszczalnie na krótko przed wybuchem II wojny światowej, bądź na początku okupacji przekazano go do innego resortu. Maszyna trafiła na kolejki leśne w tzw. Generalnym Gubernatorstwie (rejon Krośniewic włączono w skład III Rzeszy jako tzw. Kraj Warty – *Reichsgau Wartheland*). Wkrótce dokonano zamiany kotłów; opisywany kocioł nr 7666 zainstalowano w parowozie Tx-1125, pracującym w Zarządzie Kolejki Leśnej w Zagnańsku (okupacyjna nazwa przedsiębiorstwa: *Staatliche Waldeisenbahnenverwaltung in Zagnańsk*). Lokomotywę noszącą polskie oznaczenie Tx-1125 wyprodukowano w 1916 roku w firmie *J. A. Maffei AG* (numer fabryczny: 4752) na zamówienie wojskowych kolei polowych (*Heeresfeldbahn*; numer 840), jednak maszyna ta trafiła ostatecznie do Królewskich Bawarskich Kolei Państwowych (*Königlich Bayerische Staatseisenbahnen*), gdzie nadano jej numer 154 (widoczny na skrzyni bocznej). Wiadomo, że 1 maja 1943 roku odnośny parowóz został wykolejony przez partyzantów z oddziału AK „Wybraniec”. Do wymienionej akcji doszło ok. 300 m od stacji „Bukowa Góra” w kierunku „Świętego Krzyża” (okolice Ciekot). Partyzanci zatrzymali wówczas jadący do Zagnańska pociąg z rudą (pirytem), wysadzili w powietrze jeden z przepustów, po czym nakazali obsłudze lokomotywy zepchnąć skład w powstałą wyrwę; wykolejono wówczas kilka wagonów, zaś parowóz (typu „chrzanowskiego”) pozostał na torze. Wkrótce na pobliskiej stacji „Bukowa Góra” żołnierze AK zatrzymali pociąg z Zagnańska, prowadzony przez parowóz Tx-1125 i skierowali na ten sam tor, doprowadzając do zderzenia z wykolejonym składem. Siła uderzenia była tak duża, że lokomotywa Tx-1125 wypadła z szyn i wjechała na pewną odległość w las. Maszynistą parowozu „chrzanowskiego” był wówczas Jan Górecki, zaś Tx-1125 prowadził Wiśniewski¹⁵. Nie ma pewności, czy w rzeczonym zdarzeniu brał udział kocioł eksponowany obecnie w Kielcach; jego wymiana mogła być przeprowadzona później (być może na skutek uszkodzenia podczas akcji kotta oryginalnego), jednakże należy pamiętać, iż działania takie były czynnością rutynową podczas napraw głównych parowozów i mogło to nastąpić wcześniej¹⁶. Lokomotywa Tx-1125 pracowała na kolejce zagnańskiej także w okresie powojennym; zachowało się jej zdjęcie z pociągiem wycieczkowym. W sierpniu 1971 roku parowóz ten był już nieczynny i stał obok



Parowóz Tx 1125 na terenie OTL w Zagnańsku w sierpniu 1971 r.
Fot. Martin Murray

budynku wagonowni na terenie OTL w Zagnańsku. W późniejszym czasie został on złomowany. Pozostały kocioł w nieznanymi okolicznościami trafił następnie do Kielc. Według informacji uzyskanej od jednego z pracowników elektrociepłowni podczas budowy zakładu (zapoczątkowanej w 1987 r.) znajdował się on pierwotnie przed biurem wykonawcy – Zakładu Remontowego Energetyki. Po zakończeniu prac jeden z dyrektorów przedsiębiorstwa, doceniwszy zabytkową wartość obiektu, nakazał jego wyeksponowanie w obecnym miejscu.

Wybierając się na spacer w okolice Gruchawki warto zwrócić uwagę na ten mało znany, choć jakże ciekawy zabytek wąskotorowej przeszłości Gór Świętokrzyskich.

Autor składa podziękowania p. Zbigniewowi Fąfarze – dyrektorowi Oddziału Elektrociepłownia Kielce PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna S.A. za wyrażenie zgody na wykonanie fotograficznej dokumentacji zabytku, pp. Martinowi Murray, Marcinowi Rogozińskiemu, Janowi Szponderowi i Tadeuszowi Suchorolskiemu za cenne informacje oraz udostępnienie archiwalnych zdjęć.

Źródła:

- 1) Fleszar S. 1954. *Parowóz*. Wydawnictwa Komunikacyjne, Warszawa.
- 2) Kozak B. 2016. *Zagnańskie kolejki wąskotorowe*. Wyd. II – poprawione i uzupełnione (w przygotowaniu).
- 3) Pokropiński B. 2000. *Muzealne parowozy wąskotorowe w Polsce (dla toru szerokości 600 i 630 mm)*. Muzeum Ziemi Pałuckiej, Żnin.
- 4) Szponder Jan – korespondencja z autorem
- 5) enkol.pl/Heeresfeldbahn, *Brigadelokomotive*, Wykaz parowozów Brigadelokomotive eksploatowanych w Polsce (dostęp: 4.IV.2016)
- 6) pl.wikipedia.org; artykuły: *Elektrociepłownia Kielce, HF (parowóz)* (dostęp: 4.IV.2016).

¹⁵ Kozak B. *op. cit.*

¹⁶ Szponder Jan – korespondencja z autorem.

Początki kolekcjonerstwa są równie odległe i równie tajemnicze jak początki sztuki w ogóle. Potrzeba posiadania, potrzeba gromadzenia i przechowywania przedmiotów czy obrazów jest ściśle związana z zamiłowaniem do rzeczy rzadkich i osobliwych, z instynktem odkrywczym człowieka. Odkąd tylko rozwinęły się w człowieku zmysł piękna i zdolność dokonywania wyboru, fascynują go rzeczy niezależnie od ich materialnej wartości i pragnie on pomnażać przedmioty swoich marzeń. Pierwszy kolekcjoner nie stworzył tego upodobania, ale odkrył w sobie, na pewno bezwiednie, pewnego rodzaju stan neurotyczny, którego ofiarami padają najznakomitsi ludzie danej epoki.

Przytoczyliśmy tu mały fragment wstępu z interesującej książki Pierre'a Cabanne *Wielcy kolekcjonerzy* (WL, Kraków, 1978). W dalszym ciągu swoich rozważań autor koncentruje się na psychologicznych motywacjach kolekcjonerskich pasji, dzięki czemu publikacja przybiera miejscami sensacyjny charakter. Z tymi motywacjami nie zawsze wypada się zgodzić. Wynika z nich bowiem, że dominującą potrzebą gromadzenia przedmiotów jest zaspokajanie egoistycznych ambicji oraz snobistyczna chęć imponowania innym. Wydaje się, że namiętni „zbieracze” wciąż postrzegani są przez inne środowiska jako grupa dziwaków zamkniętych w swoim wirtualnym świecie.

Taki pogląd jest w ogromnym stopniu fałszywy, bowiem kolekcjonerstwo spełnia ważną i społeczną rolę. Odnosi się to głównie do ratowania przed zagładą lub zapomnieniem narodowych pamiątek oraz udostępnianiem ich szerokiej publiczności. Zapewne nie wszyscy zdają sobie sprawę, ile miejsc i wydarzeń historycznych udało się odkryć i zrekonstruować na użytek nauki, filmu czy literatury dzięki kolekcjonerskim „wyspom zaginionych skarbów”. Co więcej, wiele prywatnych kolekcji wzbogaciło i wciąż wzbogaca państwowe muzea. Często drogą nieocenionych darowizn.

Kolekcjonerstwo, jak świadczą o tym przytoczone wcześniej słowa Pierra Cabanne, sięga czasów bardzo odległych, a wspaniałe magnackie czy królewskie kolekcje powstawały setki lat temu. Znaczne społeczne upowszechnienie zbierackich pasji nastąpiło w XVIII wieku za sprawą rozwoju geologii oraz ogromnych postępów w komunikacji. Coraz bardziej upowszechniała

się moda na tak zwane gabinety historii naturalnej i starożytności. Interesujący tekst na temat kolekcjonerstwa minerałów przedstawił w 12 (16) numerze naszego pisma znany i ceniony historyk sztuki i dziejów regionu, Krzysztof Myśliński. Stwierdza on, że u podłoża zainteresowania minerałami leżał w XVIII w., wraz z rozwojem komunikacji, trend do krajoznawczych podróży. Tak zwane dziś w literaturze *Grand tours* obejmowało także Polaków, którzy w swoich europejskich peregrinacjach chętnie odwiedzali gabinety historii naturalnej i zbiory starożytności. Do propagatorów zbierackich pasji zaliczyć można Hugona Kottłają, Jana Śniadeckiego, Wincentego Pola, a nade wszystko Stanisława Staszica. Do wybitnych kolekcjonerów zalicza Myśliński między innymi Józefa Wybickiego, który wiele eksponatów zakupił w czasie swoich studiów w Holandii, a następnie przejął zbiór po generale Janie Komarzewskim oraz kanonika Michała Sołtyka, kustosa kolegiaty kieleckiej, przyrodniego bratanka biskupa Kajetana Sołtyka. Zwykle indywidualne kolekcjonerskie pasje prowadziły do swego rodzaju instytucjonalizacji; znaczna część zbiorów trafiała do akademii i towarzystw naukowych. Taki trend utrzymywał się do roku 1830. Niestety, po kolejnych powstaniach narodowych w wyniku narastającego zaborczego terroru, spora część zbiorów uległa rozproszению, lub wywieziona została przez zaborców. Taki los spotkał niezwykle wartościowe kolekcje Uniwersytetu Wileńskiego oraz Liceum Krzemienieckiego.

W regionie świętokrzyskim od końca XVIII wieku powstało wiele interesujących i wartościowych kolekcji związanych z magnackimi posiadłościami czy szlacheckimi dworami, a także z placówkami oświatowymi. Najczęściej były to rodzinne biblioteki, gromadzące książki z zakresu historii, literatury pięknej oraz podręczniki o tematyce dotyczącej problemów gospodarczych. Modne stało się też kolekcjonowanie okazów minerałów. Region świętokrzyski stwarzał w tym zakresie szczególne możliwości za sprawą niepowtarzalnych bogactw środowiska naturalnego. Dzięki rozległym badaniom i odkryciom geologów pracujących z inspiracji i pod kierunkiem uczonego księdza Stanisława Staszica, odkrywano skalne zasoby Ziemi Świętokrzyskiej, a wielu zbieraczy zgromadziło interesujące okazy minerałów. Duże kolekcje o ogromnej wartości dydaktycznej miała powstała w 1816 roku Szkoła Akademiczna – Gór-

nicza, a później kieleckie Gimnazjum Rządowe i Szkoła Handlowa.

Szczególnie ważne w okresie zaborów było kolekcjonowanie narodowych pamiątek, starych dokumentów, patriotycznych bibelotów oraz polskiej literatury. Na Ziemi Świętokrzyskiej rozgrywały się ważne i dramatyczne wydarzenia historyczne, a historia państwa i narodu jakże często wiązała się z dziejami mieszkających tu ludzi, którzy historyczne pasje łączyli z pracami na rzecz swojej małej ojczyzny. Tutaj ziemia wciąż odkrywa nowe artefakty dokumentujące wydarzenia takie, jak spisek księdza Piotra Ściegiennego, Powstanie Listopadowe, Powstanie Styczniowe, formowanie i walki 1.pp. Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego w 1914 i 1915 r., partyzantkę w II wojnie światowej. Prowadzone są intensywne badania naukowe naszych regionalnych dziejów, tutaj wreszcie nie słabnie historyczna tradycja powiązana z dziejami miejscowych rodzin.

W XIX wieku wspaniałe kolekcje zgromadziły wielkie rody magnackie regionu, jak Wielopolscy, Szydłowieccy, Ossolińscy, Deskurowie czy Tartowie. Mniejsze, choć często nie ustępujące tym magnackim pod względem wartości historycznej i dydaktycznej, były kolekcje tworzone przez światłych ziemian oraz szlachtę. Zresztą właściciele tych największych i najdroższych zbiorów nie zawsze możemy nazywać kolekcjonerami, gdyż zwykle dysponowali oni dobrami dziedzicznymi, nie pochodzącymi z osobistej pasji kolekcjonerskiej.

Kolekcjonerzy kieleccy mogliby za swojego patrona przyjąć postać zupełnie wyjątkową. To Konstanty Świdziński (1793 – 1855) herbu Półkozic z Sulgostowa w pobliżu Przysuchy, syn kasztelana radomskiego



Konstanty Świdziński

Kajetana Świdzińskiego i Felicjanny z Hadziewiczów. Świdzińscy spokrewnieni byli z Lanckorońskimi. Najkrótsze dossier: kolekcjoner dzieł sztuki, bibliofil, mecenas i donator ośrodków polskiej kultury narodowej. Pod koniec życia jego zbiory wynosiły: 25000 tomów książek, ponad 1000 starych rękopisów, 12500 starych rycin, 3000 monet i wiele innych zabytkowych obiektów. W sumie zbiór był dużo większy niż ten stanowiący własność Ossolineum. Niezwykłą kolekcję testamentem z 1855 r. Świdziński przekazał margrabiemu Aleksandrowi Wielopolskiemu z zastrzeżeniem, by była ona powszechnie dostępna oraz, by stanowiła źródło do badań naukowych. Wielki margrabia jedynie częściowo wywiązał się z warunków umowy i zmuszony został zwrócić zbiór przyrodniemu braciom Konstantego, którzy przekazali go fundacji Krasińskich. Bezcenna kolekcja spłonęła wraz z Biblioteką Ordynacji Krasińskich w Powstaniu Warszawskim.

W samych Kielcach mamy także bardzo interesującą wzór wielkiego kolekcjonera w osobie naczelnika powiatu kieleckiego w latach 1847 – 1858, Tomasza Zielińskiego (1802 – 1858). Nie znamy dokładnie całego życiorysu Zielińskiego, w którym znajdujemy także wcześniejszą pracę w warszawskiej policji, jak również niejasne okoliczności jego dymisji z urzędu w Kielcach. Ogromne pieniądze przeznaczał on na wzbogacanie zbiorów (dzieła sztuki, książki, stare dokumenty, rzeźby, numizmatyka), a także na wspieranie materialne malarzy (Józef Szermentowski). Bywali u niego, oprócz Szermentowskiego, między innymi Franciszek Kostrzewski, January Suchodolski i Wojciech



Tomasz Zieliński

Gerson. Pan naczelnik powiatu szybko zorientował się, że Kielecczyzna stanowi bardzo atrakcyjny teren pozyskiwania interesujących przedmiotów antycznych. Świadczy o tym fakt, iż najwartościowsze obiekty wystawione w Warszawie w 1856 r. na wielkiej wystawie „starożytności” pochodziły podobno z naszego regionu. Zieliński penetrował zasoby kolekcjonerskie w całym Królestwie. W jego kolekcji znalazły się przedmioty stanowiące własność rodów Kaznowskich, Matachowskich, Tarnowskich, Chodkiewiczów, Jana III Sobieskiego i Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Trudno jest dzisiaj precyzyjnie oszacować liczebność i jakość kolekcji, tym bardziej, że Zieliński przed śmiercią wypożyczał do celów wystawienniczych swoje przedmioty, zaś po śmierci, jak to zwykle bywa część zbioru uległa rozproszeniu. Trzy katalogi oraz pośmiertny *Inwentarz* zawierają znacznie różniące się od siebie informacje, lecz każdy z nich świadczy, że zbiór był wyjątkowy. Bardzo niewiele zachowało się z ogromnej kolekcji Zielińskiego, natomiast pozostawił on po sobie piękny kompleks architektoniczny, stanowiący dziś ozdobę centrum Kielc i pełniący obecnie ważne funkcje kulturalne.

W końcu XIX wieku, a później w okresie międzywojennym w bogatszych domach kieleckich znajdowały się interesujące zbiory numizmatyczne, dokumenty, książki, stara porcelana, wartościowe obrazy i patriotyczne bibeloty. Po II wojnie światowej, podobnie jak w XIX wieku, gromadzenie narodowych pamiątek urosło niemal do rangi patriotycznej misji, której celem stało się zabezpieczanie i przechowywanie świadectw niezakłamanej historii Polski i Polaków. Znakomitym przykładem takiego postępowania była działalność proboszcza kościoła parafialnego w Nowej Słupi, świętej pamięci księdza Walentego Ślusarczyka, twórcy prywatnego, niezwykle wartościowego muzeum pamiątek narodowych. Były tam królewskie dokumenty i rękopisy, niezwykle bibeloty i pamiątki narodowe, minerały oraz rzadkie numizmaty. Szczególną wagę przywiązywał ksiądz proboszcz do przedmiotów i dokumentów dotyczących Armii Krajowej oraz agresji Sowietów na Polskę we wrześniu 1939 r. Dla tysięcy wycieczek odwiedzających parafię, wizyta u księdza proboszcza w latach komunistycznej propagandy, to były patriotyczne rekoлекcje.

Obecnie wszelkie zbieractwo, a w nieco mniejszym zakresie dojrzałe i metodyczne kolekcjonerstwo, są w Polsce bardzo popularne. Także na Kielecczyźnie, gdzie działa duża grupa kolekcjonerów, prezentujących szeroki wachlarz zainteresowań. To bibliofile, numizmatycy, poszukiwacze naturalnych skarbów, artefaktów historycznych, starych dokumentów, miłośnicy sztuki. W bieżącym roku obchodzimy 40-lecie Stowarzyszenia Kielecki Klub Kolekcjonera.



Dnia 17 stycznia 1976 r. kielecki dziennik „Echo Dnia” donosił:

„Mają swój związek numizmatycy, a jest nim Polskie Towarzystwo Archeologiczne i Numizmatyczne”, mają też filateliści. Mają też mieć i zbieracze innych nie mniej ciekawych rzeczy. Wychodząc naprzeciw licznym postulatom w niedzielę, 18 bm. redakcja „Echa Dnia” wraz z kierownictwem kieleckiego Klubu Nauczyciela organizuje pierwsze spotkanie hobbistów. Czynimy to nie tylko z myślą o szerzeniu idei zbieractwa, doskonaleniu wiedzy z różnych dziedzin, ale także pomocy we wzbogaceniu i eksponowaniu waszych kolekcji”.

Dwa dni później, 19 stycznia, duży nagłówek „Echa Dnia” informował: POWSTAŁ KIELECKI KLUB KOLEKCJONERA. UDANA GIEŁDA STAROCI.

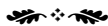
Na pierwszym, założycielskim, spotkaniu sformułowano cele stowarzyszenia:

- * Zrzeszanie kolekcjonerów.
- * Ochrona dóbr kultury i pamiątek narodowych poprzez popularyzowanie kolekcjonerstwa.
- * Szerzenie wiedzy kolekcjonerskiej wśród członków Stowarzyszenia i poza nim.
- * Zapewnienie poradnictwa i fachowej opieki początkującym kolekcjonerom.

Te cele, sformułowane bardzo ogólnie na potrzeby oficjalnego dokumentu, jakim jest Statut, z biegiem czasu wypełniane będą konkretnymi treściami. Od samego początku istnienia Stowarzyszenia akcentowano potrzebę szerzenia wiedzy z zakresu różnych dziedzin kolekcjonerstwa, rozwijania zainteresowania historią oraz historycznymi pamiątkami, pogłębiania znajomości sztuki. Oczywiście hobbystyczne pasje nie dotyczą jedynie historii. To także geografia, geologia, etnografia, przyroda, ekonomia, sztuka, filatelistyka i inne dziedziny, a ich związki z historią wynikają z faktu, że obiekty będące przedmiotem zbieractwa stanowią zwykle materialne świadectwa czasów minionych. Tak więc naczelnym celem stowarzyszenia stała się działalność na rzecz popularyzacji zainteresowania przeszłością, a zwłaszcza historią Polski i narodowymi pamiątkami. Inaczej, mówiąc nieco patetycznie, stowarzyszenie włączyło się do misji edukacji patriotycznej.

Pierwszym prezesem Stowarzyszenia został znany i zasłużony kolekcjoner, pan Kazimierz Kozioł (od 1976 do 1979 r.). Kolejno funkcje te sprawowali: Henryk Gawłowski (1980 – 1983), Kazimierz Wróbel (do 1985 r.), Marian Pypec (1986 do 1990), Krzysztof Marchel (1991 do 2003), Łukasz Jasiński (2003

do 2010), od roku 2011 do chwili obecnej – Marek Michniewski. Zebrania członków Klubu oraz giełdy odbywały się początkowo w Domu Nauczyciela oraz w siedzibie Kieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Armatury”.

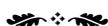


W swojej działalności Kielecki Klub Kolekcjonera koncentruje się na czterech grupach aktywności. Stanowią i stanowią je:

- *gromadzenie zbiorów,
- *ekspozycje i wystawy,
- *giełdy i aukcje,
- *działalność społeczna,
- *współpraca z innymi klubami, Federacją Organizacji Kolekcjonerskich i prasą.

W ciągu 40 lat Klub wyraziście zaznaczył swoją obecność na kulturalnej mapie województwa świętokrzyskiego. Hobbyści niemal z całej Polski, co miesiąc przyjeżdżający na giełdy do Kielc, mają, co oczywiste, okazje do zrobienia zakupów lub sprzedaży ciekawych przedmiotów. Coraz większą rolę odgrywa jednak możliwość wymiany poglądów, konsultacji czy wyceny nabytków. Wystarczy przyjść na kielecką giełdę kolekcjonerską w drugą sobotę każdego miesiąca, by się o tym przekonać. Wojewódzki Dom Kultury im. Józefa Piłsudskiego tętni wtedy gwarem prowadzonych dyskusji i sporów. Jest to czas towarzyskich spotkań, swego rodzaju sposób na spędzenie kilku godzin wolnego czasu. Zwykle handel schodzi wtedy na drugi, mniej istotny plan.

Dzięki takim spotkaniom kolekcjonerzy powiększają swoje zbiory, nawiązują nowe znajomości, a także, co najważniejsze, wzbogacają wiedzę nie tylko o przedmiotach, lecz szerzej o problematyce swoich zainteresowań. Zatem kolekcjonerstwo coraz bardziej staje się zajęciem szanowanym, zaraźliwym i, rzec by można – modnym. Napisałszy już we wstępie o ratowaniu przedmiotów przed zagładą, czy zapomnieniem, o kolekcjonerstwie uzupełniającym i wspierającym prace historyków czy muzealników. Temu celowi służą między innymi liczne wystawy. W sumie było ich ponad 60, a wachlarz prezentacji jest bardzo szeroki. W tym zakresie Kielecki Klub Kolekcjonera wspierał także Muzeum Narodowe w Kielcach, Muzeum Historii Kielc oraz inne instytucje wystawiennicze.



Rok 2001 przyniósł jubileusz: 25-lecie Stowarzyszenia. Z tej okazji marszałek województwa, Józef Szczepańczyk, przewodniczący Rady Miejskiej Włodzimierz Stępień oraz dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury Andrzej Litwin przestali na ręce prezesa

Stowarzyszenia listy gratulacyjne. W piśmie pana marszałka czytamy między innymi: „Z zadowoleniem odnotowuję fakt, że nasi kieleccy kolekcjonerzy zdobyli sobie pozycję i uznanie w całej Polsce, propagując unikalne zbiory z różnych dziedzin. Organizowane wystawy i giełdy nie tylko przynoszą satysfakcję zbieraczom, ale także uczą młodych ludzi patriotyzmu oraz pozwalają poznawać bogatą historię świętokrzyskiej krainy”.

Swój Jubileusz Stowarzyszenie, a konkretnie dwunastu kolekcjonerów upamiętniło wyjątkową wystawą. „Słowo Ludu” donosiło 18 czerwca 2001 r.: „Kieleccy kolekcjonerzy uczcili w sobotę swój jubileusz ćwierćwiecza prezentem dla miasta. W sali kominkowej Wojewódzkiego Domu Kultury zaprezentowali wystawę zbiorów, jakiej jeszcze nie było”. Ekspozycję z dużym zainteresowaniem zwiedzili marszałek województwa Józef Szczepańczyk oraz prezydent Kielc Wojciech Lubawski, który zresztą sam jest kolekcjonerem.

Kolejne lata po roku 1989 rozpowszechniły w kolekcjonerskim świecie nowy obyczaj: organizację aukcji, z przekazywaniem części wpływów na cele charytatywne. Pieniądze przeznaczano na dzieci z domów opieki, na nagrody dla uczniów uczestniczących w konkursach, na leczenie ciężko chorych pociech, czy na Krzyż Katyński. W 1990 r. Klub przekazał na konto budowy szpitala dziecięcego na Czarnowie kwotę 500 000 starych złotych. Innym przykładem zaangażowania kolekcjonerów w akcję



Jedna z pierwszych aukcji KKK

pomocy medycznej była w 1991 r. zbiórka i wpłata na konto „Przeszczep” na rzecz dziecka, którego choroba wymagała leczenia poza granicami Polski. W ciągu trzech lat 1987 – 1990 członkowie Klubu przekazali na rzecz Komitetu Odbudowy Pomnika Czynu Legionowego ponad milion starych złotych. W 2003 r. na rzecz szkoły podstawowej w Solcu Starym zorganizowana została aukcja pod hasłem „Na gorący posiłek dla dzieci”.

W ciągu kilkunastu lat do roku 2011 odbyło się blisko 40 aukcji. Chętnych do licytowania nigdy nie brakowało. Imprezy te dawały możliwość kupienia ciekawych przedmiotów za niewielkie pieniądze. Towarzyszyło im znaczne zainteresowanie prasy, radia i telewizji.

Dzień 11 listopada 2002 r., Święto Niepodległości, zapisze się na wiele lat w pamięci kielczan. Po okresie wielkich starań, żmudnych archiwalnych kwerend, przy zaangażowaniu wielu mieszkańców naszego miasta, udało się po 63 latach odsonić Pomnik Niepodległości przy dworcu kolejowym. Monument wzniesiony w 1929 r., zburzony przez niemieckiego okupanta, znów, jak przed laty, stanowi żywe świadectwo Polski Niepodległej. W jego odbudowie mieli swój udział kieleccy kolekcjonerzy. Wielu spośród nich wykupiło okolicznościowe cegiełki. Tego samego dnia w sali kominkowej Wojewódzkiego Domu Kultury zainaugurowano wystawę zatytułowaną „Ta co jeszcze nie zginęła”. Dziennik kielecki „Słowo Ludu” pisał:



Wystawa „Ta co jeszcze nie zginęła”

„Inspiracją do stworzenia tej ekspozycji była odbudowa Pomnika Niepodległości”. Prezentowane są tutaj oryginalne dokumenty, fotografie i militaria z okresu I wojny światowej i pierwszych lat niepodległości”.

Rok później, dnia 11 listopada 2003 r. Wojewódzki Dom Kultury im. Marszałka Józefa Piłsudskiego wraz z Kieleckim Klubem Kolekcjonera zaprezentował wystawę „Dziedzictwo Narodowe a drogi do Niepodległej Polski w sztuce medalierskiej”. Hieronim Pietras przedstawił na niej blisko 700 eksponatów ze swej bogatej kolekcji patriotycznych pamiątek. Honorowy patronat nad wystawą objął biskup kielecki Kazimierz Ryczan.

Interesującą wystawę, w 64. rocznicę bitwy pod Monte Cassino, zorganizowały wspólnie Krakowska Fundacja im. Tadeusza Kościuszki, Muzeum Historii Kielc oraz Kielecki Klub Kolekcjonera. Ekspozycja zatytułowana „Przechodniu powiedz Polsce – 1944–2008” poświęcona została żołnierzom II Korpusu, walczącego pod Monte Cassino oraz o Anconę i Bolonię. Należy pamiętać, że w szeregach II Korpusu walczyło wielu kielczan. Na wystawie zaprezentowano oryginalne umundurowanie, oporządzenie oraz broń żołnierzy polskich i niemieckich.

Dnia 14 maja 2005 r. opiekę nad Kieleckim Klubem Kolekcjonera objęło Muzeum Historii Kielc, tym samym Stowarzyszenie uzyskało tutaj nową siedzibę, w której odbywają się comiesięczne spotkania członków. W 2010 r. wśród kieleckich kolekcjonerów zrodziła się myśl o kolejnej wystawie. Do współpracy zaproszono Komitet Kopca Tadeusza Kościuszki w Krakowie oraz krakowską Fundację im. Tadeusza Kościuszki. I tak dnia 14 kwietnia w Muzeum Historii Kielc otwarto wystawę „Tadeusz Kościuszko – tradycja i pamięć”, na której zaprezentowano interesujące dokumenty, grafikę, medale i bibeloty związane z osobą Naczelnika narodowej insurekcji. Ekspozycja cieszyła się dobrą frekwencją, wysoko też została oceniona przez kielecką prasę.

Ostatnie lata w środowisku kieleckich kolekcjonerów przyniosły szczególnie interesujące wydarzenia za sprawą ważnych dla Kielc i kielczan narodowych rocznic. W czerwcu 2011 r. ukonstytuował się nowy zarząd Kieleckiego Klubu Kolekcjonera, którego prezesem został Marek Michniewski. Od tego czasu zorganizowano 12 wystaw (5 zbiorowych i 7 indywidualnych). Ponadto członkowie KKK byli współorganizatorami 8 wystaw muzealnych.

Rok 2013 przyniósł bardzo ważną rocznicę – 150-lecie wybuchu Powstania Styczniowego. W październiku 1861 r. na Świętym Krzyżu miała miejsce wielotyśięczna manifestacja religijno-patriotyczna. W roku następnym doszło do demonstracji antycarskich oraz utworzenia Komitetu Obywatelskiego w Kielcach.

W mieście stacjonowały silne, liczące ponad 4000 żołnierzy oddziały rosyjskie, w tym kawaleria. Pomimo poważnych represji carskich, w powstańczych „partyach” wzięło udział wielu mieszkańców naszego regionu. W latach 1863 – 1864 około 1/3 wszystkich bitew rozegrało się na Ziemi Świętokrzyskiej. Stąd też rocznicę powstania obchodzono na Kielecczyźnie wyjątkowo uroczystie. Władze państwowe wraz z Sejmem RP podeszły do rocznicy z rezerwą, tłumacząc to bezsenssem styczniowej insurekcji oraz tragicznymi jej skutkami. Stąd też wiele przedsięwzięć związanych z obchodami powstania, to efekt inicjatyw obywatelskich. Jak się okazało – skutek był imponujący.

W Regionie Świętokrzyskim tradycje powstańcze są bardzo żywe i utrwalone w regionalnej literaturze. W ostatnich latach powstało wiele prac historycznych, a liczne miejsca pamięci otacza są troskliwą opieką lokalnych społeczności. W środowisku kolekcjonerów kieleckich zachowało się wiele pamiątek powstańczych, w tym niemało dokumentów rodzinnych. Stąd oczywisty był pomysł zorganizowania rocznicowej ekspozycji.

Wystawa Kieleckiego Klubu Kolekcjonera „Bohaterom 1863 roku w hołdzie” czynna była w Muzeum Historii Kielc w dniach od 18 stycznia do 18 lutego 2013 r.

Było to zdaniem zwiedzających, także gości spoza regionu oraz prasy, w tym także ogólno-

krajowej, jak również środowiska akademickiego, jedno z najciekawszych przedsięwzięć tego rodzaju w Polsce. Zgromadzono na niej ponad 400 interesujących eksponatów: obrazów, patriotycznych bibelotów, żałoźnej biżuterii, dokumentów (w tym rodzinnych) i starej literatury. Wystawa następnie prezentowana była także w Kazimierzu Dolnym oraz w Siedlcach, gdzie także cieszyła się dużym zainteresowaniem.

W ostatnich latach dwie wystawy poświęcono pamięci Józefa Piłsudskiego. Pierwsza z nich, otwarta została 12 maja 2012 r. w 77. rocznicę śmierci Marszałka. Celem było przedstawienie atmosfery przynębienia dużej części polskiego społeczeństwa po śmierci Wodza. Ekspozycja przedstawiała te nastroje poprzez prezentację informacji prasowych i fotografii. Wiele było zdjęć z pogrzebu, a także uroczystości z przeniesienia serca Marszałka na wileńską Rossę w 1936 r. Wystawa w Wojewódzkim Domu Kultury, choć w założeniu i wymowie ascetycznie skromna, cieszyła się dużą frekwencją i zebrała bardzo pochlebne recenzje.

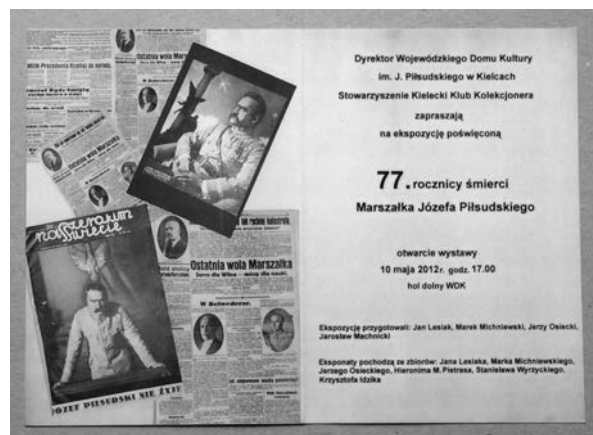
Do obchodów setnej rocznicy wkroczenia do Kielc strzelców Piłsudskiego (1914 – 2014), miasto nasze przygotowywało się bardzo starannie od dłuższego



Otwarcie „Bohaterom 1863 r. w hołdzie”



Fragment wystawy

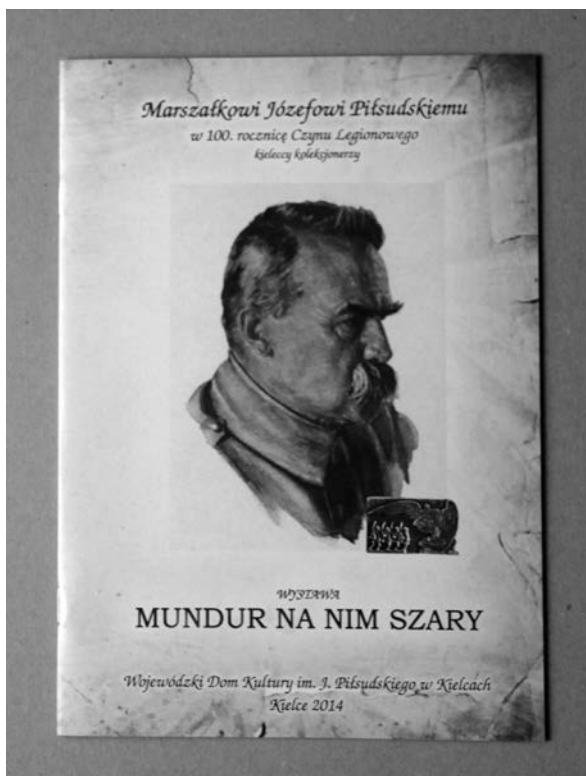


Folder wystawy „W 77. rocznicę śmierci...”



Fragment wystawy





Katalog wystawy „Mundur na Nim szary”



Organizatorzy wystawy w rozmowie z p. Anną Lipińską z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

czasu. Na Placu Wolności odstonięto konny pomnik Marszałka, zaś Stowarzyszenie Kielecki Klub Kolekcjonera przygotowało dużą wystawę w Wojewódzkim Domu Kultury im. Józefa Piłsudskiego, zatytułowaną „Mundur na Nim szary”.

W opinii tłumnie przybyłych zwiedzających, była to ekspozycja imponująca, a dydaktyczna wartość zaprezentowanych eksponatów bardzo wysoka. Choć wystawa dedykowana była głównie Marszałkowi Piłsudskiemu, to organizatorom zależało na prezentacji tych, którzy poszli za szarym mundurem Komendanta, by walczyć o wolną Ojczyznę. Stąd ekspozycja prezentowała także innych bohaterów patriotycznego zrywu roku 1914 i lat następnych. Przygotowano dużą ilość dzieł sztuki, broni, fotografii, dokumentów, w tym autografów Marszałka, kart pocztowych

i medali. Wystawę obejrzało wielu uczniów z Kielc i województwa. Wśród zwiedzających byli także pracownicy różnych muzeów w kraju, w tym z Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

W 2015 r. Kielecki Klub Kolekcjonera organizował lub uczestniczył jako współorganizator w czterech wystawach. W ramach współpracy z Muzeum Historii Kielc, w strukturze którego prowadzi swoją działalność, zorganizowano trzy ekspozycje:

– „Rocznica pierwszej wywózki Polaków z Kresów węgłb ZSRR”, autorka Jolanta Michniewska,

– „Zadarnowscy i Broniewicze w Powstaniu Styczniowym”. Była to ekspozycja z rodzinnych zbiorów Jolanty i Marka Michniewskich, prezentująca dramatyczne popowstaniowe losy ich przodków. Archiwum autorów wystawy jest bardzo bogate, stanowią je liczne fotografie, listy i wspomnienia, a także patriotyczne bibeloty.

28 marca 2015 r. na „Noc w Muzeum Historii Kielc” Jolanta Michniewska przygotowała fascynującą ekspozycję zatytułowaną „Być kobietą w Kielcach”. W swoim założeniu wystawa, niestety, mogła trwać tylko ten jeden jedyny wieczór. Frekwencja była bardzo wysoka. Czar dawnych, jeszcze XIX-wiecznych strojów, efektownych kapeluszy, barwnych parasolek, czy damskich kosmetycznych utensyliów, budził niekłamany zachwyt zarówno pań, jak i towarzyszących im panów.



„Być kobietą w Kielcach”. Jolanta Michniewska prezentuje swoją kolekcję

W 2015 r., podobnie jak w latach poprzednich, doskonale układała się współpraca z Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego w Kielcach. Na wystawę zatytułowaną „Nieskończoność przypomnień” muzeum wypożyczyło stylowe meble od Jolanty i Marka Michniewskich. To samo Muzeum, które jest filią Muzeum Narodowego, zorganizowało we wrześniu wystawę „Dziewczęta w mundurkach”. Jej przedmiotem były żeńskie szkoty w Kielcach w XIX wieku do okresu międzywojennego. Ekspozycję wsparli dużą ilością cennych fotografii, świadectw oraz innych szkolnych dokumentów Jan Lesiak oraz Marek Michniewski. Ich imponujące kolekcje stanowiły znakomitą dokumentację uczniowskiego wyposażenia i żakowskich obyczajów w czasach sięgających Adolfa Dygasińskiego i Stefana Żeromskiego.



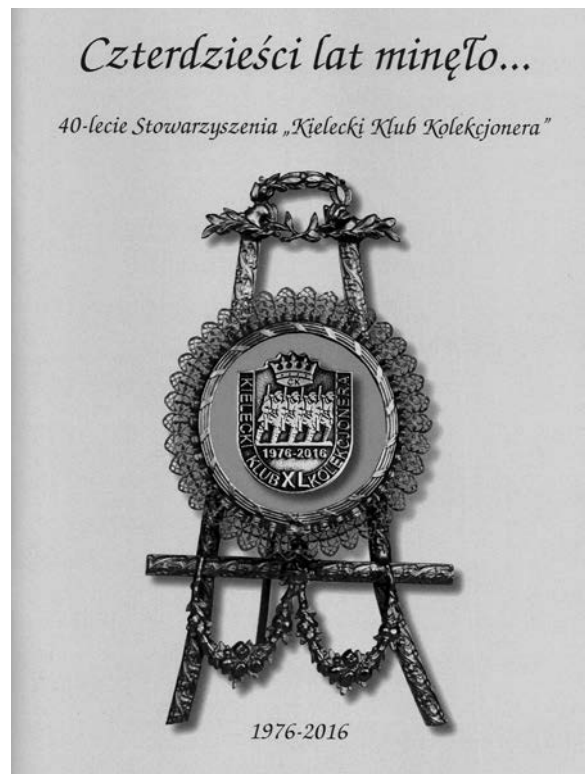
W kwietniu bieżącego roku kieleccy kolekcjonerzy swoje 40-lecie uczcili jubileuszową wystawą, zaprezentowaną w Wojewódzkim Domu Kultury. Była to największa w historii Stowarzyszenia ekspozycja, przygotowana przez 15 pasjonatów. Zaprezentowano porcelanę, wyroby ze srebra, stare książki, patriotyczne medale i plakiety, dokumenty i fotografie, ilustrujące dzieje miasta oraz związanych z nim jednostek wojskowych. Wszystko to we wspaniałym anturazżu Sali Kominkowej Wojewódzkiego Domu Kultury im. Józefa Piłsudskiego. Wystawę zwiedziło kilka tysięcy osób, w tym, co szczególnie ważne, młodzież szkolna.

Minione lata, to czas dla Kieleckiego Klubu Kolekcjonera bardzo pracowity, lecz i satysfakcjonujący. Stowarzyszenie wyraziście zaznacza swoją obecność w krajobrazie kulturalnym miasta. Można powiedzieć, że w coraz większym zakresie pełni funkcję informacyjną i kształtującą. Służy temu funkcja wystawiennicza. Organizowane, szczególnie w ostatnich kilku latach, ekspozycje prezentowały przedmioty związane z naszymi narodowymi i regionalnymi dziejami, polską kulturą



Prezes Stowarzyszenia Marek Michniewski otwiera jubileuszową ekspozycję

i tradycją. Równocześnie coraz więcej ludzi zaraża się zbieracką pasją. Członkowie Stowarzyszenia oraz jego sympatycy co miesiąc zbierają się na spotkaniach w Muzeum Historii Kielc, co sprzyja integracji środowiska. Podobnemu celowi służą wspólne wycieczki do miejsc ważnych dla polskiej kultury, a także coroczne spotkania opłatkowe. Kolekcjonerstwo kieleckie ma się dobrze!



Katalog jubileuszowej wystawy



Fragment unikatowej kolekcji ortów wojskowych Henryka Gąłtowskiego

*„Kochałam Kielce, różne tam osoby... Karczówkę, Kadzielnę.
W tych latach tak łatwo człowiek właśnie wszystko miłuje!
Cóż dopiero Kielce!...Bo to naprawdę niebyłejakie miasto”*

Urodziła się 5 maja 1877 r. w Nasielsku, na Mazowszu. Rodzina wywodziła się z drobnego ziemiaństwa. Rodzicami jej byli Mirosław i Teofila z Romerów. Po Powstaniu Styczniowym i związanymi z nim represjami zamieszkali we Lwowie. Tam ukończyła Zakład Wychowawczy Sióstr Sakramentek. 1 września 1896 roku rozpoczęła pracę nauczycielki w szkole w Zakopanem, a następnie w Niepołomicach. Jednocześnie zdała egzamin kwalifikacyjny i tzw. wydziałowy nauczycielski we Lwowie. Na początku roku szkolnego 1919 przyjęła posadę nauczycielki języka polskiego w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Kielcach. Z kielecką szkołą związana była do dnia przejścia na emeryturę.

Przez 14 lat pobytu w mieście, mocno związała się z ziemią świętokrzyską. W swojej pracy oprócz nauki języka ojczystego wzbudzała zainteresowanie i fascynację regionem wśród uczącej się młodzieży. Jako wielka miłośniczka Kielc i Gór Świętokrzyskich rozpoczęła współpracę z Kieleckim Oddziałem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Ścisłe współdziałała z kustoszem Muzeum Krajoznawczego PTK, Tadeuszem Włoszkiem.

Marta Hubicka była jednym z pierwszych przewodników okresu międzywojennego na ziemi świętokrzyskiej. Dobrze знаła miasto i jego osobliwości. W latach 20-ch znacznie przyczyniła się do rozwoju działalności wydawniczej Oddziału Kieleckiego PTK. Działalność tę zapoczątkowała wydaniem w 1920 r. pracy pt.: *Kielce – szkic dziejowy XI-XVIII w.* Licząca 96 stron książka, była przedrukiem publikowanego nieco wcześniej tekstu odcinkowego do „Gazety Kieleckiej”, gdzie w pięknej językowo formie propagowała historię naszego miasta. Publikacja została sfinansowana z subwencji Rady Miejskiej. Ukoronowaniem działalności wydawniczej w okresie dwudziestolecia międzywojennego była „Teka Świętokrzyska” Oddziału PTK. Wydawnictwo seryjne, które służyło propagowaniu tego co w regionie ważne, ciekawe, piękne i osobliwe. W serii ukazały się jedynie trzy tomy, w tym wydana w 1928 r. praca autorstwa Marty Hubickiej i Edmunda Massalskiego *Kraina*



Marta Hubicka

Stefana Żeromskiego. To upoetyzowany opis miejsc związanych z Żeromskim. W tekście przeplatają się elementy biografii pisarza z losami bohaterów jego utworów.

W 1924 r. z ramienia PTK, Hubicka brała udział w pracach komitetu do rejestracji pałacu w Kielcach jako zabytku. W tym samym czasie podjęła się również zadania dotyczącego badań florystycznych w Górach Świętokrzyskich. Zostały one zainicjowane przez Jana Czarnockiego i Kazimierza Kaznowskiego, trwały aż do wybuchu II wojny światowej.

W 1927 r. w organie PTK „Ziemia” ukazał się szereg opisów regionu świętokrzyskiego pióra Marty Hubickiej. Gdy Oddział Kielecki współtuczesniczył w wydaniu przez Lubelski Komitet Obchodów Setnej Rocznicy Zgonu Stanisława Staszica – książki pamiątkowej, Hubicka zamieściła tam rozprawę „Szkoła Akademiczno-Górnicza w Kielcach w latach 1816–1927”. Wraz z E. Massalskim i J. Czarnockim opracowała monografię fabryki żelaza w Białogonie, opierając się na bogatych źródłach archiwalnych. Niestety praca nie została nigdy opublikowana.



Sylwester Kowalczewski

Często wygłaszała referaty poświęcone historii Kielc i walorom turystycznym regionu. Organizowała również wystawy o podobnej tematyce. Wraz z Edmundem Padechowiczem zorganizowała pierwszą indywidualną prezentację w Muzeum Kieleckim w 1926 r. pt. „Pokaz książki polskiej”.

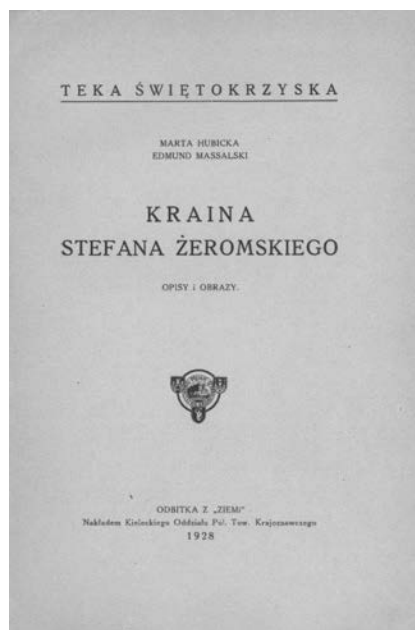
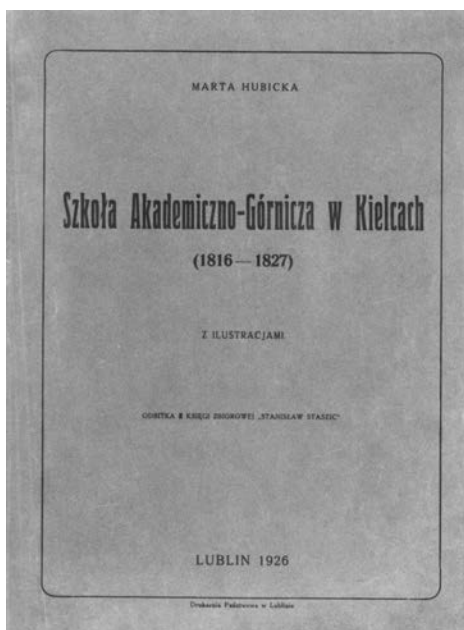
Hubicka została opiekunką Koła Historyczno-Krajoznawczego przy Państwowym Męskim Seminarium Nauczycielskim w Kielcach. W chwili powołania liczyło ono 62 członków. Popularyzując ziemię świętokrzyską i jej walory, wpłynęła na zainteresowania krajoznawcze wśród wielu młodych uczniów. Jednym z nich był

Sylwester Kowalczewski, pierwszy prezes uczniowskiego Koła. Jego członkowie w czasie jesienno-zimowym aranżowali spotkania, na których wygłaszali referaty poświęcone regionowi, omawiali zbiory zebrane w czasie wycieczek. Prezentowali również ciekawsze książki i artykuły o tematyce krajoznawczej.

Wiosna i lato były okresem licznych wycieczek po Górach Świętokrzyskich, okolicach Kielc i Sandomierza. Większość wypraw w roli przewodnika prowadziła Hubicka wraz z E. Massalskim. Koło popularyzowało wśród swoich członków fotografię krajoznawczą. Jak podaje Sylwester Kowalczewski, Marta Hubicka obdarowała Koło aparatem fotograficznym 9x12, dzięki czemu mógł odbyć się kurs fotograficzny.

Druga połowa lat 20-tych i początek 30-tych to czas prezesury Marty Hubickiej w Oddziale Kieleckim PTK. Warto zaznaczyć, iż była pierwszą kobietą piastującą owe stanowisko w historii tego Oddziału. W 1934 r. przeszła na emeryturę. Przeniosła się do Warszawy, gdzie mieszkała do końca życia. Zmarła w 1936 r., pochowana została w stolicy.

Odgrywała wiodącą rolę w popularyzacji regionalizmu na Kielecczyźnie. Uzdolniona, pracowita, ambitna. Przygotowała do szerzenia wiedzy o regionie sporą gromadę przyszłych nauczycieli, regionalistów i krajoznawców. Zgodnie z ideą „poznać-kochać-stużyć”, Marta Hubicka wciąż poznawała miasto i region, zagłębiając się w jego historię i osobliwy urok, ukochała krainę świętokrzyską, starając się jej służyć i popularyzować wartości regionalne wśród młodzieży. Należała do grupy hobbystów, których łączyło umiłowanie ziemi świętokrzyskiej, turystyki i krajoznawstwa. Kierowała nią pasja poznania i przekazywania wiedzy innym.



Książki ze zbiorów Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

Znany w polskiej literaturze współczesnej i na dawnym obszarze przedwojennej Polski pisarz, animator kultury i wydawca, Zbigniew Włodzimierz Fronczek, w końcu ubiegłego roku opublikował kolejną swoją książkę (bardzo trudno jest dokładnie zliczyć ich dotychczasową ilość¹ jej tytuł brzmi zachęcająco i niepokojąco – *Bomby polskie*². W swoim dotychczasowym dorobku „zbierackim” (nazywam tak w jak najlepszym znaczeniu tego słowa) różnych facecji, anegdot, opowieści i przypowieści, pisarz najczęściej odwoływał się do różnych regionów polskich (ze szczególnym uwzględnieniem regionów: lubelskiego, podlaskiego, chełmskiego, rzeszowskiego, czy świętokrzyskiego). Krytycy literatury uważają, że dla swoich opowieści Fronczek „wędrował po pylistych szlakach polskiej prowincji, penetrował miasteczkowe i parafialne archiwa, indagował wojewódzkich konserwatorów zabytków”³, aby potem zaskakiwać czytelnika swoimi odkryciami. W najnowszej książce, wydaje się, zmienił zasadę doboru materiałów. Wprowadził nowy motyw dominujący zasygnalizowany w tytule publikacji – właśnie bomby polskie jako narzędzia zamachów, wyroków śmierci na prześladowcach naszego narodu lub ludzi szczególnie złych. Wyroki te jako zdarzenia gromadzone są szczególnie z dwóch okresów polskiej historii: narastającego wrzenia rewolucyjnego przed

Powstaniem Styczniowym i z okresu ruchów socjalistycznych (pepeesowskich) na początku XX wieku. Choć w przywoływaniu takich zdarzeń geograficznie dominuje Lubelszczyzna, to jednak wskazane pozostałe regiony pojawiają się nierzadko jako miejsca zdarzeń.

Dla uwiarygodnianie swoich opowieści autor często korzysta z różnych źródeł swoich informacji głównie, *Monografii powiatu bialskiego* Bolesława Górniego, która ukazała się w 1939 roku, *Wspomnień z niedawnej przeszłości* księdza Adama Stotwińskiego (wydanych w 1834 r.), *Pamiętników* Kajetana Koźmiana, „Ziemi Lubelskiej”, najczęściej jednak z „Gazety Lubelskiej”, która dość rzetelnie prowadziła kronikę tamtych czasów oraz wielu innych autorów. Często też autor powołuje się na pamięć ludzi-świadków starszego pokolenia „zwanych w tamtym czasie filozofami”.

Do swoich opowieści pisarz nierzadko wprowadza innych prozaików i poetów, jak Adama Mickiewicza w *Mickiewicz a polska szubienica* oraz w bardzo humorystycznej, ale pisanej poważnie, opowieści *Wigilia Mickiewicza na Podlasiu*, czy w *Śmierć w Wenecji czyli od Tomasza Manna do Antoniego Wieniarskiego*, przywołuje Juliusza Słowackiego, Bolesława Prusa i Ewę Szelburg Zarembinę (ci ostatni w związku ze strzelaniem bojowca-rewolucjonisty Franciszka Lisa z trzema rotami carskiej piechoty), Stefana Żeromskiego, Szymona Tokarzewskiego, Józefa Czechowicza, Eugeniusza Małaczewskiego i wielu pisarzy-kronikarzy regionalnych (lubelskich), jak Adam Rządewski, Ignacy Gruszecki, Wincenty Dawid czy Julian Suleszycki.

Narrator tych opowieści nierzadko ujawnia też swoją obecność w tekście (personalizuje się), np. w jednym z nich tak wyznaje:

Tytuł „Panowie bandyci, panowie rewolucjoniści” zaakceptowany po długim namyśle. Wahałem się, czy nie powinien brzmieć „Panowie bandyci, panowie rewolucjoniści, panowie zdrajcy”, odrzuciłem, bo zbyt długi i nieprawdziwy. Zdrajców nikt nie zaszczycał zwrotem „panowie”. W prasie tematu zdrady nie podejmowano, ale w literaturze kolaborantów i sprzedawczyków nie oszczędzał żaden autor⁴.

Albo:

„Na początku XX stulecia – podobnie jak dzisiaj i przed wiekami – grasowały tabuny złodziei, wydrwigroszy i oszustów. Piszę te zdania jesienią 2009 roku, w dniach wybuchu afery hazardowej, kiedy szeroką falą rozlały

¹ Pisarz urodził się 8 marca 1947 r. we Wrocławiu, dokąd po zakończeniu wojny przenieśli się jego rodzice z obawy przed aresztowaniem przez UB z powodu przynależności ojca do AK. Debiutował w 1972 r. wierszem *Zmarła ciotka*. W 1976 r. wydał dwa tomy wierszy *Spacer po linie* i *Polowanie z nagonką*; w 1978 r. powieść *Tam, skąd pociągi odchodzą rzadko, a może wcale*; w 1985 r. zbiór miniopowiadań *Ćwiczenia dla otyłych kobiet*; w 1986 r. zbiór opowiadań *Tydzień wystarczy na wszystkie kobiety świata*; w 1989 r. trzy mikropowieści pod wspólnym tytułem *Złoto Biłgoraja*; a w 1995 r. zbiór opowiadań *List do Pana Boga w Warszawie*; w 1997 – *Poprawki do portretu. Opowiadania, szkice, reportaże, gawędy*; 1998 – *Ludowe opowieści grozy. Duchy, diabły, anioły, opowiadania, gawędy, relacje, wywiady*; w 2001 – powieść *Odlot*; w 2003 – *Z toporem przez wieki. Legendy, podania, sensacje Lubelszczyzny i Podlasia*; 2004 – opowieści *O czym milczą umarli. Duchy i zjawy polskich pisarzy i Wyznania grabarza. Opowiadania i gawędy* oraz w 2005 *Przez wiska Lublina*, następnie *Romans w Lublinie* – 2007, *Lubelska historia nikczemności* – 2009, *Lubelszczyzna w twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego* – 2012, i w 2015 *Bomby polskie*. Jest też współautorem szeregu zbiorowych publikacji, jak przykładowo: *Śladami minionego czasu... Monografia gminy Wisznice* (2011), *Kraszewscy na Podlasiu* (2013), antologii współczesnej poezji ukraińskiej *Grawitacja wzajemności* (2013). W 2010 r. jego tom opowiadań i gawęd ukazał się w języku ukraińskim, kolejny jego tom w języku ukraińskim ukazał się w 2011 r. W br. opublikował też kolejny wybór opowiadań i wierszy w języku ukraińskim. Wiersze i opowiadania drukował w różnych antologiach, np. *Gdzie jabłonie słodkopiennie* (1980), *Oko. anioł, krzyk* (1981), *Cale bogactwo domu* (1986), zaś felietony, reportaże, recenzje, gawędy, wywiady – w licznych czasopismach, m.in. w kwartalniku „Nad Kamienną”.

² Z.W. Fronczek, *Bomby polskie*, Lublin 2015.

³ Z. Skrok, *Odkrywca tajemnic Krainy Środka*, „Sycyna” 1997, nr 76, s. 15.

⁴ Z.W. Fronczek, *Panowie bandyci, panowie rewolucjoniści*, w: tenże *Bomby polskie*, s. 29.

się informacje o tworzeniu – na zamówienie – prawa gwarantującego stokrotne zyski właścicielom kasyn i salonów gier. Kolejny raz wyszło na jaw, że nędżnych wydrwigroszy wspierają ludzie rządzącej partii. Oczywiście, nie z czystej przyjaźni, nie za darmo, lecz dla profitów, jak to się dzisiaj powszechnie powiada: dla kasy.

A w ostatnim zdaniu opowieści powraca do początkowej tezy:

Przyszła wojna, przyszedł nowe czasy, złe – najkrócej mówiąc, wojnę minęła, nadeszły czasy jeszcze gorsze⁵.

Nierzadko opowiadacz nie poprzestaje na elementach historycznych, jeżeli dysponuje informacjami, wskazuje na współczesne ślady swoich anegdot (np. współczesna pozostałość po XV piętnastowiecznej szubienicy: „Po licznych przeróbkach przetrwała do naszych czasów. Można obejrzeć ją przy ulicy Długosza pod numerem 4” (s. 16) i dalej opisuje jej współczesny nędzny wygląd.

Często bardzo dokładnie charakteryzuje swoich bohaterów swoich opowieści, jak Leona Gawlikowskiego (s. 38), wprowadzając szereg ciekawych informacji o nim.

Ostatniej publikacji pisarza zdecydowanie dominuje Lubelszczyzna, szczególnie okres ruchów rewolucyjnych początku XIX wieku.

Jak wskazaliśmy wcześniej dominują rewolucjoniści-socjaliści. Ich liczbie odpowiada tylko, a może nawet ją przewyższa ilość złodziei (koniokradów, zwykłych bandytów, oprychów, hersztów band) i ich małżonek lub narzeczonych (np. Kasrzyka i jego Zośki, Dulębskiego i jego Hanki Piwowar, Marcin Kida...

Ale oprócz opowieści Fronczka o napadach na pańskie dwory, budzących strach i przerażenie, pełnych trupów i szubienic, snutych „na poważnie”, autor kreśli również facecje bardzo humorystyczne, pełne śmiechu i żartów, z trudem zachowuje „powagę” (*Wigilia Mickiewicza na Podlasiu*). Można podejrzewać, że podobnemu celowi – rozładowania napięcia – służą też piękne opisy przyrody, jak ten ze strony 38 o dziedzicu Jakubowic Konińskich – Leonie Gawlikowskim „... właściciel dworu w pięknym parku przeciętym bystrą Ciemiengą wpadającą tuż za Lublinem – do Bystrzycy. Dwór przetrwał, parku nie ma, tylko wiekowe wierzby i osiki stoją smętne nad brzegiem rzeczki. W srebrno zielonej wodzie, kto potrafi, może złowić pstrąga, kto spostrzegawczy, wypatrzy bobra” (s. 38).

W relacji autora *Z toporem przez wieki* najbardziej znanym zamachowcem był Antoni Berezowski, który swój nieudany zamach – na cara Aleksandra II – przeprowadził w 1867 r. w Paryżu, za co został zesłany na galery do nowej Kaledonii, gdzie zmarł w październiku 1916 roku. Jego czyn i katorżnicze życie uwiecznił Jan Józef Szczepański w pięknych powieściach *Wyspa i Ikar* oraz szereg malarzy.

Jedną z najciekawszych opowieści o bombowych zamachach jest: „Hryniwiecki. Zamach na Aleksandra II” prezentująca udany zamach na wielkiego wroga Polaków w 1881 roku. Dokonał jej student Instytutu Technologicznego w Petersburgu – Ignacy Hryniwiecki.

Zmarł car i zmarł zamachowiec a użytą bombę – zdaniem Fronczka – skonstruowano w Konstantynowie, majątku Tadeusza Gateckiego (Andrzeja Struga), również zamachowca w innych okolicznościach.

W najnowszej publikacji dominuje Lubelszczyzna, ale jest też Podlasie i Kielecczyzna. Kielecczyznę wprowadza Z. Wł. Fronczek wielokrotnie (jej obszary nadwiślańskie – Zawichost, Piotrawin, Linów, Dąbie, Sandomierz, czyli strony rodzinne pisarza, związane z jego przodkami), pozornie jako przypadkowe odwołanie. We wcześniejszych publikacjach pojawiała się również często jak Lubelszczyzna. Wskażmy nieco bliżej te relacje.

W opowieści *Stefan Żeromski patrzy na Siedlce* Fronczek przybliży czytelnikowi młodość doświadczenia autora *Ludzi bezdomnych* podczas jego pobytu na Podlasiu. Spotykamy tu piękną scenę miłości między młodym nauczycielem na Podlasiu – Żeromskim a Anielą Rządewską, wdową po śmierci innego pisarza – Adama Rządewskiego. Fronczek przywołuje też przypadkowe spotkanie przymierającego głodem Żeromskiego z Bolesławem Prusem (w Warszawie przy ulicy Kruczej) i inne spotkania tych pisarzy (w Nałęczowie, w Policach – gdzie Prus był ślubnym świadkiem Stefana i Oktawii), a potem prezentuje utwory Żeromskiego związane z Podlasiami (powieść *Mogita*, nowele *Ananke*, *Do swego pana*, *Poganin* i inne). W ten sposób przybliży siedleckie doświadczenia Żeromskiego świętokrzyskiemu odbiorcy. O Żeromskim w tej publikacji Zbigniewa Fronczka jest jeszcze jedna bardzo ciekawa i zaskakująca opowieść. Jest nią opowiadanie *Siłaczka z bombą w ręku*, czyli o działalności i śmierci Faustyny Morzyckiej, uznanej za prototyp znanego opowiadania Żeromskiego „Siłaczka”

Fronczek, w opowieści, *Józef Czechowicz i Babel...*, oraz w *Totstoj o polskim zesańcu*, jak to czynił wielokrotnie we wcześniejszych zbiorach (*Z toporem przez wieki* i *Wyznania grabarza*) składa niemal hołd swoim rodzinnym stronom i przyjaciołom, wprowadzając w ostatniej ze wskazanych kolejne miejscowości województwa świętokrzyskiego: Linów, Zawichost i Annopol. Najmniej znana z nich jest, licząca niecałe 700 mieszkańców, wioska Linów w gminie Zawichost powiatu sandomierskiego, w której urodził się Wincenty Migurski, powstaniec listopadowy i uczestnik działań partyzanckich pułkownika Zaliwskiego, zesłaniec do Kazachstanu. Za Migurskim na zesłanie dobrowolnie powędrowała jego narzeczona Albina Wiśniowska. Po kilku latach zesłania postanowili uciekać do kraju, zabierając trumny swoich dzieci. Początek był szczęśliwy dla uciekinierów, dalsza część bardzo dramatyczna... Losy Migurskiego i jego żony Aliny opisał Lew Totstoj w noweli „Za szto?”. Fronczek snuje legendę Migurskiego i jego potomków aż do wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku... To szczególnie ciekawa i dramatyczna opowieść, w czym od lat specjalizuje się nasz pisarz z Ostrowca.

Warto poznawać, bo ciekawe, odkrywcze i mocno osadzone w polskiej historii są opowieści Zbigniewa Włodzimierza Fronczaka z jego licznych publikacji.

⁵ Z.W. Fronczek, *Kida i Forszteter w, tenże Bomby polskie*, s. 50, 57.

Kazimierz Firmantowski (1952–2016)

20 czerwca br. na cmentarzu w Cedzynie pożegnaliśmy zmarłego w wieku 64 lat Kazika Firmantowskiego, muzyka i akustyka, nauczyciela. Był niezwykle ciepłym, serdecznym kolegą, życzliwym, zawsze gotowym udzielić pomocy. Nie zmieniły tego nawet jego własne problemy, choroba. Na nasze biblioteczne prośby o pomoc odpowiadał z wyrozumiałością. Bez Kazika nie byłoby wielu dobrze przygotowanych, fachowo nagłośnionych imprez. Solidny, pracowity, pogodnie usposobiony, autor licznych anegdot ze środowiska artystycznego, które jako muzyk i akustyk współtworzył od kilkudziesięciu lat.

Kiedyś opowiedział mi o zmęczonych dorabianiem na nocnej imprezie muzykach, którzy rano podczas oficjalnej uroczystości mieli zagrać hymn państwowy. Zaczęli jak należało: „Jeszcze Polska nie zginęła”, a potem jakoś tak samo przeszło w „Nigdy nie zagaśnie”.

Kazika znałem od trzydziestu pięciu lat. Zawsze był tak samo zafascynowany muzyką, brzmieniem, sprzętem akustycznym. I tak samo pozytywnie nastawiony do ludzi.



Andrzej Dąbrowski

Andrzej Kozieja (1960–2016)

Urodził się w Skarżysku-Kamiennej, ukończył polonistykę w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach, edukację filmoznawczą w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi oraz Studium Wiedzy o Filmie, Teatrze i Telewizji na Uniwersytecie Łódzkim. Od 1983 r. pracował jako wykładowca na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Współtwórca Uniwersytetu Trzeciego Wieku, współorganizator i juror Festiwalu Form Dokumentalnych „NURT”, opiekun „Studenckiego Koła Naukowego Przyjaciół Teatru i Filmu”, pomysłodawca „Filmowych Spotkań z Historią”, inicjator „Letniej Szkoły Kultury, Historii i Języka Polskiego” dla Polaków z Ukrainy. W 2013 r. został laureatem Nagrody Miasta Kielce oraz zdobył tytuł „Wykładowcy Roku” na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego.

Ponad 20 lat zajmował się upowszechnianiem wiedzy o filmie i teatrze. Bardzo ceniony w środowisku naukowym i studenckim, lubiany za otwartość, życzliwość, bezinteresowność.

Z naszą biblioteką współpracował stale od wielu lat – zawsze pomocny, uśmiechnięty, energiczny. Zarażał pasją do filmu i teatru, pełen historii i anegdot, otwarty na pomysły, inicjatywy. Chętnie włączał się w nasze przedsięwzięcia, nigdy nie odmawiał. Jednym z ostatnich wspólnych działań był towarzyszący Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej „Stefan Żeromski – kim był, kim jest?” pokaz filmów będących adaptacjami powieści Żeromskiego, poprzedzonych prelekcjami Andrzeja Koziei. W tym roku, podczas obchodów Roku Sienkiewicza, planowaliśmy kolejne projekcje filmów, tym razem będących adaptacjami powieści Sienkiewicza, poprosiliśmy Andrzeja o krótkie prelekcje... zgodził się bez wahania... Nie zdążył...

Zmarł nagle, dwa miesiące temu. Pożegnaliśmy Go na Cmentarzu Starym w Kielcach.



Koleżanki i Koledzy
z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej
im. W. Gombrowicza w Kielcach

Muzeum Narodowe w Kielcach przygotowało w swojej pałacowej siedzibie premierową wystawę tematyczną poświęconą widokom miast i zamków polskich kielczanina Ryszarda Praussa (1902-1955) prezentowaną od połowy lutego do trzeciej dekady maja 2016. Wywiązało się tym samym z obietnicy rodzinnego miasta artysty – złożonej po jego śmierci – publikacji jego tek z licznymi pracami, wystawie bowiem (eksponującej 142 prace) towarzyszy polsko-angielski katalog-album z opracowanymi i sfotografowanymi 564 akwarelami i rysunkami. Można wyrazić nadzieję, że dzięki tej prezentacji utalentowany a zapomniany artysta zostanie odzyskany dla następnych pokoleń kielczan i nie tylko.

Ryszard Prauss ukończył, podobnie jak jego brat-bliźniak malarz Stanisław, Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie i osiadł w Kielcach borykając się przez całe życie z biedą i niedostatkiem. Wsparcie finansowe zapewniało mu nauczanie rysunków w szkołach kieleckich, w tym w Liceum Plastycznym założonym przez jego przyjaciela Henryka Czarneckiego. Nauczanie, obok malowania, było jego pasją, przez lata wspominany był jako niezwykle ciepła i skromna osoba tak przez uczniów, jak (co naprawdę rzadkie) kolegów artystów – był także po 1945 współzałożycielem kieleckiego oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków, kontynuując od przedwojnia swoje aktywne uczestnictwo w artystycznym życiu miasta. Ale to nie oznaczało aktywnego wystawiennictwa własnych prac czy uczestnictwa w głównym nurcie rozwoju sztuki nowoczesnej w Polsce; Prauss był artystą nastawionym na przeszłość, cenił wielką historię Polski w wymiarze patriotyczno-wzniosłym, ale w raczej skromnej artystycznie formie – na taką twórczość nie było miejsca ani w ponurych latach narzuconego odgórnie państwowego realizmu socjalistycznego (sorealizmu) ani tym bardziej w następujących po nim latach dominacji pro-zachodniej abstrakcji. Podobnie z realnym popytem ze strony publiczności (nie licząc rodziny, przyjaciół i znajomych, u których do dziś wiszą pojedyncze prace artysty) – jak pisał Bohdan Furnal (*Czas heroiczny – czas własny Ryszarda Praussa*, Galeria „Ziemia” Kielce 1982, s. 6-9):... inteligentne portfele świeciły pustkami, dawna burżuazja raptownie zdiadziata, zaś nowa ceniła bardziej inne pożytki płynące z pieniądza, zresztą na wszelki wypadek w ogóle wolata się z nim nie ujawniać. A Prauss w swych głównych

zainteresowaniach był wzorcowym kontynuatorem bogatej tradycji malarstwa topograficznego – malarstwa przedstawiającego przede wszystkim narodową architekturę z dużą domieszką fantazyjnych wariacji. Najpełniej tę tradycję prześledzić można na przykładzie akwarelowych dokonań Brytyjczyków, którzy od XVIII wieku ukochali ten typ malarstwa, a samą technikę uważają wręcz za narodową. Największe nazwiska angielskie z J.M.W. Turnerem (1775-1851) włącznie odcisnęły na niej swoje piętno. Polskie dokonania nie są tak znaczące, ale są i Prauss miał do czego nawiązywać, by wymienić tylko kilku: Zygmunt Vogel (1764-1826), Napoleon Orda (1807-1883), Kazimierz Stronczyński (1809-1896), Erazm Rudolf Fabijański (1826-1892) i Stanisław Ignacy Fabijański (1865-1917) oraz Stanisław Noakowski (1867-1928). Ale to ten ostatni wywarł największy wpływ na Praussa – Noakowski był znawcą architektury polskiej i europejskiej i ta pasja uwidoczniła się w sposób mistrzowski i wirtuozerski w jego pracach. Prauss mu dorównał, a dołożył do tego swoją charakterystyczną gamę barwną oraz bajkową wyobraźnię w wyniku czego powstały kompozycje kompozytowe – to znaczy kompozycje łączące elementy zaczerpnięte ze znanych budowli, a w efekcie tworzące nową nierzeczywistą całość, ale sprawiającą wrażenie czegoś znajomego i łada chwila rozpoznawalnego. Ta gama barwna przywołuje kolorystyczne wysmakowanie Richarda Parkesa Boningtona (1802-1828) – dzięki niej sucha wojskowa topografia stojąca u początków angielskich wedut i późniejszych przedstawień miast w malarstwie nowoczesnym wytraca swą inwentaryzacyjną bezosobowość, ożywia nieruchomą architekturę, sprawia, że przed każdą kompozycją można spędzić dłuższy moment ciesząc się wieloma niuansami kolorystycznymi na choćby małym fragmencie rozsypującego się muru. Prauss, jak na wielbiciela Jana Matejki przystało – studiował cały historyczny entourage tworząc swoje historyczne kompozycje, znał na przykład konserwatorskie odkrycia Adolfa Szyszko-Bohusza (1883-1948, Czersk, Chęciny, Ogrodzieniec), sam miał wykonać według wspomnień przyjaciół masę rysunkowych studiów prowadzących w zamierzeniu do finalnych kompozycji olejnych zebranych w tematycznych cyklach – w ostateczności nie doszło do tego, a sądząc po jak najbardziej skończonych i z premedytacją sygnowanych pracach w ołówku, gwaszu i akwareli te ostatnie stały się

dla niego celami samymi w sobie materializując mistrzowsko jego historyczno-architektoniczną pasję. Na szczęście dla sztuki Prauss był nie tylko wielbicielem naszego narodowego akademika, ale także wielbicielem *capriccio* – architektonicznych fantazji, z których zastąpili wtóscy malarze i graficy XVII i XVIII wieku – u Praussa wyżej wspomniana bajkowa kompozytowa architektura miała swe źródło nie w antyku jak u Włochów, ale w jego ulubionym niemieckim romanizmie i gotyku, z którymi się stykał stale zwiedzając wzdłuż i wszerz ulubiony Śląsk i zachodnią Polskę. Najbardziej bajkowym niemieckim wzorcem były oczywiście zamki wcale nie szalonego Ludwiga II Bawarskiego Wittelsbacha (1845–1886), w tym Neuschwanstein, na którego planach wyrosły baśniowe zamki Walta Disneya w animacji i parkach rozrywki na całym świecie – a u Praussa natomiast

tak czy tak możemy rozpoznać na przykład fragment jak najbardziej istniejącej we Wrocławiu historyczno-eklektycznej wieży ciśnień z początku XX wieku.

Po latach Ryszard Prauss doczekał się wymiernej prezentacji jego dorobku, choć oczywiście w wymiarze niepełnym, bo tematycznym, aczkolwiek obejmującym najprawdopodobniej gros jego zainteresowań artystycznych. O wiele smutniejszym jest to, że jego twórczość praktycznie nie istnieje w świadomości kielczan i mieszkańców regionu (nie mówiąc o odbiorcach ogólnopolskich) pomimo realnego talentu i szczupłości kieleckiego grona artystów na wysokim poziomie. Brak regularnego eksponowania artystycznej spuścizny mści się po dziesięcioleciach prawie kompletnym zapomnieniem i nieistnieniem w dialogu z następnymi pokoleniami twórców, którzy bez poznania przeszłości nie mogą stać się pełnymi artystami.



R. Prauss – Widok zimowy. Gotycki Kościół Św. Ducha w Sandomierzu, 1947 r.



R. Prauss – Kazimierz Dolny. Kościół Farny, lata 50-te.



R. Prauss – Miasteczko gotycko-renesansowe, lata 50-te.



R. Prauss – Mirów – Zamek, 1950 r.



R. Prauss – Sandomierz – Brama Opatowska, 1952 r.



R. Prauss – Ratusz w Szydłowcu, 1944 r.



R. Prauss – Kielce – rycina, 1955 r.



R. Prauss – Kamienica Celejowska w Kazimierzu Dolnym, 1944 r.



R. Prauss – Pejzaż zimowy z widokiem zamku gotyckiego Czersk, 1945 r.



"Świętokrzyskie" dostępne jest na portalu
Świętokrzyskiej Biblioteki Cyfrowej
www.sbc.wbp.kielce.pl